

Klasyka brytyjskiego kryminału

# NICHOLAS BLAKE



**Splątana sieć**

C&T

*Dla A.D. Peters*

NICHOLAS  
BLAKE

Splątana sieć

Przekład:

Agata Szczepanowska

C&T

TORUŃ

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1.

### *Przedostatnia scena*

**D**laczego to zrobił? Dlaczego? Nijak nie mogę tego pojąć...

Kochanek Daisy Bland i ojciec jej dziecka został skazany na śmierć za umyślne zabójstwo. Nie myślała jednak o kochanku. Łzy niewyczerpanego nieszczęścia napępniały jej oczy i spływały po policzkach. Choć zdawało się, że to nie jej łzy – pomyślał Bruce Rogers – przypominały raczej krople deszczu na twarzy posągu. Była to najpiękniejsza twarz, jaką kiedykolwiek widział. Niewiele jej było trzeba, by się rozplakać. Należała do tego rodzaju stworzeń, które szybko płaczą, śmieją się, kochają – dziecię natury. A w tej chwili z taką samą łatwością poddawała się rozpacz.

Po raz setny w ciągu ostatnich kilku miesięcy Bruce Rogers poczuł się, jakby tracił grunt pod nogami. Rozejrzał się po dobrze znanym mu biurze w poszukiwaniu otuchy, normalności. Akta, segregatory, papiery na biurku przepelnione były ludzkimi emocjami, ale wyabstrahowanymi, jakby zasuszonymi: nie były w stanie wywołać w sercu współczucia tak silnego, że aż nie do wytrzymania, ani sprawić, że ścisnęło się ono, nie mogąc znieść własnej słabości. Jest coś upokarzającego w tym, że w obliczu czyjejś tragedii człowiek kurczy się i maleje, pomyślał.

– Jak można być tak podłym? – powiedziała Daisy. – Jak on mógł to zrobić?

Bruce Rogers aż wzdrygnął się z irytacji. Kobiety! Zawsze zadają retoryczne pytania, ale oczekują odpowiedzi. Ich słowa ociekają emocjami. I do tego jeszcze *to* właśnie pytanie! Do cholery, pomyślał, nie jestem psychoanalitykiem, księdzem ani Szekspirem. Jestem notariuszem, zajmuję się przenoszeniem własności, testamentami, aktami, a nie wyjaśnieniem niezdrowej psychiki jakiegoś Jagona.

– Moja droga, musi pani postarać się być dzielna ze względu na Hugo – usłyszał swój głos i aż zrobiło mu się niedobrze od powierzchowności jego własnych słów.

Na dźwięk imienia ukochanego łzy znów popłynęły z jej oczu.

– Nie wypuszczą go, prawda? Wiem, wiem, że nie – załkała.

Przy czym jej twarz pozostała spokojna, smutek jej nie zeszpecił.

Bruce'owi stanęła przed oczami ładna buzia jego własnej żony, gdy płakała z powodu jakiegoś błahego nieszczęścia – opuchnięta, skrzywiona, cała w plamach. Był jeszcze na tyle młody, by przeraziła go nielojalność tego porównania. Poczul nagle okrutny impuls, by rzucić tej Daisy: „Nie, nie wypuszczą go. Hugo będzie wisieć z powodu twojego zeznania i tylko z tego powodu”. Biedna dziewczyna, pomyślał, jakby tego nie wiedziała! Nie jest specjalnie mądra, ale dobrze o tym wie.

– Musimy mieć nadzieję – stwierdził. – Sir Henry jest przekonany, że istnieją pewne prawne argumenty... powody, dla których apelacja powinna być skuteczna.

– To jest jak gra – rzuciła nieoczekiwanie dziewczyna.

– Gra?

– Dwie strony grają o życie człowieka. To znaczy, w sądzie. Ścigają się, kto zdobędzie więcej punktów. I jeszcze z jaką powagą, jakby grali w krykieta!

Bruce otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Czy jest sens próbować wyjaśnić tej dziewczynie sposób działania angielskiego systemu prawnego? Stanowcze i elastyczne piękno Prawa? Trzy miesiące temu podjąłby się tego, ale stracił cały zapał na tym polu bitwy, jakim jest sprawa Chestermana. Czyżby on też nie wierzył już w Prawo? Nawet *jeśli* Hugo Chesterman zabił inspektora policji, a było wiele powodów, by w to wątpić – mówił o tym nawet całkiem pozbawiony sentymentów Sir Henry – czy rzeczywiście stałoby się zadość

Sprawiedliwości, gdyby został powieszony? Bruce nie był pewien, czy dziś w sądzie apelacyjnym Prawo i Sprawiedliwość stały po tej samej stronie.

Spojrzał mimowolnie na zegarek, potem na stojący na biurku telefon. W jego zmęczonym umyśle ta bezosobowa, ebonitowa słuchawka stała się ustami przewodniczącego sądu najwyższego odczytującego – zawsze tak samo uczenie, tak samo bezosobowo – wyrok. Telefon stał tak między nimi jak bomba zegarowa. Mógł zadzwonić w każdej chwili. Daisy zacisnęła dłonie, jakby spodziewając się, że wybuchnie. Sir Henry miał ich zawiadomić, jak poszło.

– Nigdy nie cierpiałam telefonów – powiedziała Daisy Bland. – W atelier robiłam wszystko, żeby nie odbierać, nie wyobraża pan sobie nawet, jak bezczelni mogą być ludzie przez telefon.

Jak ona może tak papać, pomyślał Bruce z niesmakiem, ale nagle zdał sobie sprawę, że robi to, by złagodzić napięcie, swoje i jego. Wspaniała dziewczyna. Niezrównana. Nic dziwnego, że ten młody fircyk, Chesterman, stracił dla niej głowę. Dla niej byłby gotów wrócić na uczciwą drogę, ale ona tak była w nim zakochana, że niespecjalnie się przejmowała tym, czy to robi, czy nie.

Już w sądzie pokoju\*, a potem podczas sesji wyjazdowej sądu karnego, gdy była już w bardzo zaawansowanej ciąży, uroda tej dziewczyny magnetyzowała patrzących. Jej uroda i postać oskarżonego, dżentelmena włamywacza w stylu Rafflesa\*\*, zmieniły tę dość ohydną, pospolitą historię kryminalną w *cause célèbre*\*\*\*. Piękna w rozpacz – jeszcze piękniejsza przez cierpienie. Lśniący błękit oczu jak

niezapominajki, przy zmianie nastroju lub światła przechodzący w fiolet, piękne włosy pszenicznej barwy, róż ust i policzków, którego nawet jej nadludzkie cierpienie nie było w stanie przytłumić – Bruce znów się nimi rozkoszował, gdy mówiła, siedząc wyprostowana na brzegu czarnego skórzanego fotela, jakby to była rozmowa o pracę. Jej głos, o szorstkim, chłopięcym, prowincjonalnym brzmieniu – słyszał go tyle razy, w sądzie i poza nim – słyszał, jak składała zeznania, które pogrążyły jej kochanka, słyszał, jak dramatycznie je wycofywała.

\* Sąd pokoju – sąd rozstrzygający w sprawach małej wagi i przeprowadzający wstępne przesłuchania. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Raffles – znana w lit. ang. postać dżentelmena włamywacza stworzona przez E. W. Hornunga (1866-1922).

\*\*\* *Cause célèbre* – (z franc.) głośna sprawa sądowa.

Gdy teraz opowiadała o okropnych klientach atelier, gdzie pracowała, ta rozmowa była jak krąg ognisk chroniących przed czającym się niebezpieczeństwem, Bruce'a po raz kolejny uderzył brak urazy, który w niej wyczuwał. Nawet wtedy, gdy wykrzyknęła: jak można być tak podłym? W jej głosie nie było rozgoryczenia, jedynie coś w rodzaju smutnej ciekawości. Stwierdził, że Daisy Bland jest osobą bierną: na tym polegała jej słabość i jej siła – słabość, którą wykorzystał ten odrażający człowiek, i siła, siła uległości, która pomoże jej, lepiej lub gorzej, przetrwać tę ostatnią mękę.

– Będzie pani wspaniałą matką, Daisy – przerwał jej, powodowany nagłym impulsem.

Spojrzała na niego swymi błyszczącymi, smutnymi, błękitnymi oczyma.

– Tak, chyba tak – powiedziała. – Mogłabym też być dobrą żoną, panie Rogers.

– Proszę myśleć o dziecku. Ma pani wspaniałe dziecko.

– O, tak. Nic mu nie brakuje – odpowiedziała apatycznie. By ukryć oczy, odwróciła się do okna.

– Gdzie jest port? – spytała.

– Port? Stąd go nie widać. Bardziej po prawej. Jakies pół mili dalej. – Bruce znów się zdenerwował.

Wszystko prowadziło na grząski grunt. Port, morze, plaża, rewolwer zakopany pod kamyczkami w miejscu wskazanym przez Daisy na oczach przechadzającego się po promenadzie policyjnego tajniaka: niewybaczalna pułapka, w którą została wciągnięta i przed którą nie było ucieczki.

– Byliśmy tu tacy szczęśliwi – szepnęła Daisy, zwracając twarz ku dalekiemu morzu. – Było tak romantycznie.

Czystość jej uczucia odkupiła nawet to tanie, wyświechtane określenie. Bruce podjął kolejną próbę.

– O tym właśnie trzeba pamiętać. Szczęście. Tego nie mogą odebrać...

– Mogą – odrzekła z uporem. – Już go nie ma. Pamiętam tylko, że *byłam* szczęśliwa. Nie pamiętam, jak to jest być szczęśliwym. W jednej chwili byliśmy panami świata, a pół godziny później, gdy wrócił – wciąż siedziałam na ławce na deptaku, tak jak mi powiedział – czułam, jakby to był koniec świata. Przynajmniej dla mnie.

– Teraz się tak pani czuje.

– Zawsze już będę się tak czuć. Chyba że... – nie mogła dalej mówić. Jej oczy, unikając patrzenia na telefon, szukały ucieczki. – Ile tu książek! Przeczytał pan wszystkie?

– Tak, niektóre. Jakiś czas temu. Do egzaminów.

Szczupłym palcem z obrączką, do której nie miała prawa, przejechała palcem po książkach ustawionych w rządek.

– Ale zakurzone. Czy nie ma pan kogoś, kto by tu sprzątał?

– Tak, moja droga, ale...

– Ma pan ściereczkę do kurzu?

- Ściereczkę?
- No właśnie.

Bruce, dosyć zdezorientowany, zaczął szperać w szufladach biurka. Wreszcie znalazł to, o co pytała.

- Ależ, Daisy, nie wolno pani...
- Nie rozumie pan? – wykrzyknęła tonem głębokiej rozpacz, który miał na zawsze pozostać w pamięci Bruce'a. – Nie rozumie pan? Muszę coś zrobić. Dla kogoś.

Energicznymi ruchami odkurzała wierzchy książek, gdy trzy minuty później zadzwonił telefon. Ściereczka wypadła jej z dłoni, jednym wirującym ruchem odwróciła się, stanęła przy biurku, wyciągając rękę. Nagle zrezygnowanym, a jednocześnie nieskończenie wzruszającym gestem, cofnęła dłoń, zostawiając to jemu.

Bruce Rogers sięgnął po słuchawkę...

## 2.

### *Spotkanie kochanków*

Pewnego wiosennego dnia, jakieś dwadzieścia miesięcy temu, Hugo i Daisy spotkali się po raz pierwszy. Chodniki były jeszcze mokre po nocnej ulewie, a strząśnięte przez burzę płatki kwiatów wiśni przyklejały się do nich jak rozetki z różowego papieru. Ranek był cichy i świeży. W ogrodach szeregowych domków w St John's Wood grusze, wiśnie i śliwy rozsiewały barwne płatki, a na niebie rozkwitały białe obłoki. Daisy Bland, wychowana na wsi dziewczyna, która przyjechała do Londynu zeszłej jesieni, wciągała majowe powietrze,

czując falę podniecenia silniejszego od tęsknoty za domem, której w takiej scenerii można by się spodziewać. Na wsi mało kto zwracał uwagę na kwiaty i przystrojone gałęzie. Dom pani Chetwynd-Smythe był oddalony od przystanku autobusowego o zaledwie kilka minut spacerem i Daisy wcale nie miała za złe Madame Ramon, że nie wysłała jej taksówką, choć sprawa, którą miała do załatwienia, należała do niezwykle pilnych. Pozostałe pracujące u modystki dziewczęta lubiły plotkować o słynnym skąpstwie Madame. Daisy maszerowała prosto przed siebie, swobodnym krokiem wiejskiej dziewczyny, wymachując trzymany za wstążkę pudłem na kapelusz, ciesząc się świeżymi zapachami i upojną zielenią drzew w ogrodach.

W górze zaśpiewał kos. Zawracając na rogu ulicy, Daisy patrzyła na czubek drzewa, skąd dochodziły krystaliczne dźwięki. I zderzyła się z całą siłą z mężczyzną nadchodzącym szybkim krokiem z naprzeciwka. Pudło wyleciało jej z ręki, wstążka zsunęła się i gdy tak toczyło się po mokrym chodniku, wypadł z niego kapelusz.

- O Boże! – krzyknęła Daisy, zasłaniając usta dłonią.
- Strasznie mi przykro.
- To nie pana wina.

Młody mężczyzna podnosił już kapelusz – nawet w tym feralnym momencie zauważyła, jak zgrabnie się poruszał – i wysunął stopę, by uratować pudło, zanim wpadnie do rynsztoka.

– Tylko jedna czy dwie plamki z błota – stwierdził, energicznie pocierając wymyślne dzieło Madame Ramon o własny rękaw.

Daisy wyrwała mu kapelusz, żeby nie zniszczył go doszczętnie.

- Och, całkiem zniszczony. Co ona na to powie?
- Zniszczony? Ale przecież...

Młody człowiek przerwał. W całym tym zamieszaniu dopiero teraz przyjrzał jej się dokładnie. Daisy czuła na sobie jego oczy. Gdy odpowiedziała mu spojrzeniem, było w nim zmieszanie. Coś rozbłysło między nimi jak magnezja. W tym momencie jego obraz został na zawsze wryty w jej pamięci – szczupła, smągła twarz, usta zatrzymane w półśmiechu, piwne oczy, czujne, z iskierką, jakby za ich spokojnym spojrzeniem kryła się jakaś dzikość. Twarz kłusownika – pomyślała. Równie dobrze mogła stwierdzić, iż to twarz anioła. Była jakby porażona zdumieniem w najczystszej formie. Anioła czy upadłego anioła – nigdy nie miała się nad tym zastanawiać.

Stali tak, przyglądając się sobie przez kilka sekund ponad tym komicznym kapeluszem, wystarczająco długo, by wpłynęło to na ich dalsze losy.

– O rany – odezwał się wreszcie – pani nowy kapelusz. Czy naprawdę nic...?

– To nie mój... Niosłam go do pani Chetwynd-Smythe.

– Pani Chetwynd-Smythe? Co za okropne nazwisko! To oburzające, by ktoś o nazwisku Chetwynd-Smythe miał nosić taki kapelusz. Nie mogę na to pozwolić.

– Ale...

– A *pani* jak się nazywa?

– Daisy Bland.

– O, tak lepiej. Daisy. Będzie pani pasował.

I ten zadziwiający młody człowiek wziął kapelusz z jej dłoni, założył jej na głowę i odsunął się lekko, by przyjrzeć się rezultatowi.

– Nie – stwierdził – myliłem się. Nie pasuje do tych pięknych włosów. Wygląda jak stare, brudne ptasie gniazdko na tle wodospadu.

Zdjął jej kapelusz i stał tak, przyglądając się jej i obracając kapelusz na środkowym palcu. Daisy chciało się jednocześnie płakać i śmiać.

– Proszę być ostrożnym. Będę mieć straszne kłopoty... – zawołała.

– Kupię pani Chetwynd-Smythe drugi taki sam.

– Och, pan nie rozumie. To jedyny model, Madame zrobiła go specjalnie dla niej. Wścieknij się, jeśli nie dostanie go dziś rano.

Mężczyzna przygryzł dolną wargę, po czym z figlarnym spojrzeniem pochylił ku niej twarz.

– No cóż, dostarczymy więc to cudo tej okropnej pani Chetwynd-Smythe. Gdzie mieszka?

– Numer 39. Kilka domów stąd.

Włożył kapelusz do pudła i przewiązał je wstążką.

– No dalej, Daisy Bland. Jesteś z Gloucestershire, prawda? Mój ojciec kiedyś... – tu przerwał, marszcząc lekko twarz. – Jestem Hugo Chesterman, nie mam stałego adresu. No, teraz wiemy już najważniejsze rzeczy.

Zdaje się, że zaraz po młodzieńczej urodzie, to właśnie zdolność Daisy do przyjmowania rzeczy takimi, jakimi są, bez certowania się, krytykanctwa czy udawania nieśmiałości, podbiła serce Hugo. Ona z kolei szła za nim jak w transie. Nie zaczęła nawet jeszcze o nim myśleć, po prostu, fatalistycznie i z poczuciem najwyższego szczęścia, pozwoliła mu przejąć dowodzenie.

Zadzwonili, weszli do hallu. Pani Chetwynd-Smythe, otyła, wystrojona kobieta o twarzy wyrażającej niezadowolenie, szła ku nim człapiącym krokiem.

– Panna Bland, czyż tak? Jest pani bardzo spóźniona. Kapelusz miał być dostarczony godzinę temu.

Daisy zaczęła tłumaczyć, że po drodze przydarzył jej się mały wypadek. Kobieta przerwała jej,



otworzyła pudełko i wyjęła jego zawartość. Twarz jej poczerwieniała, zaczęła gulgotać jak indyk, potrząsając zniszczonym kapeluszem przed twarzą Daisy.

– To nie do pomyślenia. Całkiem zniszczony. Spójrz tylko, ty niezdarna dziewczyno. I ja mam to założyć?

Hugo spojrział przelotnie na zaczerwienione policzki Daisy, po czym, odwracając się do pani Chetwynd-Smythe, odparł:

– Z pewnością nie, szanowna pani. Jest raczej dla młodych kobiet.

– Jak pan śmie!

Aż dysząc ze złości, pani Chetwynd-Smythe odezwała się znowu do Daisy:

– Kto to? Cóż to za kreatura? Zniszczyłaś mi kapelusz przez swoją cholerną nieostrożność, ale jeszcze ci mało? Przyrowadzasz swojego... tego bezczelnego osobnika... do mojego domu?

– Szanowna pani, nieszczęśliwy wypadek, który przydarzył się pani kapeluszu, to wyłącznie moja wina – wtrącił Hugo z niewzruszoną miną. – Przyszedłem z panną Bland, by to wyjaśnić. Pozwoli pani, że się przedstawię? Wielebny Chesterman, pastor Amberley. Jestem zmuszony prosić, by pohamowała pani język przez szacunek dla mego stanu.

– Nie wygląda mi pan na duchownego.

– Jestem, mmm, w stroju świeckim. Krótka przerwa w obowiązkach duszpasterskich, pani Smith.

W tym miejscu Daisy beznadziejnie zachichotała. Kobieta zwróciła się ku niej. Policzki aż jej się trzęsły.

– Natychmiast zatelefonuję do twojej szefowej i zażądam, by cię zwolniła. A teraz – podniosła głos – wyjdź! Wyjdź!

Hugo włożył kapelusz do pudła i zawiązując wstążkę, zapytał:

– Rozumiem, że nie życzy sobie pani zatrzymać tego wyrobu modniarskiego?

– Proszę natychmiast to odłożyć i WYJŚĆ! Razem z tą chichoczącą gówniarą!

Pani Chetwynd-Smythe otworzyła drzwi frontowe i usiłowała wypchnąć ich oboje, jednocześnie chcąc wyrwać z rąk Hugo pudło z kapeluszem. Gdy wypowiadała ostatnie słowa, Hugo zeszywniał, a jego spojrzenie przybrało niebezpieczny wyraz, aż Daisy cofnęła się na chwilę, rozdarta pomiędzy strachem a rozkosznym podnieceniem.

– Na pani miejscu nie użyłbym tego słowa – powiedział Hugo.

Po czym z pogardą odwrócił się do niej plecami. Zrobiwszy pięć szybkich kroczków, kopniakiem wyrzucił pudełko wysoko w górę, aż wylądowało pomiędzy gałęziami wysokiego krzewu złotokapu. Zanim pani Chetwynd-Smythe odzyskała głos, Hugo zawołał:

– Niech szanowna pani wejdzie na drzewo i pozbędzie się trochę tłuszczu.

Złapał Daisy za łokieć i poprowadził ją szybkim, lecz wcale nie pośpiesznym krokiem.

**D**la Daisy tak rozpoczął się okres, w którym jej życie toczyło się automatycznie, jak we śnie. Po takim początku niewiele mogło ją zaskoczyć. Skoro już przyjęło się za oczywistość nieoczekiwane pojawienie się w majowy poranek młodego mężczyzny o twarzy kłusownika ciskającego pudła na kapelusze w krzaki złotokapu, wszystko inne następowało z tą samą nieuchronną logiką, jaka panuje w snach. Było więc właściwie oczywistym, że jakąś godzinę później Daisy zasiadła w towarzystwie Hugo Chestermana w Berkeley.

Zamówił dla niej lunch, po czym, zostawiwszy ją z kieliszkiem martini, wyszedł na chwilę, by zatelefonować do Madame Ramon. Daisy przyglądała mu się, gdy przechodził między stolikami. Żwawa,

drobna postać, niewiele wyższa od niej samej. W jego ruchach było coś ostrożnego, samowystarczającego, dwuznacznego. Przypomina kota, pomyślała, ale nie domowego, raczej jednego z tych, jakie można zobaczyć w zoo, tyle że nie otaczają go kraty – jednego z tych wspaniałych kotów gotowych do skoku lub znikających w ciemnościach dżungli. Mimowolnie potarła dłonią łokieć, w miejscu gdzie Hugo ścisnął ją, gdy odchodzili spod domu pani Chetwynd-Smythe. Zdawało jej się, że zostawił jej siniaka. Jaki musi być silny. Cieszę się, że tak łatwo robią mi się siniaki, pomyślała i aż zaczerwieniła się od wewnętrznej przyjemności, jaką jej to sprawiło.

– Funta za twoje myśli.

To był jego głos, już tu jest. Daisy postanowiła nie wypowiadać ostatniej myśli na głos.

– Myślałam właśnie, że poruszasz się jak kot.

Spojrzał na nią zagadkowo. Czyżby nie spodobało mu się to porównanie? Czyżby miał zamiar zniknąć? Dodała więc szybko:

– To znaczy jak tygrys. Albo lampart. Widziałam je kiedyś w kinie.

– Pojedziemy któregoś dnia do Whipsnade\*. Przedstawię cię moim braciom i siostram.

\* Whipsnade – ogród zoologiczny, w którym zwierzęta nie są zamknięte w klatkach.

– Mogą tam sobie spacerować, prawda? To znaczy, nie są zamknięte w klatkach. Coś jak więzienie bez krat.

Popatrzył na nią dziwnie.

– Nie ma czegoś takiego jak więzienie bez krat – powiedział. A potem nagle zmienił temat: – Madame nie da się ugłaskać. Karty rozdane, moja droga. Przykro mi.

– Ojej.

– Nie wyglądasz na specjalnie zmartwioną.

– No cóż, znajdę inną pracę.

– Bez referencji od starej Ramon?

– To ciocia znalazła mi tę pracę. Myślę, że będzie mogła znaleźć mi coś innego. Mam zręczne ręce.

Daisy wiedziała, i wiedziała, że on wie, iż było to bez znaczenia. Nic się teraz dla niej nie liczyło oprócz niego i jej samej. Bez niepokoju czy obaw czekała na to, co wcześniej czy później miało się stać. W międzyczasie trzeba było zająć się tym pysznym jedzeniem.

– Miło popatrzeć na dziewczynę, która ma zdrowy apetyt – powiedział. – Ile masz lat, Daisy?

– Niedługo skończę osiemnaście – odpowiedziała z tak promiennym uśmiechem, że wyższy urzędnik państwowy, jedzący lunch dwa stoliki dalej, pomyślał na ten widok, że powinien chyba jeszcze raz przeczytać „A l'Ombre des Jeunes Filles en Fleurs”\*.

\* „W cieniu zakwitających dziewcząt” M. Prousta.

Po południu wybrali się do ogrodów Kew. Lato nadeszło w ciągu jednej nocy: wszystko kwitło, a powietrze było ciepłe jak szepty kochanków. Leżąc na trawie, ciężka wręcz od rozleniwienia, Daisy – ta zdrowa dziewczyna, która od czasów dzieciństwa nigdy nie chorowała – czuła się jak rekonwalescentka, słaba, bierna, oszołomiona żywymi dźwiękami i barwami powracającego życia. Duszne, przesycone zapachem perfum atelier, ze specyficznymi rytuałami i frywolnością, zwolnione tempo salonu i napięcie za kulisami, wydawały się odległe o całe lata, wyblakłe wspomnienia minionego delirium. Przy czym ten nowy świat, do którego się przeniosła, na razie również wydawał się nierzeczywisty – świat wagarowiczów, rozkoszny, lecz niepokojący i niebezpieczny. Jego osią był ten młody mężczyzna, który siedział przy niej, obejmując ramionami kolana. Chwilami zdawało jej się, że jeśli poruszy się choć

odrobinę, zniknie on nagle, tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawił. Marzyła, by zostać tak na zawsze, nawet go nie dotykając. Chciała uciec pomiędzy drzewa, być gonioną i złapaną. Miała silne poczucie, że przyszłość jest jakby w zawieszeniu. Zapierało jej to dech w piersiach, jak zapach białego bzu z krzewu nieopodal. Wiedziała, że powinna obmyślać plan, zastanowić się, w jaki sposób powiedzieć ciotce o utracie pracy, jak zabrać się do szukania nowego zajęcia, jak stawić czoła Madame Ramon i zażądać tygodniówki. Czuła jednak, że były to sprawy bez znaczenia, że wszystko wyjaśni się samo. Obróciła się na bok, by popatrzeć na Hugo.

Plótl wianuszek ze stokrotek. Miał niespokojne dłonie, zdążyła już to zauważyć. Zdawały się żyć własnym życiem. W tej chwili dłonie te, mimo że nadal zręcznie się poruszały, drżały. Doznała nagle całkiem nowego uczucia, była jednak zbyt prosta, by zrozumieć, że to poczucie władzy. Przecież nawet jej jeszcze nie dotknął ani nie mówił jej słów miłości. Nie przyszło jej do głowy, że ten pewny siebie mężczyzna może być nieśmiały. Zaakceptowała go, nie pragnąc żadnych wyjaśnień. On tymczasem w najwyższym stopniu interesował się jej przeszłością. Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w małej wiosce w Cotswold\*\*, o tym, jak to jest być najstarszym dzieckiem w licznej

\*\* Cotswold – pasmo wzgórz wapiennych w płd. Anglii.

rodzinie. Jej ojciec, drobny posiadacz ziemski, nagle zniknął, opuszczając rodzinę, gdy Daisy miała dwanaście lat. I kiedy matka wychodziła do pracy, ona zajmowała się młodszym rodzeństwem. Aż miejscowa dziedziczka odkryła, że dziewczyna ma smykałkę do modniarstwa. W zeszłym roku przyjechała więc do Londynu, gdzie została pomocnicą w atelier Madame Ramon, z polecenia ciotki, siostry matki, która pracowała u będącego akurat w modzie krawca na tej samej ulicy.

Daisy opowiedziała mu o swoim pokoiku w Pimlico, o pieniądzach, które posyłała do domu raz w tygodniu, o niesnaskach i słabostkach dziewczyn z atelier. Mówiła bez skrępowania; w trakcie opowiadania powoli docierało do niej, jak samotne było jej życie w Londynie. Nie miała przy tym pojęcia, iż przyczyną tego stanu była w znacznym stopniu jej uroda, która tworzyła barierę pomiędzy nią a pozostałymi dziewczętami z pracowni Madame Ramon. Zaś jeśli chodzi o mężczyzn, ich gorące spojrzenia nie czyniły na niej większego wrażenia niż piec ognisty na biblijnym Danielu. Nie miała w sobie nerwowej witalności miejskich dziewcząt, pod koniec dnia brakowało jej sił, by pójść na tańce czy włączyć się po ulicach.

– Żadnych młodych mężczyzn? – spytał Hugo. – No, no, zaskakujesz mnie.

Choć Daisy nie zdawała sobie z tego sprawy, czuł się urażony jej brakiem zainteresowania jego osobą. Zachowywała się, jakby nic dziwnego nie było w tym, że dobrze ubrany, młody dżentelmen – a takim przecież musiał się jej wydawać – pojawił się nagle w jej życiu, sprawił, że straciła pracę, po czym zabrał do ogrodów Kew z przystankiem na Berkeley Square. Hugo nigdy przedtem nie spotkał takiej dziewczyny. Nie należała do tych, które można poderwać i zabrać do garsoniery. Typowe zakamuflowane erotyczne przekomarzanie się, pełna animuszu, lecz żałośnie wąta pewność siebie dziewcząt, za którymi uganiał się od czasu do czasu z braku lepszej zdobyczy – wszystko to było jej najzupełniej obce. Przyciągała go tym bardziej, że troszkę się jej bał – obawiał się tego potencjału namiętności, który w niej wyczuwał.

Wyciągnąwszy ramiona, założył jej wianek ze stokrotek na szyję. Dłoń otarła się o jej szyję. Zadrżała lekko, ale nie spuściła wzroku z jego twarzy. Wianek odbijał się od chabrowej barwy jej prostej sukienki. Głosy bawiących się nieopodal dzieci wydawały się nieskończenie odległe.

– Ze mnie jest niezłe ziółko, Daisy – Hugo nie do końca panował nad swoim głosem.

– Naprawdę? – Ton jej głosu był jak powolna pieszczota. – Byłeś dla mnie bardzo dobry.  
– A z ciebie prawdziwa królowa maja...\* – Hugo poczuł ulgę pomieszaną z zakłopotaniem, jak ktoś, kto sądzi, iż udało mu się odwlec coś trudnego, ale wie, że im dłużej będzie się odwlekać, tym stanie się trudniejsze.

\* Królowa maja – wybiera się ją podczas zabaw w pierwszym dniu maja, gdy obchodzi się święto wiosny; odniesienie do wiersza Alfreda lorda Tennysona „Królowa maja” [The May Queen], tłum. Jan Kasprowicz.

– Jest taki wiersz – powiedziała Daisy. – Ona umarła, prawda?  
– Więc nie będę tak do ciebie mówił. – Hugo spojrział na nią, gdy tak leżała na plecach, wystawiając się do słońca, a słodka woń trawy unosiła się wokół jak symbol jej niewinności. – Będę nazywał cię Demeter.

- Kto to jest Demeter? – uśmiechnęła się niepewnie.
- Matka Ziemia. Bogini. Nauczyłem się tego, zanim mnie wyrzucili.
- Wyrzucili?
- Z bardzo drogiej prywatnej szkoły.
- Więc oboje nas wyrzucili. Ojejku.

Hugo owinał sobie pasmo jej pszenicznych włosów wokół palca. – I co z tym zrobimy?

– Och, jest takie piękne popołudnie. Nie psujmy go. – Widząc wyraz jego twarzy, zaniepokojony i pochmurny, dodała: – Nie powinieneś się o mnie martwić. Naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

Zapadła cisza. Nagle znów dały się słyszeć głosy dzieci, ptaków, dalekiego ruchu ulicznego. Chce mnie pocałować, pomyślała Daisy: dlaczego tego nie robi? Usłyszała, jak mówi, prawie z rozpaczą w głosie:

- Nic o mnie nie wiesz.
- Opowiesz mi kiedyś.

Patrzył na błękitne żyłki na jej powiekach, marzycielski uśmiech na półotwartych ustach i poczuł przypływ czułości tak silnej, że aż wstrząsnęła nim jak atak bólu.

- Chodź, zamieszkaż ze mną i bądź moją miłością.

Nie całkiem zdawał sobie sprawę, że powiedział to na głos. Zwróciła ku niemu szeroko otwarte oczy, błyszczące jak małe jeziora, jak klejnoty barwy letniego nieba.

– Chcesz tego? – wyszeptwała podekscytowana, leżąc z rozłożonymi szeroko ramionami, bawiąc się kępkami wysokiej trawy. Należała do niego już na zawsze i nie posiadała się z radości.

Leżeli tak, całując się. Przeszłość i przyszłość miłosiernie zniknęły na moment, zostawiając ich samych z tak pochłaniającą ich teraźniejszością.

### 3.

## *Szczęśliwy czas*

**D**wa miesiące później Daisy Bland siedziała sama w pensjonacie w Maida Vale, cerując skarpetki Hugo. Zamieszkali tu pięć tygodni wcześniej, gdy Hugo zabrakło pieniędzy. Wychowana w trudnych warunkach, wzdychała na myśl o tym, jak je roztrwonili, lecz było w tym również coś przyjemnego, gdyż przypominała sobie te trzy pierwsze tygodnie, w czasie których wiedli życie jak z bajki.

Wyszli zaraz z ogrodów Kew. Hugo w niezwykle dobrym nastroju, Daisy oszołomiona i pełna namiętnego oczekiwania. Udali się najpierw do firmy zajmującej się wynajmem samochodów w pobliżu

stacji Victoria, gdzie Hugo najwyraźniej był dobrze znanym klientem. Wypełnił formularze i uiścił kaucję, wyjąwszy z kieszeni spodni, podobnie jak wiele razy w ciągu tych dni, które nastąpiły później, garść jednofuntowych banknotów. Daisy nie zdążyła nawet zadać sobie pytania, jak często zdarzało mu się to wcześniej, z innymi dziewczętami, gdy już znaleźli się pod oknami jej pokoiku w Pimlico. Zostawił ją, mówiąc, że musi pojechać po swoje rzeczy (nie powiedział dokąd) i wrócił po półgodzinie. Daisy tymczasem spakowała walizkę, a potem, by zabić czas, wypisała karty pocztowe, w których poinformowała matkę i ciotkę, że wyjeżdża na wakacje z przyjaciółką. Wysławszy je, zapłaciła należność gospodyni i z uczuciem, że pali za sobą mosty, powiedziała, iż nie będzie już potrzebować pokoju.

Dostrzegła nadjeżdżający samochód. Zbiegła po schodach, jakby dom się palił. Hugo przebrał się, ale pozostał taki sam, pomyślała w przystępie szczęścia, jakby to było więcej, niż mogła oczekiwać. Niedługo później opuszczali Londyn i dawne życie.

- Dokąd jedziemy? – spytała Daisy.
- A dokąd chciałabyś pojechać?

Powiedział to tak, jakby miał do dyspozycji całą Anglię, cały wszechświat. Zaśmiała się z głębi serca i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Donikąd – odpowiedziała. – Na wieś. Gdzieś, gdzie będziemy sami. Ale nie...
- Nie w żadnym zajeździe czy jakimś snobistycznym hotelu. Możesz być tego pewna!
- Chciałam powiedzieć... nie tam, gdzie zabierałeś inne dziewczęta. Choć to mi nie przeszkadza, naprawdę...

Ujął jej prawą dłoń, paznokciami delikatnie przyciskając kostki.

- Nie ma żadnych innych dziewcząt. Już nie. To święta prawda, moja słodka Daisy.

Czując wszechogarniające ją szczęście, uwierzyła mu i nigdy nie miała tego żałować.

Zatrzymali się w gospodzie, w małym miasteczku gdzieś w hrabstwie Oxfordshire, bo ta właśnie spodobała się Hugo. Daisy uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie tego pierwszego wieczora, gdy patrzyli na siebie w sypialni, ona rozcierała w palcach listek geranium zerwany na podwórku, a Hugo spytał:

- Idziemy na kolację?
- Jeśli masz ochotę – odpowiedziała, przechyliwszy głowę do tyłu.

Krew szumiała jej w uszach. Hugo przez moment przyglądał się jej z drugiego końca pokoju. Czując przypływ podniecenia i przerażenia, zauważyła zmianę w jego twarzy. Przeszywająco błyszczące oczy zdawały się przyszpilać ją do ściany, przy której stała. Czowała się osaczona, bezsilna, a jednocześnie dziko przyzwalająca. Stał się jej obcy, był jak jastrząb, który kołuje w powietrzu, zanim rzuci się na swą ofiarę. Przyłgnęli do siebie, jakby połączeni nagłym uderzeniem wiatru z bezchmurnego nieba. Była naga, patrzyła na niego, nie poruszając się, jak zwierzę w sidłach, które w rękach kłusownika najpierw udaje martwe, a potem drży i próbuje walczyć. Ale ból sprawiał przyjemność, poddanie się i gwałtowne, rozkoszne poniżenie. Usłyszała, jak mówi:

- Nie ma nikogo takiego jak ty, kochana.

Zeszła z nim na kolację jak we śnie, nie wiedziała, co je ani co mówi. Usiedli później w barze, oglądając mecz gry w lotki. Hugo włączył się. Zauważyła, że był dobrym graczem, skoncentrowanym, pochłoniętym grą: we wszystkim, co robił, przejawiał się wrodzony wdzięk i zręczność. Raz czy dwa popatrzył na nią jak dziecko domagające się zachwyty matki. Poczowała jakieś nowe uczucie, zupełnie inne od tych, jakie wywoływał w niej do tej pory. Po zakończeniu przeciwnik zaproponował mu rewanż. Hugo wziął lotki do ręki, po czym uniósłszy brwi, spojrzał zagadkowo na Daisy. Właściwie nie zdając sobie

sprawy z tego, co robi, patrzyła na niego poprzez tłoczne, zadymione pomieszczenie spojrzeniem, które nie było ani nieśmiałe, ani zuchwałe, lecz wyczekujące, które przyciągnęło go do niej jak niewidzialna nić. Odkładając lotki, powiedział do przeciwnika:

– Nie teraz, dzięki. Jutro wieczorem, jeśli się tu spotkamy.

Wrócili na górę: tym razem Daisy stała się w pełni kobietą. Wciąż było go jej za mało. „Panie! Panie!” – wołała jej chłopska krew. Wreszcie zasnęła, szlochając z rozkoszy. Pokój wypełniał zapach kwiatów rosnących w skrzynkach na parapecie.

**D**aisy chętnie zostałaby tam na zawsze. Jednak trzeciego dnia Hugo zaproponował wyjazd. Zgodziła się, wyczuwając w nim niepokój, którego nawet jej miłość nie mogła ułagodzić. I tak przez trzy tygodnie ich mały samochodek jeździł z hrabstwa do hrabstwa. Hugo prowadził szybko, ale zawsze zwalniał, jeśli Daisy o to prosiła. Wyobrażała sobie czasami, że są zbiegami, którzy kluczą, co raz to zmieniają kierunek, by zmylić okrutnego prześladowcę. Ten absurdalny pomysł bawił ją, lecz i trochę niepokoił. Któregoś dnia Daisy powiedziała:

- Czuję się, jakbyśmy uciekali, jakby ktoś nas ścigał.
- Tak właśnie jest, kochanie.
- A przed czym uciekamy? – spytała rozmarzona.
- Przed prawdziwym życiem. Jesteśmy uciekinierami.

Powiedział to lekkim tonem, czuła jednak, że tym pytaniem dotknęła jakiegoś czułego punktu – jeszcze przez jakiś czas Hugo nic nie mówił, a to było zupełnie do niego niepodobne. Jechali właśnie wzdłuż długiego, wysokiego muru. By oderwać go od jego własnych myśli, rzuciła nagle:

– Ciekawe, co jest po drugiej stronie.

Hugo natychmiast zatrzymał samochód. – Zobaczmy.

Wysiadł, rozejrzał się, nasłuchiwał przez chwilę, po czym zaczął biec w kierunku muru. Pomyślała, że zwariował, bo mur był wysoki na prawie dwanaście stóp. Hugo podskoczył lekko jak fala i wyciągając stopę przed siebie, odbił się od muru w połowie wysokości. Nabral takiego rozpędu, że dłońmi złapał krawędź. Wyciągając ramiona, takim samym szybkim ruchem podciągnął się i usiadł na murze okrakiem. Zdawało się, że nie było w tym nic trudnego, że wzniosł się w górę lekko jak bańka mydlana.

– Kwestia wprawy – zawołał do niej z góry, nawet odrobinę nie zasapany. – Każdy może wejść na mur, pod warunkiem, że jest od niego nie wyższy więcej niż dwa razy. Dalej, spróbuj!

Podciągnął ją do góry – Daisy dobrze wiedziała, jaka siła drzemie w tych szczupłych przegubach i palcach – po czym posłał jej spojrzenie, jednocześnie bez troskie i dziwnie wyzywające, którego nie mogła zrozumieć ani zapomnieć. Gdy myślała o tym zdarzeniu później, gdy знаła już prawdę, zdała sobie sprawę, że chciał dać jej w ten sposób do zrozumienia to, czego nie śmiał lub też ze względu na swój charakter nie potrafił wyrazić słowami. Przypominały jej się i inne zdarzenia, kiedy to odgrywał nieme przedstawienie, jakby chciał, żeby się domyśliła, kiedy z łobuzerskim wyrazem twarzy niegrzecznego uczniaka pozwalał sobie mówić o rzeczach, które mogłyby go zdemaskować.

Och – pomyślała, zabierając się do cerowania kolejnej skarpety – powinnam była się domyślić. Próbował mi powiedzieć, bał się mi powiedzieć – bał się, tak, bał się, że mnie straci albo że zepsuje nasz miesiąc miodowy. Niemądry chłopiec.

– Dziwna z ciebie dziewczyna – powiedział Hugo pewnego dnia, bawiąc się obrączką, którą kupił jej, gdy wyjeżdżali z Londynu i którą nosiła na palcu. – Nigdy mnie nie prosiłaś, żebym się z tobą ożenił.

– No to ty mnie poproś.

Leżeli wysoko na wzgórzu, gdzieś w Dorset. Poszycie lasu zasnute było dzwonkami, jakby ziemia pod nimi się tliła, a śpiew strzyżyków to rozbrzmiewał głośniejszy, to cichły. Hugo odwrócił się na plecy, mówiąc do drzew, których liście ocieniały mu twarz.

– Czy zechciałabyś poślubić kogoś tylko dlatego, że go kochasz, niezależnie od tego, kim naprawdę jest?

Pytanie to wydało jej się absurdalne, ale zmądrzała już na tyle, by nie powiedzieć nie.

– Wiem, że nie jesteś... zły – odważyła się powiedzieć.

– Cholernie dużo o mnie wiesz. – Ton jego głosu był ostry, ale Daisy odparła łagodnie:

– Możesz mi powiedzieć. Chyba, że tego nie chcesz, kochany.

Nic nie odparł, więc mówiła dalej:

– Wiem, że masz dwadzieścia osiem lat, że twój ojciec jest duchownym, że wyrzucili cię ze szkoły, że byłeś w Australii, walczyłeś na wojnie i dostałeś się do niewoli, pracujesz jako przedstawiciel handlowy, cokolwiek to znaczy. I jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego znam.

– Całkiem niezłe. – Popatrzył na nią badawczo. – Co pomyślałaś o mnie, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz?

– Że wyglądasz jak kłusownik.

– Kłusownik? W St John's Wood? A to dobre!\* – Hugo zaśmiał się. Po chwili powiedział: – Nienawidzę myśli o byciu w pułapce. To jedyna rzecz, której się naprawdę boję.

\* Gra słów. W nazwie dzielnicy „wood” – las (ang.).

– W pułapce małżeństwa, tak?

– To też. Nie jestem stworzony na zwierzę domowe.

– No cóż, to się nie pobierajmy.

– Kochanie, nie zachowuj się jak pielęgniarza, która spełnia wszystkie życzenia marudnego pacjenta, na miłość boską!

Jej oczy wypełniły się łzami, ale Hugo nie patrzył na nią. Ściśniętym głosem zapytał:

– Wyszłabyś za mnie, gdybym był... mordercą?

– Tak – odpowiedziała po prostu. – Gdybyś chciał się ze mną ożenić. Ale...

– Nie, nie jestem mordercą. Pomijając zabijanie na wojnie. Posłuchaj, Daisy – gdybyś była mężczyzną, złym, typem kryminalisty... Poprosiłabyś dziewczynę o rękę?

– To nie ja zaczęłam tę rozmowę o małżeństwie – odpowiedziała, zakłopotana i zraniona tym, że odrzucił jej współczucie.

– Poprosiłabyś? – naciskał.

– Przypuszczam, że przestępcy też się żenią. Dlaczego mieliby tego nie robić?

Hugo dalej nie naciskał. Daisy czuła się, jakby go zawiodła, ale nie wiedziała, dlaczego. Cała ta rozmowa wydawała jej się zwariowana, jakby nierzeczywista. Przestępcy to ludzie, o których czyta się w gazetach – chuligani, Teddy boys\*, zamaskowani włamywacze, mordercy – albo ci mężczyźni o oczach jak szparki, których spotykało się czasem w wąskich uliczkach w okolicach Shaftesbury Avenue: opryszki, hołota. Mimo tej szczypty dzikości Daisy nie była w stanie wyobrazić sobie, iż Hugo, człowiek kulturalny, dżentelmen, mógłby mieć coś wspólnego z tym półświatkiem. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że spadł do St John's Wood prosto z Marsa. Dlaczego wciąż zachowuje się, jakby ukrywał jakąś mroczną tajemnicę? A może, przyszło jej nagle do głowy, jest zdrajcą, agentem komunistów, kimś w tym rodzaju...? Wtedy poczuła jego dłonie na swoim ciele, dotyk chłodnego powietrza na skórze, gdy

zdejmował z niej ubranie. Mówił, jaka jest piękna, jedyna kobieta na ziemi, Ewa odpoczywająca w lesie w raju. Jak listek w ogniu, skuliła się, zwinęła, zniknęła. Nic więcej się nie liczyło – to był jej mężczyzna.

\* Teddy boys – subkultura młodzieżowa rozpowszechniona w latach 50-tych. Teddy boys odrzucali konwencjonalny sposób zachowania, ubierania się, nosili stroje w stylu edwardiańskim, przypisywano im również chuligańskie wybryki.

**P**od koniec tego okresu znaleźli się w małym porcie na południowym zachodzie. Było tam wesołe miasteczko. Hugo zabrał ją tam po kolacji. Cały dzień był w złym humorze, zamknięty w sobie, ale teraz – Daisy przyzwyczajała się do jego zmiennych nastrojów – nagle przypominał snop iskier z palącego się polana. Okrzyki naganiaczy, trzask strzelb na strzelnicy, głośna muzyka z karuzeli zdawały się działać na niego jak gorączka, którą zarażał i ją. Ciągnąc Daisy od straganu do straganu, celując do orzechów kokosowych, strzelając do piłeczek pingpongowych tańczących na wodotryskach, pędząc samochodziem i zderzając się z innymi, przypominał podekscytowane dziecko, które raczej padnie ze zmęczenia, niż zrezygnuje z jakiejś atrakcji. Daisy zauważyła, że dziewczęta przyglądają się Hugo, a sprzedawcy w poszczególnych kramikach mrugają do niego.

– No, chodź, moja złotowłosa ślicznotko – zawołał, po czym posadził ją na drewnianym koniu, zanim zdążyła zaprotestować i powiedzieć, że na karuzeli robi jej się niedobrze. Światła wirowały i rozszczeptały się, wesołe miasteczko kręciło się jak pokój wokół pijanego człowieka, wznosząc się i opadając. Karuzela wreszcie się zatrzymała.

Daisy zrobiło się tak niedobrze, że gdy zsiadła z konia, zachwiała się, zatoczyła i upadła.

Stojący nieopodal przysadzisty młody człowiek w czapce rzucił do swego towarzysza:

– Boże, jeszcze jedna pijana! Patrz, jest kompletnie zalana.

Hugo, który właśnie mówił Daisy, by ułożyła głowę między kolanami i przez chwilę się nie ruszała, wyprostował się natychmiast i stanął naprzeciw mężczyzny.

– Co powiedziałeś o tej młodej damie?

– Damie? – mężczyzna zaśmiał się drwiąco.

Hugo wymierzył mu trzy ciosy – lewą ręką w brzuch, a potem prawy i lewy w szczękę, aż zagrzechotało – nim tamten zdążył się zorientować, co się dzieje. Był jednak tak wielki, jak Hugo szybki. Odbił się od ściany namiotu, na którą zatoczył się po ciosach Hugo, wznosił pięści i ruszył w stronę znacznie drobniejszego przeciwnika. Daisy znów zrobiło się słabo, choć z całkiem innego powodu: młody mężczyzna w czapce – trzymała się głowy jak przyklejona – sprawiał wrażenie niebezpiecznego, wyglądał jak olbrzym. W świetle latarni dostrzegła twarz Hugo, skupioną, z szerokim, złowrogim uśmiechem. Poruszał się jak na kółkach: zrobił unik przed potężnym prawym sierpowym – potem tłum otoczył walczących i Daisy więcej nic nie widziała. Słyszając odgłosy uderzeń, aż krzywiła się z bólu. Nagle ktoś krzyknął: „Policja, policja jedzie!”. Tłum westchnął i rozbiegł się. Hugo rzucił się w stronę Daisy, złapał ją za rękę i powiódł między stoiskami na otwarty teren, biegnąc w stronę morza.

– Boli cię, kochanie? – zapytała, przyglądając mu się z niepokojem, gdy znaleźli się na promenadzie.

Potrząsnął energicznie głową, jakby chciał oczyścić sobie umysł, i pociągnął ją, bo zatrzymała się pod latarnią.

– Wszystko w porządku. Ale jutro będę mieć niezłą śliwkę... Widziałaś policjantów czy to fałszywy alarm?

– Nie mam pojęcia.

– Mogłem go zabić – dłoń Hugo drżała w jej dłoni.



– Nie myśl już tym, kochanie. To nieważne.

Zatrzymał się kawałek dalej i stał, nasłuchując. Daisy słyszała tylko spokojne uderzenia fal o brzeg i bardziej oddaloną muzykę z karuzeli górującą nad bezładnymi hałasami wesołego miasteczka. Zdała sobie sprawę, że wciąż ścisła w dłoni jasnowłosą lalkę, którą Hugo wygrał dla niej na strzelnicy.

– Co się stało? – zapytała.

– Tak tylko nasłuchuję. Z przyzwyczajenia. – Zdawało się, że mówi sam do siebie.

– Co masz na myśli?

– Och, to jeszcze z czasów, gdy byłem jeńcem wojennym. Raz czy dwa próbowałem uciec.

– Ale to przecież policja...

– Nie chcę, żeby policja mieszała się do naszych wakacji, kochanie. – Odwrócił swe błyszczące oczy. – Załóżmy, że złapaliby mnie za napad na tego drania, ciebie też by w to wciągnęli, wyszłoby, że nie jesteśmy małżeństwem. Niekończące się problemy i zawracanie głowy. Nie masz pojęcia, jak to jest.

Przez kilka minut szli w ciszy. Zbliżali się już do hotelu, gdy Daisy zapytała:

– Może wolałbyś wyjechać? Pojechać na noc gdzie indziej?

– Nie, do diabła z nimi. Już za późno. Wyjedziemy jutro wcześniej rano.

Nie wyjechali jednak tak wcześniej, jak zamierzał. Tej nocy Daisy obudził jego głos, mamrotał coraz głośniejsze, wreszcie krzyknął w koszmarze. Był to okropny dźwięk, jakby niemy człowiek próbował wyrazić swoje cierpienie – z najskrytszych głębi jego jestestwa wydobywały się drżące dźwięki, wreszcie wyrwały się słowa:

– Wypuście mnie! Wypuście mnie! Wypuście mnie!

Gdy próbowała go obudzić, jej dłonie ślizgały się po jego mokrych od potu ramionach.

– Już dobrze, kochanie. Jestem przy tobie. To tylko sen. Obudź się, najdroższy! Mój biedny Hugo, biedny Hugo...

Z całych sił przyciskała jego głowę do piersi. Przez chwilę męczył się jeszcze bardziej, potem, obudziwszy się wreszcie, ścisnął ją tak mocno, że aż pisnęła.

– O Boże, co za straszny sen! – krzyknął. Drżał. Serce waliło mu tak, że zdawało się, iż rozerwie jego ciało na kawałki.

Daisy włączyła światło, a gdy się uspokoił, wyszła z łóżka, by przynieść mu ręcznik.

– Jesteś cały mokry. Wytę cię.

Popatrzył na nią jak dziecko, wyczerpane dziecko. Wargi wciąż mu drżały, wodził za nią oczami, jakby nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę przy nim jest.

– Już dobrze – stwierdziła żywo. – Co ci się śniło? Strasznie krzyczałeś.

– Przepraszam, pielęgniarzeczko. To już się nie powtórzy – miejmy nadzieję. Co mówiłem?

– Wołałeś cały czas „Wypuście mnie!”.

Oczy Hugo zmieniły swój kpiący wyraz i pociemniały.

– Tak krzyczałem, naprawdę?

Zamilkł na chwilę, trzymając ją za rękę. Zerknął na nią tym swoim zagadkowym, badawczym, dziwnie wyzywającym spojrzeniem, które zaczynało stawać się jej znajome.

– Kiedyś pochowano mnie żywcem.

– O mój Boże! W czasie wojny?

– A kiedyś w szkole kilku chłopaków zamknęło mnie w szafce. O mało nie zabiłem jednego z nich, kiedy się stamtąd wydostałem. Dlatego mnie wyrzucili.

– To okrutne. Tak kogoś zamknąć.

– Ludzie są okrutni. Nie zauważyłaś tego? – Jego palce dotykały czerwonych śladów, które wcześniej odcisnęły na jej ciele. – Bo się boją. Ludzie, którzy się boją, chociaż ja sam też, przerażają mnie. Nie chcę mieć z nimi nic do czynienia. Jako dziecko byłem raczej nieśmiały. Zmuszałem się więc do robienia rzeczy, od których włos się jeżył na głowie. I zazwyczaj je robiłem. Popisywałem się przed samym sobą – i przed każdym, kto mi się nawinał, w każdym razie tak mówili. No i się przyzwyczailem...

Mówił tak bezładnie przez blisko godzinę, jakby otwarły się śluzy. Daisy nie rozumiała połowy z tego, co mówił – jego umysł był dla niej zbyt szybki. Co on próbuje mi powiedzieć? – zastanawiała się. Jak mogę mu pomóc? Chciałabym być starsza i lepiej znać się na ludziach. No i kobiety powinny rozumieć różne rzeczy poprzez intuicję.

Zdawało jej się, że w łóżku obok niej leży ktoś obcy, jakby ktoś o wyglądzie znanej osoby mówił głosem kogoś obcego. Było to jednocześnie zaskakujące i radosne, i sprawiło jej prawie zmysłową rozkosz. Smakowała swoją władzę nad nim, choć jednocześnie jej słabość – niemożność zrozumienia jego bezładnych, pospiesznych słów – martwiła ją. W jej głowie brzmiały słowa – „żywcem pogrzebany na dwanaście miesięcy”. Powiedział to czy zdawało jej się? Nie, to niemożliwe, nikt nie może być pogrzebany żywcem przez dwanaście miesięcy.

Skrawki tego, co mówił, przypominały jej się w ciągu kilku następnych dni: nie była jednak w stanie powiązać ich w jedną całość: brakowało łącznika. Ponadto w tym czasie zbyt jeszcze była pochłonięta swymi własnymi reakcjami, dowiadywała się wielu nowych rzeczy o samej sobie, by zastanawiać się nad innymi sprawami. Przy tym, będąc wiejską dziewczyną, miała nie tylko fatalistyczne podejście do życia, ale też i mądrość, dzięki której wiedziała; iż czasami należy sprawy zostawić takimi, jakimi są: nie wchodzi się do klatki lwa tylko po to, by udowodnić, że lwy są niebezpieczne.

Następnego ranka zaspali. Gdy opuszczali port, było prawie południe. A już kilka dni później Hugo stwierdził ni stąd, ni zowąd:

- Musimy wracać, kochanie.
- Wracać? Do Londynu?
- Tak. Pieniądze się skończyły. Finito. Jestem splukany. Naprawdę.

Daisy patrzyła przez okno samochodu na odpływające w przeszłość kwiatki na żywo płocie.

– Zatrzymaj się na chwilę – rzuciła impulsywnie, po czym, gdy krajobraz zwolnił i stanął w miejscu, dodała: – Chcę się pożegnać, jak należy.

– Ze mną?

– Z naszymi wakac... z naszym miesiącem miodowym. – Otwierając okno, wyciągnęła dłoń i zerwała gałązkę z żywo płotu.

Przyglądał jej się bez słowa. Nie patrząc na niego, zapytała:

– Chcesz... mam cię opuścić, gdy wrócimy?

Po chwili Hugo spytał:

– A czy było warto?

– O, tak. Tak! – krzyknęła. Oczy błyszczały jej jak gwiazdy.

– To nie opowiadaj bzdur o opuszczaniu, moja kochana.

– Ale jak możesz sobie na to pozwolić?

– Nie mogę sobie pozwolić, by być bez ciebie. – Wesole, zuchwałe spojrzenie powróciło na twarz Hugo. – Zawsze mogę skombinować jakieś pieniądze.

## 4.

### *Wieczór w Maida Vale*

Wspomnienia tych dni wciąż odbijały się echem w jej umyśle. Daisy odłożyła ostatnią parę skarpet i podeszła do okna. Wychyliła się, opierając łokcie na parapecie. Przypominała rozbitka szukającego na horyzoncie śladów ludzkiego życia. Jej horyzontem był rząd wolno stojących dużych domów, zapuszczonych i tajemniczych. Splatające się krzewy wawrzynu i ligustru, jak grupki mężczyzn z pochylonymi głowami, planujących jakiś brudny interes, sondowały partery domów. Tynk z fasad oblaźił i tracił kolor, jakby jeden od drugiego zarażały się jakąś chorobą skóry. Niektóre spośród tych rezydencji były wciąż zrujnowane i zabite deskami po wybuchu bomby w pobliżu, prawie dziesięć lat temu. Ale nawet te, które nie były opustoszałe, nie wyglądały na to – można by przypuszczać, że ich mieszkańcy, przyszedłszy na świat w takich miejscach, zbyt się tego wstydzili, by pokazać twarze. Było to sąsiedztwo, w którym nie panowały dobrosąsiedzkie stosunki. Wychowana na wsi Daisy odczuwała swoje odosobnienie nie tyle ostro, co jako stały, wszechobecny ból. Tęskniła za dziewczętami z atelier, brakowało jej nawet hałaśliwego życia w Pimlico. Tutaj ruch był niewielki. Zdawało się, że nieliczni przechodnie myślą tylko o tym, by wydostać się stąd jak najszybciej. Pranie nie suszyło się na sznurach, nie widać było głów w oknach, w uliczce nie słychać było plotek. Nawet pozostali mieszkańcy jej domu zdawali się uczestniczyć w spisku milczenia. Mijali ją na schodach, kolorowi studenci z uprzejmym „dzień dobry” lub „dobry wieczór”, inni całkiem bez słowa. Choć sufity i ścianki działowe były cienkie, nie przedostawało się przez nie wiele dźwięków. Te, które dawały się słyszeć, były przerywane i pozbawione znaczenia – zdawały się nie mieć związku ze zwykłymi odgłosami życia domowego.

Pozbawiona wyrazu, jakby przytłumiona egzystencja otoczenia zaczęła już zarażać Daisy swym jakże sugestywnym poczuciem braku odpowiedzialności, nonszalancją życia z dnia na dzień. W czasach gdy była dziewczynką, nauczyła się schludności, oszczędności, bycia dobrą gospodynią, lecz tutaj, w atmosferze ogólnego niechlujstwa, jej zasady stawały się mniej rygorystyczne. A Hugo, choć nigdy by tego głośno nie przyznała, wcale jej nie pomagał. Nieporządny jak mały chłopczyk, zostawiał bieliznę, koszule, ręczniki porzucane na podłodze ich ciasnej sypialenki. Byle jak upychał swoje rzeczy w szufladach, a jeśli czegoś szukał, wyrzucał całą ich zawartość i nigdy nie chował nic z powrotem. Te zwyczaje napełniały ją czułą złością. Gdy raz zaprotestowała, odpowiedział jej łagodnie, lecz stanowczo:

– Nie możesz robić ze mnie *oswojonego* kota, moja droga.

Nawet nie zamierzała próbować. Ona sama była taką domatorką, że wystarczyło za ich dwoje. Wciąż jeszcze sprawiało jej przyjemność chodzenie za nim, porządkowanie bałaganu, jaki za sobą, zostawiał, pranie bielizny, którą zawsze zmieniał zbyt rzadko, prasowanie i czyszczenie jego garniturów. Dało się zauważyć, że zanim się poznali, pamiętał wyłącznie o tych dwóch ostatnich czynnościach. Nie, to nie jego dość wielkopańska nonszalancja w stosunku do majątku zaczęła zmieniać Daisy, to było coś głębszego – brak korzeni ich wspólnego życia, który, co dziwne, był zauważalny jeszcze bardziej teraz, gdy osiedli w Maida Vale, niż w czasie tych pierwszych tygodni podróży po angielskiej wsi. Nie można mieć domu, przeczuwała niejasno Daisy, bez jakichś perspektyw: korzenie zapuszcza się w przyszłość, a nie w przeszłość.

Jak każda normalna kobieta Daisy potrzebowała rutyny, która jest symbolem bezpieczeństwa. Ale w życiu z Hugo stworzenie rutyny było niemożliwe. Jednego dnia spędzał całe godziny poza domem – „na spotkaniach służbowych”, jak mówił; następnego leżał przedpołudnie w łóżku, czytając gazety,

przyglądając się, jak Daisy sprząta, a potem przyciągał ją do siebie na łóżko. Lub też, w przypiływie wesołości, zabierał ją na jakąś wycieczkę – często wtedy, gdy właśnie zaczynała przygotowywać posiłek. Bardzo to lubiła, ale z drugiej strony ich wspólne życie wydawało się jeszcze bardziej ulotne i nie otwierała się przed nimi żadna przewidywalna droga na przyszłość. Daisy zaczęła przyzwyczajać się do nowego otoczenia, biorąc życie, jakim jest.

Wciąż jeszcze miała trochę oszczędności z czasów, gdy pracowała. Hugo powiedział jej, że czynsz został opłacony do końca roku – wynajmował te pokoje na stałe, służyły jako miejsce schronienia w czasach, gdy brakowało mu pieniędzy. Skąd brały się te pieniądze, Daisy wciąż nie miała pojęcia. Od czasu do czasu Hugo dawał jej kilka jednofuntowych banknotów na utrzymanie domu. Były dla niej jak prezent, tak była w nim zakochana. Wystarczyło jej wiedzieć, że pieniądze są od *niego*. Któregoś razu zapytała go, nie tyle z ciekawości, co z kobiecej potrzeby rozmawiania, czym zajmuje się „przedstawiciel handlowy”.

– Po prostu organizuję interes między dwoma facetami i pobieram prowizję – odrzekł Hugo, a Daisy dalej nie miała pojęcia, na czym to polegało.

Pozostała wiejską dziewczyną, dla której „szlachetnie urodzeni” to zupełnie inna rasa: ich słabości i porażki stają się tematem ciepło złośliwych plotek, a źródła przychodów brano za oczywistość – amatorzy życia, którzy poruszają się jakby po zewnętrznej orbicie świata, romantyczni, którym się zazdrości, ale nigdy nie bierze całkiem na serio. Hugo był najwyraźniej jednym z tych „szlachetnie urodzonych”. Dlatego też Daisy przyjmowała jego dziwactwa i zakładała, że jego nonszalanckie podejście do pieniędzy – wydawał je hojnie, gdy je miał, a potem pracował, jeśli potrzebował „skombinować” trochę forsy – jest zupełnie normalne w przypadku pełnych temperamentu młodych mężczyzn z tej klasy. Pasowało to również do pojęcia o życiu „towarzystwa”, jakie wyrobiła sobie na podstawie lektury rubryk plotkarskich, które czytała pilnie z niejasnym poczuciem przygotowywania się do dnia, w którym wprowadzi ją do tego eleganckiego świata.

Obecnie jednak była zadowolona z tego, co miała. Nawet z tego odosobnienia, mimo że czasem ją drażniło, mogła cieszyć się, traktując je jako niezbędny element cudownego snu, w jakim żyła. Niedługo po powrocie do Londynu poszła odwiedzić ciotkę, poszła z radością, której nawet lodowata reakcja na wiadomość, podaną szczerze i otwarcie, że mieszka z mężczyzną, nie była w stanie rozproszyć. Ciotka raczej zrzędziła niż groziła: wiele słów padło na temat złej krwi, jaką Daisy musiała odziedziczyć po swym ojcu, który opuścił rodzinę. Szybko jednak stało się jasne, że ciocia bardziej martwiła się własną reputacją niż reputacją siostrzenicy – nie mogła polecić dziewczyny nikomu znajomemu, dopóki ta zamierzała pozostawać w tym nagannym związku. Marnujesz się dla tego młodego człowieka, powtarzała. Dopiero pod koniec rozmowy jej zrzędlawy

ton zmienił się, gdy patrzyła swym ukradkowym, nerwowym spojrzeniem na rozpromienioną dziewczynę. Wyrwało jej się: – No cóż, to twoje życie, nie moje. Zdaje się, że jesteś z nim szczęśliwa. Tak, tak, żyje się tylko raz, moja kochana Daisy... – Po czym, jakby żalując tego odstępstwa od własnych zasad, dodała: – Ale to nie potrwa długo, moja droga. To nigdy nie trwa długo, uwierz mi! Powinnaś go przekonać do małżeństwa.

Na co Daisy, czując się nieskończenie mądra i głęboko pewna uczuć Hugo, odparła: – Nie możemy być już bardziej małżeństwem, ciociu, choćbyśmy wzięli ślub w Westminster Abbey.

**H**ugo wrócił dopiero po zmroku. Daisy usłyszała jego szybkie kroki na klatce schodowej i rzuciła mu się na szyję, gdy otworzył drzwi.

– Kochanie! Myślałam, że już nigdy nie wrócisz.

– Kolacja znów przypalona?  
– No cóż, od dość dawna jest w piekarniku.  
– Nic nie szkodzi. Twa ofiara całopalna ma dla mnie słodką woń, rzekł Pan. A tu moja ofiara na świątynię. – Wyciągnął schowaną za plecami dłoń. Trzymał w niej wielki bukiet goździków.

– Och, jakie śliczne! Hugo, nie trzeba. Skąd je wzięłeś?

– Przechodziłem właśnie obok ogrodu pani Chetwynd-Smythe, gdy je zobaczyłem. Goździki zdecydowanie trzeba było trochę przerwać. Miała ich o wiele za dużo, co za wulgarne popisywanie się. Zrobiłem trochę porządków w ogródku tego starego pudła.

– Och, Hugo, wariat z ciebie! – uśmiechnęła się do niego radośnie sponad bukietu. – Dobrze wiem, jak to było. Nie zjadłeś lunchu, żeby je kupić. Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem i bardzo cię kocham.

Rzucił kapelusz na wieszak na drzwiach jak ringo, zatańczył z Daisy walca, po czym ze śmiechem opadł na rozchybotany wiklinowy fotel.

– Tak, głodny jestem. Przynieś zarcie, niewolnico, albo ciebie zjem, taki z ciebie soczysty, pyszny kąsek.

Daisy podniosła kapelusz, który upadł na podłogę. Zarażona, jak zwykle, jego wesołym nastrojem, obrzuciła go kwiatami i wybiegła do małej kuchenki, zanim zdążył się wyswobodzić. Gdy wróciła z kolacją, goździki były już w wazonie wraz z małym bilecikiem.

„Na osiemnaste urodziny mojej kochanej Daisy” – przeczytała. Przez chwilę nie mogła powiedzieć ani słowa.

– Miałem zamiar je przemycić i dać ci jutro. Ale...

– Och! Skąd wiedziałeś? Pamiętales...

– Oczywiście, że pamiętałem. Nie płacz, kochanie. Nic złego się nie stało, prawda?

– Nie, nie. Po prostu... – Ukryła twarz na jego ramieniu, klęcząc przy nim. – Jestem z tobą taka szczęśliwa. Nie masz pojęcia. Czuję się, czuję się jak kobieta zameżna. – Spojrzała na niego. Zaskoczył ją pochmurny wyraz na jego twarzy. – Nie... – powiedziała szybko – to nie to, nie chcę nic więcej, dajesz mi wszystko, czego pragnę.

Twarz rozchmurzyła się.

Gdy zabrali się do kolacji, Hugo powiedział Daisy, że kroi mu się poważny interes. Dlatego ostatnio często nie było go w domu. Dziś w nocy, trochę później, będzie musiał wyjść jeszcze raz, by go załatwić ostatecznie. Jeśli się powiedzie, Daisy dostanie prawdziwy prezent urodzinowy.

– I moglibyśmy się na trochę wynieść z tej nory. Co byś powiedziała, gdybyśmy zamieszkali w Ritzu, słoneczko?

– Och, ale ja nie mogę. Nie mam w co się ubrać.

– To się da załatwić. Chociaż taka jak teraz też byś ich poraziła.

– Jesteś zmęczony? Nie podoba ci się tutaj? – spytała, rozglądając się po ubogim, zagraconym pokoiku z poczuciem straty.

– A komu by się podobało? – odparł niedbale.

– Mnie – nie udało jej się ukryć zranionego tonu.

– Ależ musi ci być tu nudno. Nikogo nie widzisz, podczas gdy ja kręcę się poza domem – odrzekł natychmiast.

– Nie mam ochoty widzieć nikogo oprócz ciebie. I mam mnóstwo roboty.

– To niezdrowo, kochanie. – Jego piwne oczy rozbłyły. – Młoda kobieta potrzebuje odpowiedniego towarzystwa osób tej samej płci. – Albo zaczyna myśleć o dziecku...

– No cóż, nigdy nie widuję twoich przyjaciół – stwierdziła Daisy, która nie zawsze spokojnie przyjmowała jego łagodne kpiny.

– *Moich* przyjaciół! Och, nigdy bym nie...

– Uważasz, że są dla mnie za dobrzy? – Wyrwało jej się, zanim zdążyła się powstrzymać, ale Hugo nie zdawał się dotknięty.

– Wprost przeciwnie – odparł łagodnie. – To nieciekawe typy. Nie ufałbym im ani trochę. Oprócz starego Jacko oczywiście.

– Kto to jest Jacko?

– Bardzo dobry człowiek. Spotkałem go po wojnie. Doktorek. Podobny do zółwia. Słuchaj – może zaprosilibyśmy go jutro na kolację, by uczcić twoje urodziny.

– Ale ja...

– Nie martw się tym. Po południu zrobię zakupy w Fortnum's.

– Nie myślałam o jedzeniu. Tylko byłoby miło zjeść kolację we dwoje, skoro to moje urodziny.

Hugo pogroził jej widelcem.

– Posłuchaj, moja kochana: narzekasz, że nigdy nie widzisz *moich* przyjaciół, a kiedy chcę ci kogoś przedstawić, zmieniasz zdanie. Naprawdę, kobiety mnie zdumiewają.

– Nie o to mi chodziło. Oczywiście, zaprosimy go. Jak się nazywa?

– Jacko. Och, Jaques – John Jaques.

– I jest lekarzem?

– Jutro ci o nim opowiem. Zagrajmy po kolacji w warcaby. Muszę się uspokoić przed wielką chwilą.

Daisy wyczuwała w nim napięcie – stłumione podniecenie, inne niż to, które znała. Mimo to następna godzina upłynęła im całkiem miło. Parę minut po jedenastej, po wygraniu kilku partii warcabów, Hugo podniósł się, mówiąc, że musi iść po dokumenty. Nad ich mieszkaniem, które znajdowało się na ostatnim piętrze, był mały stryszek. Hugo trzymał tam jakieś kufry. Słyszała nad głową odgłosy jego stóp. Właśnie zamknął drzwi – zawsze zamykał drzwi strychu – i zszedł po drabinie. Miał teraz na sobie ciemny płaszcz przeciwdeszczowy z paskiem, którego nigdy wcześniej nie widziała, i czarne rękawiczki.

– Nie czekaj na mnie, Daisy. Mogę przyjść bardzo późno.

– Dziwna pora na...

– Och, wiesz, z tymi waźniakami nie jest łatwo. Trzeba się do nich dostosować.

Gdy Hugo podszedł, by ją przytulić, płaszcz nieco się rozchylił.

– Och, kochanie – zawołała. – Masz na sobie swój stary garnitur...

– Stary garnitur?

– Nie powinieneś się przebrać? Skoro to spotkanie jest takie ważne...

– Może i powinienem. Ale trudno. Już jestem spóźniony. A teraz trzymaj za nas kciuki i idź się położyć. Pa, kochanie. Lecę.

Napięcie Hugo musiało udzielić się Daisy, gdyż nie była w stanie zasnąć. Leżała z otwartymi oczyma, przez głowę przelatywały jej różne myśli, przepelniał ją niepokój, którego nie była w stanie wytłumaczyć. Gdy chwilę temu żegnała się z Hugo, wyczuła jakiś wystający, płaski przedmiot, teczkę czy torbę, w kieszeni kłusownika jego garnituru. Kieszeń kłusownika to był taki ich wspólny żart. Pamiętała, jak któregoś razu, podczas wakacji, spodobały mu się podkładki pod kufle z piwem i nagle szybkim ruchem schował je do tej pojemnej kieszonki: trochę rozbawiona, trochę zszokowana, kazała mu je odłożyć.

– Przecież oni dostają je za darmo od browarów – odparł zdziwiony, ale zrobił to, o co prosiła.

– Gdy zobaczyłam cię pierwszy raz, pomyślałam, że wyglądasz jak kłusownik – przypomniała Daisy.

Spodobało mu się to. Następnego dnia zrobił sobie procę i od czasu do czasu strzelał do bażantów czy królików, które napotykali podczas spacerów po lesie. Nigdy jednak nie udało mu się nic ustrzelić. „Zawsze kiepsko strzelałem”, narzekał, bezsensownie przybity kolejną porażką, jak mały chłopiec, który chce zaimponować dorosłemu.

Z jakiegoś powodu Daisy nie mogła przestać myśleć o tej kieszeni. Biznesmeni, mężczyźni, którzy załatwiali ważne interesy, nosili teczki: świat interesów był dla Daisy zupełną tajemnicą, ale tego jednego była pewna. Natomiast teczka w kieszeni Hugo, choć płaska, zdawała się nie zawierać żadnych dokumentów, a raczej – szukała podobieństwa – taki zestaw narzędzi, który trzymali pod deską rozdzielczą ich wynajętego samochodu. Ale myśl, że Hugo wybierał się na naradę w interesach z zestawem narzędzi, wydawała się śmieszna... Ach, wreszcie zrozumiała! – to pewnie próbki, takie, jakie wożą ze sobą komiwojażerowie. Pewnie miał zamiar sprzedać im jakiś pomysł, może jakiś proces przemysłowy. Te przedmioty służą do demonstracji. Może właśnie dlatego mówił, że musi wziąć dokumenty? To musi być tajemnica – coś, o czym nie może powiedzieć nawet jej. Tajny wynalazek.

To zdanie wywołało w niej dawny niepokój, zapomniany od wielu tygodni. Coś, co przyszło jej do głowy, gdy wybrali się na wycieczkę po lesie w Dorset, że Hugo jest jakimś szpiegiem – zdrajcą, komunistą. Czyżby sprzedawał tajemnicę agentom jakiegoś zagranicznego mocarstwa? Jak wynikało z filmów, które oglądała, takie rzeczy były teraz na porządku dziennym. Ale w filmach przekazywano sobie z ręki do ręki dokumenty, papiery, ściśle tajne formuły, a nie skrzynki z narzędziami. Daisy wiedziała, że nie zna się na tych sprawach, ale ta straszna myśl nie przestawała jej dręczyć. Nikt nie nosiłby takich ważnych papierów w teczce, a raczej ukryłby je na własnym ciele: można by je umieścić w jakichś niewinnie wyglądających kluczach czy śrubokrętach, specjalnie dla tego celu wydrążonych.

Myśl ta zaatakowała jej umysł, nieodparcie i nieoczekiwanie jak nóż zabójcy. Nie mogła się opanować, drażniła bolące miejsce, torturując się za tę nielojalność wobec ukochanego mężczyzny, takie szalone, obrzydliwe podejrzenia. Hugo zdrajcą? Zasłużyła na to, by ją zastrzelono jak zdrajczynię tylko za to, że sobie to wymyśliła.

Wiedziała, że musi się dowiedzieć prawdy. Była jednak pewna, że nie odważy się wprost zapytać Hugo: jak mógłby nadal ją kochać, gdyby napomknęła mu o tych straszliwych podejrzeniach? Znów wyobrażała sobie Hugo jako dzikie zwierzę: zwierzę to jadło jej z ręki, ale jeden fałszywy krok, zdradzający jej własny niepokój, jej własne strachy, a wymknie się z powrotem w ciemności, z których się wyłoniło. Była tylko jego kochanką. Mogła utrzymać go przy sobie tylko dzięki więzom miłości: powiedzieć głośno o tych podejrzeniach, to zniszczyć tę miłość, a z drugiej strony, jeśli nie będzie o nich mówić, więzy te będą słabnąć.

Mogła zrobić tylko jedno. Musi zabić w sobie te jadowite wątpliwości. A jedyny na to sposób, to samej dowiedzieć się prawdy. Jeśli Hugo ma jakąś mroczną tajemnicę, to była ukryta na strychu, zamkniętym nawet przed nią. Z braku snu zdawało jej się, że ma piasek w oczach, obróciła się twarzą do sufitu. Hugo nigdy nie zabronił jej wchodzić na strych, to nie była komnata Sinobrodego. Po prostu go zamykał i chował klucz do kieszeni. Gdy kiedyś o to zapytała, nie zachowywał się, jakby miał coś do ukrycia, nie zaczerwienił się ani nie wściekł – po prostu zbył ją, mówiąc, że to tylko stare rupiecie i że nie ma co zawracać sobie głowy tą brudną dziurą.

Któregoś dnia wezmę jego klucze, a jeśli się dowie, powiem, że chciałam posprzątać, pomyślała. Natychmiast przeraziła ją obłuda tego pomysłu, jakby w jej głowie mówiła jakaś podła, obca intrygantka.

Jak możesz? – wymamrotała w ciemności. To właśnie się dzieje, kiedy przestajesz komuś ufać. Na umyśle rozlewa się jakaś plama, jakby galopująca choroba, która zmienia go tak, że człowiek nie poznaje samego siebie. Nic takiego nie zrobisz, podła dziewczyno – szepnęła. Z uczuciem ulgi, jakby jej sumienie w jakiś sposób się oczyściło, zasnęła.

Musiała spać bardzo czujnie, gdyż obudził ją dźwięk zamykanych drzwi. Usłyszała, jak Hugo woła jej imię, cicho i niepewnie, jakby nie chciał jej obudzić, na wypadek gdyby spała. Z jakiegoś powodu, może przez te podejrzliwe myśli, zdało jej się, że powiedział to jakoś ukradkowo, konspiracyjnie. I nie odpowiedziała od razu. A potem nie mogła, bo z napiętą uwagą nasłuchiwała dźwięku dochodzącego z pokoju obok. Uznała, że to odgłos energicznego szczotkowania ubrania. Kilka minut później usłyszała jego kroki na stryszku. Jej umysł, wciąż jeszcze oszołomiony snem, zanotował coś dziwnego, ale nie potrafiła dokładnie określić, na czym to polegało.

Gdy Hugo wszedł do sypialni, Daisy udała, że właśnie się obudziła. Łkając cicho, wyciągnęła do niego ramiona, z niewypowiedzianą ulgą na widok znanej twarzy ukochanego mężczyzny, a nie twarzy potwora, którego sobie wyobraziła. Hugo patrzył na nią czule. Tak, wyglądał zupełnie tak samo, może na trochę zmęczonego – jego twarz miała ten sam łagodny, lecz obojętny wyraz, który tak często widziała po tym, jak się kochali.

– Dobrze poszło? – spytała.

– Tak. Zgodnie z planem, kochanie. I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Zasnęła od razu w jej ramionach, jak zmęczone, ufne dziecko. Zanim i Daisy zapadła w sen, dotarło do niej to, co jej umknęło – dziwny fakt, to, że Hugo czyścił ubranie *przed* pójściem na brudny strych, a nie po powrocie. Mój kochany, niemądry chłopaku, potrzebujesz, żeby ktoś się o ciebie troszczył – pomyślała i zasnęła.

## 5.

### *Na scenę wchodzi Jacko*

Wyglądając przez okno, Daisy machała do Hugo stojącego na chodniku. Posłał jej całusa, zamachał kapeluszem i odszedł szybkim krokiem. Szykowna, zdecydowana sylwetka z tym pełnym życia sposobem chodzenia, wyglądała dziwnie nie na miejscu na tle niechlujnych domów i zapuszczonych krzewów. Daisy obróciła się tyłem do okna, bawiąc się strasową broszką, którą Hugo dał jej po śniadaniu. Była to ładna broszka, staroświecka – przedwojenna, jak powiedział. Jednak dla niej miała wartość nie ze względu na wiek czy delikatną robotę. Celowo odkładała myślenie o tym, aż skończy swe poranne obowiązki. Gdy zmywała i słała łóżko, podsycała wyobraźnię obrazem, że jest żoną Hugo. Wyobrażała go sobie wychodzącego co rano do pracy, machającego z dołu ręką, wracającego o zmroku do kapci, ognia w kominku, kolacji, ploteczek. Daisy wiedziała, że to iluzja, ale dlaczego iluzja nie miałaby stać się prawdą? Czy przy niej nie mógłby się ustatkować, stworzyć prawdziwego domu? Być może dzisiaj miało zacząć się ich nowe życie. Dziś właśnie po raz pierwszy miała spotkać jednego z jego przyjaciół. No i dostała broszkę.

Daisy zrobiła sobie filiżankę herbaty i usiadła w wiklinowym fotelu. Teraz mogła przywołać w pamięci te cudowne chwile, pomyśleć o nich bez pośpiechu. Po śniadaniu Hugo powiedział: – Chciałbym podarować ci coś na urodziny, coś szczególnego. Chodź ze mną.

Wziął ją za rękę, poprowadził przez maleńki przedpokój, po czym ustawił drabinę tak, by móc wyjść



na strych. Serce biło jej szybciej, pomiędzy oczekiwaniem a poczuciem winy.

- Idziemy... mam wejść tam na górę?
- Tak, jeśli nie jesteś za gruba, żeby przejść przez klapę.
- Ale ja muszę... czy tam nie jest strasznie brudno?
- Och, nie przejmuj się tym – rzucił niecierpliwie. – Kupię ci nową sukienkę. – Wdrapał się już na górę i wyciągnął do niej dłoń.

Znalazła się w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu. Przed nią znajdował się zbiornik z wodą, po lewej małe drzwiczki, które Hugo właśnie otwierał.

Weszła za nim do małego pokoiku. Było tam dosyć ciemno, przez brudny świetlik wpadało tyle światła, że dostrzegła pochyły sufit, podłogę, w której brakowało kilku desek, a w kącie stare kufry i walizy.

Chyba zaczynam wariować, pomyślała, ze smutkiem przypominając sobie chore wymysły ostatniej nocy. Prawdziwa ulga odkrycia, że ta komnata Sinobrodego jest całkiem niewinna – a cóż takiego spodziewała się tu zastać? – sprawiła, że spytała:

- Co trzymasz w tych wielkich kufrach? Ciała twoich żon, kochany?
- Nie. Pamiątki mojej burzliwej przeszłości.

Ukląkł przy jednym kufrze, otworzył go i podniósł wieko. Daisy przysunęła się do niego, by zajrzeć mu przez ramię.

- Co masz w tych zeszytach?
- Och, nic takiego. Kiedy byłem dzieckiem, pisałem pamiętnik.
- A mogę go przeczytać? – spytała z entuzjazmem. – O, a tutaj albumy ze zdjęciami. – Oczy jej rozbliły na widok tego skarbu, myśli o poznaniu tajemnic życia tak jej drogiego i tak tajemniczego.
- To tylko marudzenie nastolatka. Umarłabyś z nudów.
- No to nie będę czytać. A kto to jest C.H.A.? – Daisy wskazała na złote inicjały na jednym z albumów.

Hugo wyjął już z kufra starą czapkę do krykieta, szalik klubowy, oszkloną gablotkę z motylami, tabliczkę nakazującą Szanownym Panom Poprawić Strój przed Wyjściem, okręt w butelce, laubzegę, rewolwer, parę butów do biegania, porwaną broszurkę „Jak być bardziej pewnym siebie?”, bumerang, pelerynę operową, której czerwoną jedwabną podszewkę całkiem zjadły mole. Potem szperając głębiej, wyjął małą szkatułkę.

- Kto to jest C.H.A.? – powtórzyła Daisy.
- Przyjaciel. Już go nie ma. – Hugo popatrzył na pudełko, które trzymał w dłoni, a potem na jej śliczną, skupioną twarz. Wyprostował się, stał teraz dziwnie sztywno. Nie patrząc na nią, mówił dalej: – Jeśli mam być dokładny, oznacza Chester Hugh Amberley. Kiedyś tak się nazywałem. Zmieniłem nazwisko parę lat temu. – Znów spojrzał na Daisy, z bólem, lecz uważnie. – Chester Hugh Amberley zniknął na dobre. Bez śladu. Zniknął i nikt już o nim nie pamięta. – Wyraz jego twarzy zmienił się, gdy wręcz gwałtownie wciskał Daisy pudełeczko w dłoń. – To były klejnoty mojej matki. Chciałbym, żebyś wybrała sobie jakiś prezent urodzinowy, kochana...

Daisy śniła na jawie, trzymając w dłoniach małą strasową broszkę, którą wybrała. Prezent Hugo sprawił jej tym większą przyjemność, że zdawał się wprowadzać ją do zamkniętego kręgu, dotychczas niedostępnego świata jego życia rodzinnego, jego przeszłości. Chociaż czasami jej o tym opowiadał, to, co mówił, nie dawało jej poczucia, że ich zna. Jego ojciec, żyjący ciągle wiejski duchowny, obecnie pracujący gdzieś w Somerset, matka, która zmarła, gdy Hugo miał osiem lat, jedyny brat, z którym kłócił się strasznie, gdy byli chłopcami – wreszcie postaci te zaczęły stawać się rzeczywiste. Hugo zwykle mówił o swoim

dzieciństwie tak, jak wygnaniec opowiada o rodzinnym kraju – z bólem, aluzyjnie, czasami z goryczą, sprawiając wrażenie, jakby ten świat w jakiś sposób go odrzucił i jakby, przez zemstę, starał się wyrzucić z pamięci jego wartości. Z drugiej strony mówił o nim z zazdrością, niechętnie, jakby dzielenie się z nią tym światem mogło stworzyć między nimi więź wywołującą w nim odrazę.

To już się skończyło, myślała ta prosta dziewczyna. Dziś rozpoczęło się ich nowe życie, które od teraz będą w pełni dzielić, bez wątpliwości czy tajemnic. Przypięła broszkę, symbol przyzwoitości pokrzepiający bardziej nawet niż złoty pierścionek, który nosiła na palcu – symbol jego zaufania. Teraz wiedziała na pewno, że jest do niej tak samo przywiązany, jak ona do niego. Chester Hugh Amberley – wyszeptala te słowa kilka razy, jakby fakt, że zna jego prawdziwe nazwisko, dawał jej nad nim magiczną władzę.

**H**ugo wrócił o czwartej. Przyjechał taksówką, z koszem pełnym jedzenia z Fortnum's i skrzynką butelek. Gdy otworzyła kosz, był tak podniecony i wyglądał tak chłopięco, że nie mogła się gniewać za jego rozrzutność.

– Moja Daisy nie będzie gotować w dniu swoich urodzin. Wszystko, co będziesz miała do roboty, to siedzieć i czarować starego Jacko.

Daisy omal nie zapomniała, że na kolację zaproszony został przyjaciel Hugo. Czowała się nieco zdenerwowana myślą o tym. Hugo szybko rozwiał jej niepokój, mówiąc, że właśnie zarezerwował dla nich pokój w Ritzu i że następnego dnia pójdą kupić jej nowe stroje, jakie tylko będzie chciała – ponieważ znów ma pieniądze.

Gdy Jacko przyszedł, nie było w nim nic, co mogłoby wskrzesić jej wcześniejszy niepokój. Natychmiast stworzył takie wrażenie, jakby był starym przyjacielem rodziny, który nieraz już wpadał na kolacyjki. Z drugiej strony, traktował Daisy z szacunkiem, dzięki czemu poczuła się jeszcze swobodniej w jego towarzystwie. Spodziewała się, że będzie ją traktować protekcyjnie, ulgowo czy też uprzejmie ignorować. Jednakże John Jaques wychodził z siebie, by okazać jej swe zainteresowanie, zasypał ją pytaniami na temat jej domowych zajęć, sąsiadów, jej rodziny – czuła się wręcz, jakby rozmawiała z kobietą. Zdecydowanie nie był przystojny. Ubranie miał dobrej jakości, lecz wisiało na nim, jakby skurczył się w środku. Jego twarz była cała pomarszczona, głowa na kościstej szyi pochylała się do przodu. Daisy zrozumiała, dlaczego Hugo porównał go do żółwia. Z tą obwisłą twarzą i białymi włosami mógł być właściwie w każdym wieku, ale jego oczy, ogromne, przezrocyste, prawie dziewczęce, nie wyglądały jak oczy starego człowieka. Oczy spaniela, pomyślała, zauważywszy, jak wpatruje się w nią uważnym, błagalnym spojrzeniem, jakby prosił, by poszła z nim na spacer lub dała mu kostkę cukru.

– Proszę nie zwracać uwagi na to, że się tak pani przyglądam – usprawiedliwił się od razu. – Nieczęsto widuję kobiety podobne do pani. Hugo, przyjacielu, to prawdziwa piękność, jak z Renoira. Zbyt długo chowałeś ją wyłącznie dla siebie.

– Ona jest tylko moja na zawsze – odrzekł Hugo.

– O, to świetnie – Jacko mówił wysokim, gardłowym, słodkim głosem. – Kiedy ma się odbyć to szczęśliwe wydarzenie?

Hugo, jak nigdy, stracił na chwilę rezon:

– No cóż, ja...

Daisy uratowała go z kłopotu:

– Nie myślimy na razie o małżeństwie, panie Jaques.

– Macie zupełną rację – powiedział, posyłając jej promienny uśmiech. – Po co się spieszyć? Jesteście oboje tacy młodzi. Ożeń się szybko, a będziesz załował powoli.

Było to bardzo zręczne – od razu udało się załagodzić przejściowe skrępowanie. Zachowanie Jacko było tak miłe, tak pełne troski, że Daisy nie rozumiała, dlaczego zaczęła odczuwać leciutki niepokój, jakby ktoś rozmyślnie dotykał bolącego miejsca.

– Macie tu z Hugo bardzo przyjemną kryjówkę – mówił Jacko. – Ja też bardzo lubię te podejrzane dzielnice Londynu. Zastanawialiście się kiedyś nad tym, jak pięknie się nazywa? Maida Vale. – Powtórzył tę nazwę głosem pełnym

słodocy. – Maida Vale. To takie sielankowe. Wymarzone miejsce na idyllę. Dla Dafne i Chloe. Powinna pani mieć stadko owieczek, panno Bland. Czy może to były kózki? Hugo, ty, z twoim klasycznym wykształceniem, powinienesz to wiedzieć. Ciekawe, czy jest jakieś prawo zabraniające hodowania owiec w Maida Vale? Przydałyby się na wełnę... Choć owija się chyba w bawełnę?

Daisy zaśmiała się. Nie wszystko rozumiała, ale szybki rzut oka na Hugo przekonał ją, że jego milczenie nie wynika z niezadowolenia. Wyglądał na zadowolonego, jak mały chłopiec z dumą popisujący się starszym bratem przed pełną podziwu publicznością. Patrzyła na jego szczupłą, smagłą twarz, oczy, które spoglądały na nią tak beztrosko, i była szczęśliwa, ponieważ on był szczęśliwy. W obecności Jacko widziała Hugo w nowym świetle, z nowej perspektywy. Taki jest, gdy mnie przy nim nie ma, myślała. To było jak drugi prezent urodzinowy, ten nowy Hugo. Poczowała nowy przyływ ciepłych uczuć dla jego przyjaciela.

– Wędzony łosoś! – zawołał Jacko, gdy podała pierwsze danie. – Moje ulubione danie. Ależ pani trafiła!

– To był pomysł Hugo – odpowiedziała z właściwą sobie szczerością, uśmiechając się do niego. – Ale *potrafię* gotować.

– Jestem tego pewien.

– Moja Daisy to zwykła, dobra kucharka – wtrącił Hugo.

– *Zwykła* kucharka? Mój drogi! To piękna kucharka! – Jacko zatarł ręce z radości. – Nie rozumiesz, że masz tu skarb, perłę, ty nędzny Indianinie?

– Och, Hugo, nie jesteś Indianinem, prawda, kochanie?

– Ale *potrafię* rozpoznać perłę.

– Mam nadzieję – zachichotał Jacko, spoglądając na przyjaciela.

Hugo uznał to za świetny żart. Śmiał się teraz dużo i Daisy zauważyła, że zupełnie niezwykajnie jest lekko podchmielony. Zresztą, od ginu i wina przed kolacją, a teraz jeszcze szampana, jej samej też kręciło się trochę w głowie. Jacko pilnował, by kieliszki były zawsze pełne, mianując samego siebie, jak to nazwał, osobistym kelnerem śnieżnobiałej perły Maida Vale. Wzniósł swój kieliszek.

– Najwyższy czas na toast. Za Daisy! Wszystkiego najlepszego! Hugo, jesteś najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem!

Daisy zauważyła, jak kochanek patrzy na nią oczyma pełnymi czułości znad brzegu kieliszka.

– Jakbym nie wiedział – powiedział tylko do niej.

Przez moment złączyli się w zamkniętym kręgu ich miłości. Potem zarumieniona Daisy zwróciła się do Jacko. Rozpaczliwie chciała mu wynagrodzić ten moment, włączyć go, wyrazić swoją wdzięczność za wszystko, ale nie potrafiła ująć tego w słowa. Lekko skrępowana uniosła twarz i nieśmiało, z pełną wdzięku godnością, powiedziała:

– Bardzo dziękuję. To bardzo miło z pana strony. Że pan nas odwiedził i... – Zaczęła jeszcze raz: –

Nie zasłużyłam sobie na... to właściwie Hugo powinien pan...

– Nie, naprawdę tak uważam – odparł Jacko poważnym, konfidencyjnym tonem, patrząc na nią błagalnie swymi wielkimi oczyma. – Pani jest dla niego wspaniała. Nigdy nie widziałem Hugo tak szczęśliwego. Idealna z was para.

– Cieszę się, że to pan jest pierwszym, pierwszym przyjacielem Hugo...

– Naprawdę? – Szybko podjął temat. – Muszę powiedzieć, chłopie, że naprawdę jej pilnowałeś. – Twarz Hugo lekko się zmarszczyła, lecz Jacko mówił dalej: – I masz rację. Nie ma co kusić losu.

– Nie martw się o to, nie będę.

– Widzę, że mam więcej szczęścia, niż myślałem.

– Och, Jacko, z tobą jest bezpieczna.

– Dziękuję uniznienie za te słowa, sir. Te słynne ostatnie słowa... Choć nie tym razem.

Ton głosu Jacko pozostał lekki i wesoły. Daisy pomyślała, że chwilowa zmiana wyrazu jego twarzy chyba jej się przywidziała – nadmiar szampana płał jej figle.

– Wino chyba poszło mi do głowy – odezwała się poważnym tonem. – Może zje pan jeszcze trochę pasztetu, panie Jaques? Proszę mi wybaczyć, powinnam powiedzieć doktorze Jaques.

– Pan jest w porządku – wtrącił Hugo. – On jest chirurgiem. Kimś w tym rodzaju.

– To dobrze – odpowiedziała, zabierając się do sprzątanania ze stołu. – Czy może pan jeść desery lodowe, panie Jaques?

– Mogę i chętnie zjem, choćby miało mnie to zabić – Jacko ruchem dłoni pokazał przed sobą wielki brzuch.

– Nie jest bardzo zamrożony – mówiła dalej Daisy. – Hugo przyniósł go kilka godzin temu, a nie mamy lodówki.

– Skoro już o tym mowa – odparł Jacko tym swoim wesołym tonem, gdy zabierała talerze. – Hugo, słyszałeś, że dziś w nocy Paula Lamerle straciła lód?

– Całkiem się rozpuścił – powiedziała Daisy, gdy wróciła z deserem. – Udawajmy, że to zupa. Kto to jest Paula Lamerle?

– Gwiazda kabaretowa – rzucił krótko Hugo.

Jacko patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, że w innych okolicznościach można by stwierdzić, że go podpuszcza. Ponieważ Hugo nie raczył dodać nic więcej, Daisy znowu spytała:

– Co to znaczy, że straciła lód?

– W towarzystwie, w którym obraca się Jacko, lód to diamenty – wyjaśnił Hugo.

– Ktoś, mówiąc bez ogródek, po prostu zwędził. – Jacko rozwinął temat, patrząc na dziewczynę z zaciekawieniem. – W czasie gdy występowała w kabarecie. Wczoraj o północy.

– Och, pan ją zna? – chciała wiedzieć Daisy. – Czy jest bardzo sławna?

– Spotkałem ją kiedyś.

– Jacko mógłby zdobyć dla ciebie jej autograf. Zajmował się nią zawodowo.

Choć nie była w stanie stwierdzić dokładnie dlaczego, Daisy miała wrażenie, że obaj mężczyźni przysięgli się przeciwko niej. Była przyzwyczajona do tego, że Hugo się z nią drażni, ale to było coś innego – zachowywali się jak dwóch uczniów, którzy niezrozumiałymi żartami denerwują trzeciego. Nieszczęsna zajęła się rozpuszczonymi lodami. Hugo jadł swój deser łyżeczką, jednocześnie czytając opis kradzieży w wieczornej gazecie, którą przyniósł Jacko.

– W naszych czasach to jedyna korzyść z bycia biednym – gość zwrócił się przyjaznym tonem do Daisy. – To, że całe złodziejskie towarzystwo nie darzy nas swymi względami.

- Tak sędzę – odparła, czując się przy tym głupio i niezręcznie.
- Bez wątpienia. Tak jak artyści są przekonani, że świat ma obowiązek ich utrzymywać. – Żółwia główka małego człowieczka obróciła się i pochyliła ku Hugo. – Malujesz jeszcze czasami?
- Co? Ja? Nie.
- Nie miałam pojęcia – zaczęła mówić Daisy.
- Och, Hugo jest bardzo wszechstronny. Wszystko potrafi.

Daisy, czując, że potrzeba jej, by ktoś ją pocieszył, podniosła się i stanęła za fotelem Hugo, pochyliwszy się nad nim. Jego dłonie zrobiły delikatny ruch, jakby chciał złożyć gazetę, ale zatrzymały się. Daisy zaczęła czytać. „Włamanie do mieszkania artystki kabaretowej, Pauli Lamerle. Paula Lamerle powiedziała naszemu redaktorowi z działu kryminalnego... wróciwszy do domu po przedstawieniu odkryłam, że ktoś splądrował sypialnię... skradziono diamentową kolię wartości 5000 funtów.... złodziej musiał się wspiąć po ścianie...

Litery tańczyły jej przed oczyma. Poniżej było zdjęcie ukazujące budynek, na którym przerywaną linią zaznaczono przypuszczalną drogę włamywacza. Wyglądało na to, że wspiął się po tylnej ścianie domu, wzdłuż parapetu, a potem po rynnie. Na sam widok jeszcze bardziej zakręciło jej się w głowie. Szybko złapała Hugo za ramię.

- Spokojnie, dziewczyno! Co się stało?
- On mógł sobie skrócić kark.
- I dobrze by mu tak było – zaśmiał się Hugo.

Gdy uniosła głowę, twarz Jacko falowała jej przed oczami. Przypomniała jej się twarz kobiety, zapamiętana z walki zapaśniczej, na którą zabrał ją Hugo – otwarte usta, oczy zalane potem, pełne bólu.

- To jakiś masochista – ze zdumieniem słuchała słów, które wypowiedziała. – O rany. Naprawdę za dużo wypiałam.
- Zrób czarnej kawy, kochanie. Dobrze nam wszystkim zrobi.
- Już idę. Mam nadzieję, że go nie złapią.
- Kogo? A, tego włamywacza. Nie martw się o niego. Idź już. – Klepnął ją energicznie w pośladek.
- Zawsze łapią przestępców, wcześniej czy później. Są tak cholernie głupi, większość z nich – stwierdził Jacko.

– Dają się złapać, bo nie umieją trzymać gęby na kłódkę – mówił Hugo. – I nie zmieniają metod. Za każdym razem zostawiają ten sam znak firmowy, idioci.

Wychodząc do kuchni, Daisy usłyszała, jak Jacko zaśmiał się. Postawiła czajnik, ustawiła filiżanki na tacy. Zza niedomkniętych drzwi dochodziły do niej niewyraźne głosy mężczyzn. Zastanawiała się, o czym mówią. O czym rozmawiają

mężczyźni, kiedy są sami? Przyjaciel Hugo był dla niej bardzo miły – ani trochę nadęty czy niemiły. Ale czy jej się spodobał? Dlaczego go nie polubiła?

Daisy podgrzała dzbanek, wsypała kawę, powoli zalała wrzącą wodą, zamieszała. Gdy skończyła, dochodzące z pokoju dźwięki rozmowy stały się głośniejsze, lecz nadal były niewyraźne. Być może rozmawiali o niej. Ciekawe, co powiedziałby Jacko o niej. Wiedziona impulsem podeszła bliżej drzwi. Usłyszała głos Jacko:

- ...da ci słodkie alibi.
- Nie, nie chcę wplątywać w to Daisy. Za nic w świecie.

Głos Hugo, mimo że mówił prawie szeptem, brzmiał w jej uszach nienaturalnie głośno, jak dźwięk słyszany zaraz po przebudzeniu. I Daisy obudziła się. Nareszcie. Elementy układanki nagle zaczęły do

siebie pasować. Tak, wszystko, co ją do tej pory niepokoiło, intrygowało – zrobiło się jasne, choć wciąż jeszcze bała się o tym myśleć. Nie czuła żadnych emocji – strachu, urazy, litości czy wstydu, jedynie zażenowanie z powodu własnej ślepoty i tego, że Hugo tak skutecznie ją oszukiwał. Była wstrząśnięta. Wszystko, w co wierzyła, rozpadło się jak domek z kart. Jak ktoś, kto przeżył katastrofę i teraz próbuje znaleźć drogę wśród zgliszczy, weszła do pokoju, postawiła tacę na stole, wyciągnęła rękę do gościa i powiedziała:

– Bardzo mi przykro, panie Jaques, ale muszę się położyć. Nie czuję się najlepiej. Proszę jeszcze nie wychodzić, proszę zostać i porozmawiać z Hugo. Naprawdę wszystko w porządku, wezmę aspirynę. Nie jestem przyzwyczajona do picia alkoholu.

Błada jak lunatyk minęła Hugo, który wstał zza stołu. Na jego twarzy malował się niepokój. Stąpając ostrożnie pośród gruzów ich dawnego życia, przeszła do sypialni.

## 6.

### *Koniec niewinności*

Daisy leżała w ubraniu na łóżku, w zupełnych ciemnościach, wracało jej czucie. Leżała na plecach, całkiem sztywno, zbierając się w sobie, by z bliska obejrzeć rany. Najpierw te powierzchowne – swoją ślepotę, swoją głupotę.

Biedna dziewczyna, oszustwo Hugo nie było dla niej uszczerbkiem na jej dumie, lecz miłości. Gdybym naprawdę go kochała, domyśliłabym się, znałabym prawdę. Wiedziałam, że próbował mi coś powiedzieć, ale nigdy mu w tym nie pomogłam. „Ze mnie jest niezłe ziółko, Daisy” – to było w Kew, w dniu, kiedy się poznali. Za wszystko płacił jednofuntowymi banknotami – przestępcy zawsze tak robią, czytała o tym w gazetach. I to dziwne uczucie w czasie naszych wakacji, jak byśmy uciekali, jakby ktoś nas gonił. Być może policja go śledziła. A potem uciekali przed policjantami z wesołego miasteczka. Kobięca intuicja nigdy się nie myli. Ale gdy kochasz kogoś tak bardzo, intuicja usypia. Próbował się przyznać, chciał, bym domyśliła się jego sekretu. Gdy wspinał się na mur. Włamywacz. Tak, jak zeszłej nocy. A potem jeszcze, w dzwonecznym lasku, zapytał: „Wyszłabyś za mnie, gdybym był mordercą?” i „Gdybyś była typem kryminalisty, poprosiłabyś dziewczynę o rękę?”.

Te wspomnienia jakby pomagały. Miał jeszcze w sobie trochę przyzwoitości. Ty paskudne, podle stworzonko, jak możesz tak o nim myśleć, podczas gdy on zawsze był dla ciebie taki dobry i kochający.

Powróciło niedowierzanie. To niemożliwe, by Hugo, jej wspaniały Hugo, był zwykłym oszustem. Rozmowa z Jacko, którą słyszała przed chwilą, musiała znaczyć coś innego. Ale nie mogła. Moje biedne kochanie, te koszmary, ten strach, że pogrzebią cię żywcem. Być może był w prawdziwym więzieniu, a nie w obozie dla jeńców wojennych. „Nie ma czegoś takiego jak więzienie bez krat”.... A potem jeszcze próbował zabrać te podkładki pod kufle. Nawet nie rozumiał, co w tym złego. Z nim chyba rzeczywiście jest coś nie tak. O Boże, a te kwiaty, które przyniósł wczoraj wieczorem? Powiedział, że je zwędził, a ja myślałam, że to żart. Jak mogę mu teraz wierzyć? Faszrował mnie historyjkami o interesach. Musiał się niezłe bawić, łykałam je bez zmrużenia oka. Teraz z tym Jacko też się pewnie niezłe bawią, nie zdziwiłabym się. Nie bądź podła, nigdy by się z ciebie nie śmiał, nie w ten sposób. Nie widzisz, że przez cały ten czas próbował cię chronić?

Zeszłej nocy mógł się zabić, gdy wspinał się, by... Po powrocie czyścił stary garnitur, żeby nie zauważyła śladów, brudu. Garnitur z kieszenią kłusownika i ta twarda teczka – narzędzia włamywacza.

Jak oni je nazywają? Łomy, wytrych i tym podobne. Ciekawe, czy się boi, kiedy się włamuje? Za diamentową kolię to chyba warto się trochę pobać...

Daisy aż się skrzywiła. To była śmiertelna rana. Zmusiła się jednak, by się nad tym zastanowić. Broszkę wciąż miała przypiętą do sukni. Dzięki niej dzień urodzin był wspaniały. Oznaczała dla niej początek nowego etapu życia z Hugo, dopuszczenie do tajemniczego kręgu jego dawnego życia. Dlaczego powiedział, że to broszka jego matki? To niepotrzebna zniewaga, okrutna kpina. Mogła mu wybaczyć to, że był złodziejem, mogła mu wybaczyć wszystkie inne kłamstwa, ale powiedzieć, że skradzione pudełeczko z biżuterią należało do jego matki, to było naprawdę podłe. Nie mogła mu już wierzyć, ich miłość straciła sens. Komuś takiemu nie można więcej zaufać.

Zaczęła strasznie płakać. Zerwała broszkę z sukni i rzuciła ją w ciemność, czując wręcz fizyczną nienawiść, jakby to był skorpion. Broszka uderzyła o drzwi i z brzękiem upadła na podłogę. Gdy dziesięć minut później Hugo wszedł do sypialni, nadepnął na nią i ją rozgniół.

– Co to, do cholery? – Ostre światło nieosłoniętej żarówki załało pokój. Hugo pochylił się. – Chryste, to broszka mojej matki. Co ona tu robi? Całkiem zniszczona... Daisy, jesteś ciągle ubrana. Dobrze się czujesz?

- Ja ją tam rzuciłam.
- Co?
- Rzuciłam ją.

Hugo patrzył na nią, niedowierzanie na jego twarzy zmieniało się w złość. Odpowiedziała mu nieugiętym spojrzeniem. Siedziała już wyprostowana na łóżku, mrużąc oczy przed jego wzrokiem.

- *Rzuciłaś? Oszalałaś?*
- Broszka twojej matki! Należała pewnie do tej dziwki...

Dwoma szybkimi krokami znalazł się przy łóżku i spoliczkował ją.

Nie krzyknęła ani nawet nie zakwiliała. Pochyliła śliczną główkę do przodu i zakryła dłońmi.

Hugo stał przez chwilę niezdecydowany, jakby miał znów ją uderzyć albo przy niej uklęknąć. Wreszcie odwrócił się, zaczął zdejmować marynarkę i krawat, po czym, opanowawszy głos, zapytał chłodno:

- Czy możesz mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?
- Słyszałam twoją rozmowę z tym człowiekiem – powiedziała przytłumionym głosem zza opadających na twarz bujnych włosów. – Wiem, gdzie byłeś zeszłej nocy.
- Och! – Hugo usiadł i zeszywniał jak zwierzę w sidłach, które udaje, że jest martwe.

Siedzieli w ciszy. Wreszcie Daisy poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Z bólem podniosła oczy, patrząc mu prosto w twarz. Nie odwrócił oczu, ale zdawało się, że jej nie widzi. Szukała właściwych słów, wiedząc, że wszystko między nimi może się skończyć. Czuła się zbyt młoda, zbyt zmęczona, by poradzić sobie z tą sytuacją. Ale wszystko było w jej rękach, to ona musiała przejąć inicjatywę. Wargi Hugo zadrżały. Przypominał jej teraz tego młodszego brata, najmłodszego w rodzinie, którego najbardziej kochała i któremu zastępowała matkę. Poczowała wyrzuty sumienia, współczucie. Był złodziejem i kłamcą: był jej mężczyzną.

- Hugo, kocham cię – rzekła, wyciągając do niego ramiona.

Podszedł potykając się, nie patrząc na nią:

– To dobrze, że już wiesz. Próbowałem ci powiedzieć, ale nie mogłem. Bałem się, że mnie zostawisz.

- Wiem, kochanie, wiem – uspokajała go, rozpoznając, z mądrością niespotykaną u tak młodej

osoby, z pobłażliwą, czułą, kobiecą złośliwością, typowo męskie rozczulanie się nad sobą – takie łatwe, takie szczerze. – Rozumiem – powiedziała. – Nie przejmuj się tak, kochanie. Już dobrze. Nie zostawię cię.

Hugo drzał spazmatycznie, jakby w środku rozregulował się jakiś szalony mechanizm. Przycisnęła mocniej jego głowę do piersi, rozpaczliwie próbując w ten sposób zniszczyć swoje wobec niego zarzuty i ten zawód, jaki jej sprawił.

- Skrzywdziłem cię, kochanie – wyszeptał.
- Nic nie szkodzi. To już nieważne.

Teraz, gdy się uspokoił i głaskał ją po obolałym policzku, pozwoliła sobie powiedzieć:

- Nie to mnie zabolalo. Nie to, że mnie uderzyłeś.
- Nie...
- Powiedziałeś mi, że to twojej matki.

– Mojej matki? Ach, broszka. Ależ to jej broszka, kochanie. Wszystkie te świecidelka, które ci pokazałem, były jej... – Przerwał nagle, czerwieniąc się. – Już rozumiem. Pomyślałaś, że ją ukradłem. Naprawdę myślałaś, że mógłbym zrobić coś takiego?

- Byłam taka nieszczęśliwa – powiedziała ponuro. – Jak mogłam ci wierzyć, po tym jak...
- Jak...?
- Te kwiaty, które podarowałeś mi na urodziny.
- Przecież powiedziałem ci, że je zwędziłem.
- Myślałam, że to żart, a ty nie zaprzeczyłeś – westchnęła.
- Tak, to prawda – odparł z całą szczerością. – Ale z broszką było inaczej. Nie jestem takim idiotą.

Mam pewne granice. Nie wierzysz mi, kochanie? Spójrz na mnie, mogę to udowodnić. Mam list od ojca, w którym pisze, że matka chciała, bym otrzymał...

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek udowadniał – wtrąciła Daisy. – Nie będę potrafiła już ci zaufać.

– Jesteś do niej podobna, wiesz. Nigdy mnie nie strofowała, ale nigdy nie cierpiała w cichości jak męczennica. To dziwne, bo ojcu pozwalała się traktować jak popychadło. Gdy byłem dzieckiem, nienawidziłem go za to, jak się do niej odnosił. Byłem nieszczęśliwy. Gdy zaczynał się nad nią znęcać, uciekałem i chowałem się pod stół...

Daisy szybko się rozebrała, umyła twarz i położyła się do łóżka. Hugo wciąż siedział na jego brzegu, ramiona zwisały mu pomiędzy kolanami.

- I co teraz? – spytał, nie patrząc na nią.
- To zależy od ciebie – odparła znużonym głosem. – Czy nie możemy zostawić tego do jutra?
- Chcesz postawić warunki?
- Warunki?

Wykrzywił wargi.

- Jeśli się zmienię, to ze mną zostaniesz? Coś w tym rodzaju?
- Ale ja nigdy...

– Nie, ale myślałaś o tym, kochanie. Mogę spróbować jeszcze raz, jeśli chcesz. Ale ostrzegam cię, to nie pomoże. Już próbowałem. Nie umiem robić nic innego. A moje obecne zajęcie całkiem mi się podoba, odpowiada mi. Poza tym trudno dostać pracę, jeśli siedziało się w pudle. Wyobrażasz sobie mnie zachwalającego płatki mydlane czy siedzącego w jakimś ohydny biurze? Jak...?

– Och, Hugo, posłuchaj mnie. Nie chcę stawiać warunków. Chcę tylko, żebyśmy sobie ufali, żeby nie musiała się zastanawiać, czy mówisz prawdę, czy nabierasz mnie na jakąś sprytną historyjkę. Nie byłoby to trudne, bo nie



jestem bardzo mądra i bardzo cię kocham. Nie chciałabym mieć podejrzeń wobec wszystkiego, co mówisz. To byłby koniec naszej miłości, nie rozumiesz?

Hugo objął jej twarz dłońmi i spojrzał jej głęboko w oczy. Wreszcie wyszeptał:

– Jesteś dla mnie za dobra. Zawsze o tym wiedziałem. Postaram się być kimś, komu będziesz mogła wierzyć. Chociaż powinnaś znaleźć sobie kogoś lepszego...

– Nic innego mnie nie obchodzi! Nie obchodzi mnie, że kradniesz! – krzyknęła, zapominając się w poczuciu wdzięczności i ulgi.

Oczy błyszczały jej nieziemskim, pełnym poświęcenia światłem. Potem, gdy Hugo dotknął jej piersi, zaszły mgłą. Drżąc, zaczęła powtarzać słabym, chrapliwym głosem:

– Chcę cię. Chcę cię. Szybko. Zabij mnie, jeśli chcesz.

Tej nocy miłość nabrała nowej gwałtownej zmysłowości. Rzucali się na siebie, walcząc jak zwierzęta w sieci, jakby każde z nich musiało się na drugim za coś zemścić i za coś odpokutować albo jakby ich obecne pojednanie dusz nie tylko nie uspokoiło, a wręcz dodatkowo rozdrażniło ich ciała. Tak czy inaczej, był to koniec niewinności między nimi.

Błada i zwiotczała, jak ciało topielca, z zimnymi ustami, leżała potem na łóżku. Głowa zwisała jej na brzegu.

– Wystarczy? – zapytał, ale ona nie była w stanie wydobyć z siebie dźwięku.

Tłumaczył jej później, łagodnie i jakby z oddali: – Muszę pracować sam. Tak jest najbezpieczniej. Właśnie dlatego nic ci nie mówiłem. Nie chcę cię w to mieszać. Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej. Może się zdarzyć, że policja będzie cię przepytывать.

– Ale Jacko wie, prawda?

– Jacko wie tyle, ile ja mu powiem. Czyli cholernie mało. To, czego się domyśla, to inna sprawa. Podnieca go to, rozumiesz. Jakby był na moim miejscu. Coś jak ci porządni obywatele, którzy rzucają się na niedzielne szmatławce.

– I nie boisz się go?

– No cóż, to działa w obie strony. Ja też trochę o nim wiem, wystarczająco, by mu zaszkodzić w pracy. Każdy z nas idzie więc swoją drogą. Poza tym jest przydatny.

– Przydatny?

– Wykonuje różne nielegalne zabiegi – Hugo wypowiedział te słowa jak najbardziej rzeczowym tonem. – Jego klientki to raczej babki z klasą. Tak więc od czasu do czasu stary Jacko napomyka mimochodem, że Lady Stinkeroo czy Gloxinia Can-Can ma jakieś ciekawe błyskotki. Wie, gdzie je trzyma, czasem wie, kiedy wychodzi i kiedy wraca. A mnie nie trzeba dwa razy powtarzać. Tak, od czasu do czasu daje mi dyskretnie do zrozumienia, czym warto by się zainteresować. Oczywiście, nigdy wprost. Zawsze po dżentelmeńsku. Nie można się przyczepiać do człowieka za to, że jest, hmm, trochę niedyskretny.

Daisy zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Ale on powiedział coś o „słodkim alibi”. Słyszałam go. To znaczy, że wie...

– Och, nie znasz Jacko. To pokrętny typ. Lubi zabawę w kotka i myszkę. To mu zastępuje łóżko. Chodziło mu o to, że *gdyby* kiedykolwiek zrobił coś podejrzanego i *gdyby* gliniarze zaczęli się kręcić, i zadawać dziwne pytania, mogłabyś mi dać słodkie alibi. Boże święty! Ma zupełną rację! Jedliby ci z ręki. Wyglądasz tak niewinnie i uczciwie – uwierzyliby w każde twoje słowo. Ale nie zamierzam sprawić, żebyś kiedykolwiek musiała kłamać z mojego powodu. Nie zaprzątaj sobie tym swojej ślicznej główki. Niech się tym zajmie ten, kto lepiej się na tym zna. Nie, nie pozwolę cię w to mieszać...

Ale ja już jestem w to zamieszana, pomyślała Daisy. Leżała przy nim rozbudzona, podczas gdy Hugo zapadł nagle, jak to było w jego zwyczaju, w głęboki, niczym niezakłócony sen. Czuła, jak mocno jest związana nie tylko z tym Hugo, który powiedział: „Postaram się być kimś, komu będziesz mogła wierzyć”, lecz również z tym drugim Hugo, który opowiadał o tych strasznych sprawach z taką lekkością i znajomością rzeczy, jak kobiety rozmawiają o kapeluszach.

Odtąd zaczął ustalać się pewien model ich wspólnego życia. Najpierw beztrioskie wakacje, a potem tygodnie w stanie zawieszenia w Maida Vale. Właśnie rozpoczęła się kolejna radosna przygoda: kupowanie strojów dla Daisy, przeprowadzka do Ritza, wyjścia do teatru, same przyjemności. Ich życie przypominało jazdę po serpentynie, myślała, od ciągłych zmian aż kręciło się w głowie, można było tylko mocno się trzymać i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Czuła, że pasowało to do natury Hugo, który z szalonej radości gwałtownie popadał w ponury nastrój. Gdy później opowiadała o tym Jacko, ten pogratulował jej, że jest bardzo mądra i wspominał coś o „depresji maniakalnej”. To mocno zaniepokoiło Daisy, ale Jacko zapewnił ją, że to nie znaczy, iż Hugo jest szalony, bo wielu porządnym ludzi cierpi na psychozę maniakalno-depresyjną.

Daisy zawsze łatwo poddawała się wpływom innych, a Hugo wyzwolił w niej dzikość nie ustępującą jego własnej. Ktoś, kto widział ich na kolacji w restauracji, mógłby wziąć ją najpierw za modelkę, a może za młodą damę ze słabością do bohemy. Dalsze obserwacje zaś pozwoliłyby odkryć pod jej pewnością siebie i rozkwitem świeżość i nieoczekiwany brak skrępowania. Nikt jednak nie domyśliłby się, że za tym przepięknym zjawiskiem kryje się wiejska dziewczyna, która prawie cały czas powtarzała sobie w myślach: Ale heca, a to ci heca! Tym bardziej nikomu nie przyszłoby do głowy, że ten smagły, wysportowany mężczyzna o sennych oczach (kierowca rajdowy? gracz w krykieta?), który jej towarzyszy, to zatwardziały przestępca, spojrzeniem oceniający nie kobiety, ale ich biżuterię.

Daisy była też pełna obaw. Uważała, iż to szaleństwo wydawać pieniądze na prawo i lewo, zwracać tak na siebie uwagę niedługo po włamaniu. Rzeczywiście, było to szaleństwo. Lecz tym razem Hugo głęboko wierzył w swoje szczęście, w szczęście, które przyniosła mu Daisy. Kiedy był w siódmym niebie, tak jak teraz, jego pewności siebie nie można było się oprzeć. Po odsiedzeniu kilka lat temu pierwszego wyroku zmienił nazwisko, przeniósł się z miasteczka w środkowej Anglii do Londynu i zaczął stosować inne metody. Obecnie rzadko kontaktował się ze światkiem przestępczym i zawsze pracował sam, nie musiał więc obawiać się policyjnych informatorów. Wydać go mógł właściwie tylko płot, z którym miał do czynienia, pomijając Jacko i samą Daisy, ale każde z nich miało wystarczające powody, by tego nie zrobić.

Ponadto Hugo pozbawiony był tej obsesyjnej próżności przestępców. Jego próżność zaspokajało pokazywanie się z Daisy, a także przyjemność, jaką dawało mu poruszanie się na wolności. Choć nigdy nie mówił o planowanych skokach, często opowiadał Daisy o swych dawnych wyczynach i to zapewniało mu ten wentyl bezpieczeństwa tak niezbędny większości przestępców, którzy z jednej strony muszą komuś wyznać prawdę, a z drugiej potrzebują podziwu.

Daisy słuchała tych opowieści jak matka syna przechwalającego się swoimi wyczynami – szokowały ją one, a jednocześnie potajemnie ekscytowały. Czuła, że powinna je potępiać, ale nie mogła mu się oprzeć.

Jedna sprawa stawała się dla niej coraz bardziej oczywista – szczerą pogardą Hugo dla społeczeństwa, nienawiścią dla uporządkowania, monotonii, przyzwoitości. Jacko miał jej to wyjaśnić pewnego dnia, ale przeczuwała niejasno, iż musiało mieć to związek z dzieciństwem Hugo, z tym, jak traktował go ojciec, a także, może nawet jeszcze bardziej, z pobytem w więzieniu, który nie przestawał prześladować go w

sennych koszmarach. Z upływem czasu Daisy stopniowo, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła się z tym utożsamiać, czuć, że społeczeństwo jest również jej wrogiem. Pierwsze ziarno zostało zasiane, gdy otrzymała list od matki, zwracającej przesłane jej pieniądze. Ciotka Daisy musiała napisać do siostry, że jej córka mieszka z mężczyzną. Pani Bland stwierdziła, iż woli umrzeć w nędzy niż korzystać z grzesznych przychodów córki. Daisy, powstrzymawszy chęć wskoczenia do pierwszego pociągu do Gloucestershire, przyjęła to z właściwym sobie fatalizmem. Zbyt często słyszała matkę powtarzającą, że jak sobie pościesz, tak się wyśpisz, a ona nie miała zamiaru spać w żadnym innym łóżku, na pewno nie!

Ale ziarno zostało zasiane. A później, tydzień po przeprowadzce do Ritza, zdarzyło się coś, co sprawiło, że jeszcze bardziej poczuła się jak wyjęta spod prawa. Miało to w swoim czasie wywrzeć zgubny wpływ na ich losy. Pewnego wieczoru w teatrze, zanim podniesiono kurtynę, Hugo rozglądał się po sali i nagle zawołał:

- Dobry Boże! Tam siedzi mój brat!
- Tak? Gdzie? Porozmawiamy z nim podczas przerwy?
- O Boże, nie! Nie mogę go znieść.
- Przecież to twój brat.

– Właśnie dlatego. Chociaż, jak się zastanowię, nie mógłbym go znieść, nawet gdyby nie był moim bratem. – Hugo uśmiechnął się do niej ciepło. Po czym, ponieważ zdarzało mu się od czasu do czasu czytać w jej myślach, zapytał: – Naprawdę chcesz poznać rodzinę? No dobrze. Ale nie mów potem, że cię nie uprzedzałem.

## 7.

### *Herbatka u intelektualistów*

Z tego krótkiego spotkania z bratem Hugo Daisy odniosła bardzo niejasne wrażenia. Mark Amberley był najwyraźniej zakłopotany. Małe oczka patrzyły raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby miał zamiar nagle rzucić się w tłum. Ale Hugo trzymał go mocno za łokieć i z szelmowskim opanowaniem dokonywał prezentacji.

- Mark, chciałbym ci przedstawić moją narzeczoną, pannę Bland.
- Och, miło mi panią poznać. Nie wiedziałem, hmm, gratulacje, Hugh, to znaczy Hugo.
- Wszystko stało się bardzo szybko. Obawiam się, że nie daliśmy ogłoszenia do „Timesa” – odparł Hugo przyjaznym tonem. – Jesteś z Gertrude?

– Gertrude? Mhmm. O, tak. Tak. Powinna gdzieś tu być. – Mark rozejrzał się z desperacją. – Nie. Oczywiście. Została w sali. Nie wyszła ze mną. W tym foyer tak tłoczno i głośno. Podoba się pani sztuka, panno, hmm, Bland?

– Tak. Bardzo śmieszna, prawda? – Skrępowanie Marka Amberleya, udzielało się Daisy, tak że zaczęła mówić w prawie już zapomniany, dziecienny sposób. Zarumieniła się lekko.

– Śmieszna? No cóż, przypuszczam, że z pewnych punktów widzenia można by... lecz wymowa przedstawienia niewiele ma wspólnego z komedią, nieprawdaż? Oczywiście, w pierwszym akcie trochę szarżowali, zgodzi się pani ze mną?

– Mój brat to Wykładowca Nieskończoności – rzucił Hugo, mrugając do Daisy ponad ramieniem Marka.

- Wykładowca Nieskończoności? – Daisy była zupełnie zdezorientowana.

– Tak. Jego wykłady ciągną się w nieskończoność.

Mark zaśmiał się niepewnie.

– Mój brat to dowcipniś, zapewne już to pani zauważyła, panno Bland. Rzeczywiście jestem wykładowcą. Na Uniwersytecie Londyńskim.

– Musi pan być bardzo mądry – powiedziała Daisy poważnie.

Mark odwrócił głowę. Przypomina trochę konia, pomyślała, z tą długą twarzą i rżącym głosem. Spojrzał na nią jeszcze raz, jakby dopiero teraz ją zobaczył.

– Może odwiedzi nas pani z Hugo na herbatce któregoś dnia?

– Z przyjemnością.

– Czyżby szykowało się przyjęcie na cześć marnotrawnego syna? – spytał Hugo.

– Ciastka czekoladowe – rzucił nagle Mark. – Zawsze lubieś ciastka czekoladowe. Powiem Gertrude, żeby je kupiła.

Hugo skrzywił się i umilkł. Chwilę później zabrzmiał dzwonek oznajmiający koniec przerwy. Gdy wracali na swoje miejsca, Hugo powiedział ponuro:

– Doigrałaś się.

– Ale to bardzo miło z jego strony...

– Ze starego Marka dobry człowiek, ale straszny nudziarz. A Gertrude jest naprawdę okropna. Przekonasz się.

– Pewnie i tak zapomni.

– Nie ma szans. Znam go. Myśli, że dzięki tobie się zmieni. Mark uwielbia z góry przegrane sprawy.

Hugo miał rację. Otrzymali zaproszenie na najbliższe niedzielne popołudnie. Daisy trudno było uwierzyć, że ten zasuszony, nerwowy Mark to młodszy brat Hugo. Jednakże to spotkanie otwierało przynajmniej jakieś nowe możliwości. Daisy już cieszyła się na myśl o następnym, w poczuciu, że ta znajomość będzie stanowić kolejny element normalności w ich życiu. W owym czasie, w barach, na wyścigach czy na meczach w klubie krykieta, na które Hugo zabrał ją raz czy dwa, Daisy spotykała znajomych Hugo, młodych mężczyzn i kobiety. Choć była dosyć towarzyska i dobrze się wówczas bawiła, to spotkania te były zbyt krótkie i przypadkowe, by mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie. Z Markiem na pewno będzie inaczej. Daisy z radością myślała o ciepłych, kobiecych pogawędkach z Gertrude. Mark, a być może Gertrude również, wiedział o pobycie Hugo w więzieniu. Hugo powiedział jej, że od tamtego czasu nie widywał się z nimi, raz tylko poprosił o pożyczkę, gdy był bez grosza. Nie mieli pojęcia, oprócz domysłów, czym się teraz zajmował.

– Jeśli chodzi o mnie, chowają głowy w piasek – stwierdził. – Cholerni intelektualiści.

Daisy nie była ani trochę zaniepokojona myślą o wejściu do tego nowego świata. Nie widziała powodów, by unikać intelektualistów, gdyż jeszcze nigdy żadnego nie spotkała. Zadowolenie z siebie kochanej kobiety, wraz z jej naturalnością i radością życia, sprawiły, iż nie czuła obawy, że to spotkanie może okazać się męczarnią. Radziła już sobie przecież z co bystrzejszymi znajomymi Hugo. Dlaczego więc miałyby martwić się parą niegroźnych mieszkańców tej jakże przyzwoitej dzielnicy, jaką jest Vale of Health?

Wydawało się, że właśnie ta „przyzwoitość” najbardziej irytowała Hugo. Tego popołudnia, gdy jechali metrem na północ, rzucił kilka złośliwych uwag na ten temat. Dla Daisy słowo to miało takie samo znaczenie, jak dla każdej wiejskiej dziewczyny – koronkowe firanki, kościół w niedzielę, pruderie i pełne oburzenia szept. Była więc całkiem wytrącona z równowagi, gdy wchodząc do salonu Amberleyów,

stanęła twarzą w twarz z golusieńkim aktem na ścianie nad kominkiem.

– Całkiem ładniutka, prawda? – powiedziała Gertrude Amberley, zauważywszy, że Daisy przygląda się obrazowi szeroko otwartymi oczyma.

Uścisnęła energicznie jej dłoń, po czym bez dalszych oficjalnych powitań odwróciła się, by ucałować Hugo w policzek.

– No, Hugo, jak się teraz mają bezbożnicy? Całkiem dobrze, z tego, co widzę.

Wysokim i nieco dziewczęcym głosem Gertrude wymawiała poszczególne słowa z precyzją bliską pedanterii. Gdy mówiła, to jakby ktoś łuskał zielony groszek – wyraźnie, dobitnie, jak automat. Daisy zastanawiała się, czy Gertrude jest nauczycielką: mówiła szybko, mlaskając językiem, rozprawiała się dokładnie z każdym tematem rozmowy, a na końcu wypowiedzanego zdania cmokała wargami. Do tego jeszcze zbyt wysokie, wąskie czoło, włosy zaczesane surowo do tyłu, upięte w mizerny koczek i sposób prowadzenia rozmowy polegający na zadawaniu mnóstwa pytań.

– A czym pani się zajmuje, panno Bland?

– Nie mam pracy. Ale pracowałam kiedyś u modystki.

– Podobało się pani? W jakich godzinach pani pracowała?

Ten katechizm ciągnął się jeszcze jakiś czas, po czym Daisy poczuła, że powinna wykazać zainteresowanie osobą gospodyni.

– Czy pani jest nauczycielką, pani Amberley?

– Tak, uczę. W W.E.A.\* – padła szybko, niezrozumiała dla Daisy, odpowiedź.

\* W. E. A. (Workers' Educational Association) – Twarzystwo Wiedzy Powszechnej.

– Edukacja dla mas – mruknął Hugo. – T. S. Eliot dla urzędników bankowych.

– Zdaje się, że właśnie dla nich się nadaje – pisnął jego brat – jeśli się nad tym zastanowić. „W moim początku jest mój kres.”\*\*

\*\* Fragment wiersza „East Coker” T. S. Eliota z cyklu „Cztery kwartety”, tłum. K. Boczkowski. Sam Eliot pracował jako urzędnik bankowy.

– Eliot jest skończony – stwierdziła pani Amberley. – I tyle. Teraz należy zająć się neoklasycystami. Zgodzi się pani ze mną, panno Bland?

– No cóż, ja...

– Nijak nie mogę się z tobą zgodzić – wtrącił Mark. – Przyznaję, że Harry Grutch pisze dość obiecująco, ale reszta... to zwykłe popłuczyny.

– Cóż, oczywiście, jeśli uważasz, że neoklasycyści powracają do lat trzydziestych, nie mam nic do dodania. Auden i wielu innych długo pozostawali w zapomnieniu – zaśmiała się krótko. – Analiza nauczyła ich moresu. Chciałabym jednak powiedzieć, że mimo iż nie stworzyli jeszcze żadnego wiekopomnego dzieła, neoklasycyści są na dobrej drodze. Z pewnością rozumieją, co miał na myśli Leavis.

– Zdaje się, że jeszcze neoparnasiści z Reading – dodał Mark – mogliby się z nimi mierzyć. Nie wiem, czy się pani z nimi spotkała, panno Bland.

– Jeśli chodzi o Reading, Daisy spotkała się wyłącznie z ciasteczkami\*\*\* – odparł Hugo, uśmiechając się do niej.

\*\*\* Ciasteczka z Reading – od roku 1870 do późnych lat 70-tych XX w, w Reading produkowano ciasteczka znane w całej Wlk. Brytanii.

Ten uśmiech sprawił, że Daisy zdobyła się na heroiczny wysiłek. Z całej dotychczasowej rozmowy zrozumiała jedynie nazwisko T. S. Eliot. – Czy pani również pisze wiersze, pani Amberley? – spytała

nieśmiało.

– Piszą ci, co potrafisz; ci, którzy nie potrafisz, uczą – wymamrotał Hugo.

– Gertrude jest zbyt surowa w ocenie samej siebie – powiedział pospiesznie Mark. – Przejmuje się opinią środowiska i satysfakcjonuje ją tylko to, co najlepsze. Nigdy nie byłaby zadowolona z tego, co napisała.

– Mogę to sobie wyobrazić – zauważył niejasno Hugo.

– Nie, nie piszę wierszy – rzekła Gertrude, wypowiadając dwa ostatnie słowa z taką intonacją, jakby trzymając je w szczypcach, badała z obrzydzeniem. Daisy poczuła się, jakby obraziła ją tym pytaniem. – Dlaczego ktoś miałby to robić? To jest wiek krytyki – mówiła dalej, ponad głową Daisy przerzucając piłeczkę pytania do męża.

Niezależnie od tego, czy robiła to, by się popisać, czy nie, Daisy czuła się nieszczęśliwa i podenerwowana. Przypominało to dziecięcą zabawę w dwa ognie. Mark, trzeba mu to oddać, starał się wciągnąć ją do rozmowy, ale jego wysiłki tylko podkreślały jej ignorancję. Daisy poczuła budzącą się w Hugo złość.

Przy herbacie zrobiło się trochę przyjemniej. Hugo, udobruchany czekoladowymi ciasteczkami, zaczął żartować z Gertrude, zagadując ją o uczniów płci męskiej. Odpowiadała chętniej, niż Daisy by się spodziewała. Ona sama rozluźniła się – przyglądała się pomieszczeniu, w którym siedzieli. Ściany pomalowane były na ostry odcień różu, który sprawiał, iż cieliste tony aktu znad kominka nabierały trupiego odcienia. Kolor ścian kłócił się z zasłonami i obiciem foteli w biało-miedziane pasy oraz kilkoma aksamitnymi poduszkami szafranowej barwy na sofie. Komplet do herbaty był z grubej włoskiej ceramiki. Na małym, okrągłym stoliku walały się czasopisma, a na ścianie naprzeciw okna wisiały liczne półki na książki różnej wysokości. Okno wyglądało na mały zaniedbany ogródek. W pokoju był też gramofon, nie było zaś telewizora ani radia. Spod wytartego dywanu z jednej strony wystawał wąski pasek podłogi z desek – widać było plamę na drewnie. Żadnych ozdób – wszędzie tylko popielniczki, podobne do łupieżu ślady popiołu na całym dywanie – Gertrude paliła nieprzerwanie, wydmuchując dym, jakby zależało od tego jej życie, i gwałtownie strzepując popiół do najbliższej popielniczki.

W tym pokoju było coś denerwującego, coś niezbornego, wręcz schizofrenicznego – jak gdyby każda z obecnych tu kiedyś obcych osób pozostawiła po sobie jakiś ślad. Nie był ani elegancki, ani przytulny, ani przyjemnie ekscentryczny; gdyby nie ewidentne lekceważenie harmonii i wdzięku, wydawałby się żaloszny. Jego mieszkańcom albo zupełnie brakowało smaku, albo po prostu nim gardzili. Wnikliwy obserwator dostrzegłby, iż w obu tych stwierdzeniach kryła się prawda. Właściwie to drugie, w przypadku takich ludzi jak Amberleyowie, wynikało z tego pierwszego. Pokój ten jakby głosił doktrynerskie, purytańskie kazanie przeciwko prostym radościom życia, potępiając wdzięk jako głupstwo – była to nie tyle maszyna do mieszkania, co maszyna do pomieszkiwania.

Daisy nic takiego nie przyszło do głowy. Owszem, czuła się tu źle – dobór kolorów wydał jej się bardzo dziwny, lecz uznała go za nowoczesnie artystyczny. Cały ten okropny brak przyzwoitości, perwersyjne i wyniosłe lekceważenie wizualnej przyzwoitości, które sprawiało, że nawet nagie ciało na obrazie wyglądało tak, że nikt nie chciałby mieć z nim nic wspólnego, umykało jej – podobnie jak rozmowa Amberleyów. To jest dom, myślała, gdzie mieszka dwoje ludzi, krewnych Hugo. Nierzeczywistość jej życia z Hugo dotarła do niej jak obezwładniająca fala. Chciała krzyknąć: To wszystko nie tak! Co my tu robimy? Dlaczego nie spytacie Hugo, skąd bierze pieniądze? Wy, którzy zadajecie tyle pytań? Czuła się jak we śnie, jakby złapano ją na gorącym uczynku przy zwłokach, nie będąc w stanie wypowiedzieć na głos swego wyznania i jakby przechodnie nie zauważali tego, co się

stało.

Nieświadomie Daisy zacisnęła dłonie na ramionach i zwróciła oczy ku górze. Walczyła z sobą, by uwolnić się z tego koszmaru. Mogłoby się wydawać, że wywołała go Gertrude, jednakże jego prawdziwą przyczyną był Hugo i tajemnica o jego przestępczym życiu, która tworzyła barierę pomiędzy nimi a resztą świata i mogła nawet zniszczyć ich miłość.

– Wygląda zupełnie jak „Rozmodlona Lady Hamilton”. Spójrzcie tylko!

Skrzeczący szept Gertrude wyrwał Daisy z jej niewesołych rozmyślań. Rozejrzała się niepewnie, trochę dziko, zastanawiając się, o czym teraz rozmawiają.

– Co? Przepraszam...

– Mówiłam właśnie, że wygląda pani jak „Rozmodlona Lady Hamilton”. Czyż nie, Mark?

– O tak, hmm, tak.

– Nie rozumiem – odparła Daisy, usiłując się uśmiechać.

– Jest taki obraz – zaczęła tłumaczyć Gertrude, mówiła szybko, tnąc słowa na sylaby, jakby przesuwiała koraliki na sznurku. – Romneya\*. Wisi w Ken Wood\*\*.

\* George Romney (1734-1802), angielski malarz portrecista, autor głównie wizerunków kobiecych, w tym wielu portretów Lady Hamilton.

\*\* Ken Wood House – rezydencja pałacowa z kolekcją sztuki XVII i XVIII w.

Daisy przypomniała sobie lekcję historii sprzed lat.

– Czy to nie była ta Nelsona...? – Nie była w stanie wymówić ostatniego słowa, lecz Mark szybko jej odpowiedział.

– Kochanka. Właśnie ta. – Uśmiechnął się do niej zachęcająco. – I bardzo piękna kobietka.

– Myślę, że Romney znakomicie uchwycił jej rozwiązłość. Zgodzisz się ze mną, Mark? Na *ty* właśnie obrazie. To czysta krytyka.

– Nieświadoma, moim zdaniem.

– Och, naturalnie. Nie można oczekiwać świadomej krytyki od Romneya. Oczywiście, że nie. Nic dziwnego, że owinęła go sobie wokół małego palca. Była wręcz zawodową *poseuse*\*\*\*, jakby nie było. Głupiutkie stworzonko. A artyści są bardzo nieskomplikowani. Właściwie na tym to wszystko polega. Namalował dokładnie to, co widział – piękną, podobną do mleczareczki, głupiutką dziewczynę, która udaje, że się modli. Ponieważ jednak nie była nawet dobrą aktorką, przez tę rozmodloną pozę i tak przebija jej zmysłowość.

\*\*\* *Poseuse* – (fr.) pozerka.

– Czy nie mogła naprawdę się modlić? – spytała Daisy wiedziona impulsem. – Za Nelsona? Przecież go kochała.

– To ostatnia rzecz, jaka mogłaby przyjść do głowy Gertrude – stwierdził Hugo.

– *Mogła* – Gertrude udała, że nie słyszy – ale tymczasem starała się zrobić wrażenie na Romneyu i potomności.

– Jak można być tego tak pewnym? – zaprotestowała Daisy.

– Widziałam ten obraz. A pani najwyraźniej nie. – Słowa Gertrude trzaskały, jakby gryzła sucharki.

Daisy zdała sobie sprawę, że ta kobieta popadła nagle w niewytłumaczalną furię i że rozmowa o Lady Hamilton była skierowana przeciwko niej samej. Choć Daisy była zazwyczaj ustępliwa i spokojna, zdarzało jej się porządnie zdenerwować. Gertrude już jej nie onieśmielała, teraz, gdy dostrzegła i zrozumiała jej słabo skrywaną jadowitość.

– Czy uważa mnie pani za rozwiązłą, jak Lady Hamilton? – zapytała ze śmiechem.

Mark, choć wcale tego nie zrobił, wyglądał jak ktoś, kto załamuje ręce.

– Ależ, panno Bland, Gertrude wcale nie miała na myśli...

– Co w tym szokującego? – żona przerwała mu rzeczowym tonem. – Przypuszczalnie jest pani jego kochanką. Domyślam się, że się pani za niego modli – i spełnia różne inne zachcianki.

Mark zaczął machać rękami, wyglądał przy tym, jakby miał się zaraz rozpląkać, lecz Gertrude nie zważała na niego.

– Nie mam nic przeciwko temu, by Hugo przyprowadzał kochankę do mego domu – zresztą to nie pierwszy raz. Ale gardzę tym tandetnym kamuflażem, że jest pani jego narzeczoną.

– A mnie się wydaje, że pani kocha się w Hugo – powiedziała Daisy, zaskakując samą siebie. Natychmiast się zawstydziała.

– No proszę. Te idiotki ze sklepików myślą tylko o seksie – Gertrude rzuciła Daisy prosto w twarz.

Hugo wyprostował się w fotelu i ze spokojem, który przeraził Daisy, zwrócił się do Gertrude:

– Gertrude, jesteś z natury podła, ale nie musisz być podła i wulgarna. Przez całe popołudnie robiłaś, co mogłaś, by Daisy czuła się skrzepowana. Pomijam to, bo wiem, że nie jesteś w stanie się powstrzymać, by nie machać ludziom przed nosem tymi twoimi intelektualnymi pretensjami. Ale przeprosisz za to, co powiedziałaś przed chwilą.

– Och, Hugo. Daj spokój. To już lekka przesada – zaczął Mark.

– Cicho bądź, Mark – rzuciła jego żona, która w tej chwili aż nie posiadała się ze złości, po czym zwróciła się do Hugo. – Jak śmiesz tak do mnie mówić! Ty próżniaku! Przejrzałam cię. Kryminalista. Wyciągasz tylko od ludzi pieniądze – wiesz chociaż, ile jesteś nam winien? Zajmujesz się tylko roztaczaniem swego słynnego wdzięku. Niedobrze mi się robi na myśl o tobie. Jesteś chory na próżność. Naprawdę nie wiem, co cię jeszcze trzyma przy życiu, oprócz oczywiście wygrzewania się w zachwyconych spojrzeniach kolejnej kretynki jak ta...

– Nie pluj i na mnie, Gertrude. Będziesz musiała przeproszać za więcej rzeczy.

– Chodźmy, Hugo, proszę – powiedziała szybko Daisy, ciągnąc go za rękaw.

– Nie wyjdę, dopóki moja kochana szwagierka nie przeprosi.

– Jeśli myślisz, że zamierzam cię przeprosić...

– Nie mnie. Daisy.

Usta Gertrude wykrzywiły się. – Nie jestem jedną z tych twoich dziwek. Nie będziesz mnie do niczego zmuszać. Gdybyś miał trochę oleju w głowie, wiedziałbyś o tym.

– Ach tak, ty mały, nieustraszony, przemądrzały krytyku! Nie bądź tego taka pewna – odparł Hugo.

I nim Daisy zdążyła się zorientować, Hugo wyjął rewolwer i wymierzył w Gertrude. Ta zaczerwieniła się, a zaraz potem zbladła jak trup.

– Nie, nie! – zaskomlała, machając rękami przed twarzą. Przeraził ją nie tyle rewolwer, co wyraz twarzy Hugo. Daisy wcześniej widziała ten wyraz tylko raz: ponura, zimna brawura: spojrzenie wręcz ekstatycznego poddania się wewnętrznej gwałtowności.

– Proszę, Gertrude, proszę, przepros – krzyknęła błagalnie. – On nie żartuje.

Mark wycofał się i oparł o ścianę. Daisy bała się, że jej najmniejszy ruch spowoduje, że Hugo pociągnie za spust. Rewolwer szczęknął, jakby z własnej woli. Nie dalej niż na krok od Gertrude. Zaczęła gwałtownie kiwać głową, wpatrując się w Hugo jak w amoku. Szczękała zębami. Wreszcie wypowiedziała uniżone słowa.



## 8.

### *Równie dobrze mógłby siedzieć w więzieniu*

Pewnego wieczoru, jakieś dwa tygodnie później, Daisy wybrała się z wizytą do Johna Jaques. Okres światowego życia skończył się i Hugo zabrał ją po raz kolejny do mieszkania w Maida Vale. W tym czasie kilkakrotnie spotykali się z Jacko. Spotkania te uspokoiły początkowe wątpliwości Daisy. Jacko był dla niej troskliwy, a Hugo zawsze radosny, co wywoływało w niej ciepłe uczucia. Z pewnością była to o wiele solidniejsza znajomość niż z tymi młodymi mężczyznami, którzy wdawali się z nią w trudne rozmowy albo ją podrywali,

czy też kobietami przyglądającymi się Hugo, ludźmi, jakich przelotnie spotykali w barach, nocnych klubach czy wyścigach. Dryfujące, powierzchowne towarzystwo, w którym związki międzyludzkie przypominały raczej zapalki płynące w ryszotku.

Jacko symbolizował coś bardziej stałego. O tym, jak bardzo Daisy potrzebowała takiego oparcia, świadczył właśnie fakt, iż teraz, gdy pierwsza fala namiętności nieco opadła, szukała tego w nim. Jacko przeprowadzał zabiegi przerywania ciąży, jak powiedział Hugo, a także dawał mu cynk, lecz Daisy nie czuła do niego wstrętu. Jest jak... jest dla nas obojga jak wujek, myślała, gdy turkoczący wagonik metra wioził ją ku Kensington High Street. Może jestem z natury złą dziewczyną – czuję się z tym wszystkim jak ryba w wodzie. Zdaje mi się, jakby już nic nie mogło mnie zdziwić. Wyjęła puderniczkę. Z małego lusterka spojrzała na nią czysta i rozmarzona twarzyczka. To właśnie ja, dziewczyna gangstera, jadę zobaczyć się z lekarzem, który...

Tego wieczoru Hugo był poza domem. Powiedział, że wróci późno. Nie powiedział nic więcej, ale wiedziała – teraz już zawsze miała wiedzieć – że coś się święci. Rankiem wydawał się spięty, zamknięty w sobie, jakby musiał uważnie przysłuchiwać się czemuś, co nastrajało się w jego wnętrzu. Było między nimi milczące porozumienie, zgodnie z którym Hugo nie opowiadał jej o swoich zamiarach, a i ona go nie wypytywała. Owładnęły ją złe przecucia. Miała wrażenie, jakby niebo nagle opadło i przez wiele dni zalegało na wyżynie w pobliżu jej wioski w Gloucestershire. Gdy wyszła z dworca, nagły impuls kazał jej spytać policjanta o drogę do Albert Grove, choć wcale nie potrzebowała jego pomocy. Przyjrzał się jej bacznie, jak to policjanci mają w zwyczaju, lecz bez podejrzliwości czy nadmiernej ciekawości. Gdy potem szła, Daisy zastanawiała się nad tym, jakie to dziwne, że policja jeszcze się do nich nie dobrała. Niepokoiło ją to i wzmagало poczucie izolacji, jak gdyby Oni wszystko o niej wiedzieli, ale nie spieszyli się z podejmowaniem działania, być może czekając na jakiś znak, jakiś poważny, nieodwracalny błąd.

Przy łukowatej, wysadzonej platanami Albert Grove stały rzędem wczesnowiktoriańskie domki. Można by sobie wyobrazić, iż zamieszkują je wdowy po dziekanach czy urzędnikach kolonialnych z Indii, albo zasuszeni, drobiazgowi, starzy kawalerowie zajmujący się zbieraniem znaczków czy łucznictwem, dalecy kuzyni hrabskich rodów. W małych salonikach mosiężne figurki z Benaresu, amatorskie akwarele, akwaria ze złotymi rybkami, stoliki do pasjansa – relikty cywilizacji, która nigdy nie walczyła z czasem. Mosiężna tabliczka na drzwiach Johna Jaques również miała właściwy całemu otoczeniu wyraz dyskretnego samozadowolenia. Gospodarz wyszedł po nią – wzór zawodowej rzetelności – i wzięwszy pod ramię, zaprowadził do salonu po lewej stronie przedpokoju, którego okna osłaniały paprocie i muślinowe firanki.

Nalał jej wytrawnego sherry. Rozmawiali najpierw o rzeczach zupełnie obojętnych, Daisy czuła się jednocześnie zdenerwowana i spokojna. W małym, ciemnym pokoju na tle okna dostrzegła jedynie

pozbawioną rysów twarz okoloną siwymi włosami. Stopniowo wtapiała się w to nowe otoczenie. Zielonkawe światło sprawiało, że można było poczuć się tu jak w akwarium. Wrażenie to potęgowały powolne ruchy Jacko, gdy ponownie napełnił jej kieliszek sherry z karafki z weneckiego szkła. Cichy, gardłowy głos unosił się w powietrzu jak arabski dym w dusznym powietrzu – brzmiał kojąco. Daisy przyszło na myśl określenie „dobre podejście do chorych” – mimowolnie zadrżała lekko. Jacko natychmiast, choć nie miała pojęcia, jak udało mu się cokolwiek zauważyć w tych ciemnościach, zapytał z troską:

– Zimno ci, moja droga? Rozpalić w kominku?

– Nie, dziękuję – odparła, nieco zmieszana. – Nie jest mi zimno. Chociaż ciemno tu trochę, prawda?

– Odpoczynek dla oczu. Tyle się teraz mówi o wpływie hałasu na jakość życia w mieście, lecz moim zdaniem nowoczesne oświetlenie ma dużo poważniejszy wpływ na system nerwowy człowieka – wszystkie te latarnie i neony o dużej mocy na ulicach i stuwatowe żarówki w mieszkaniach. To po prostu niezgodne z naturą. – Mówił dalej swym kojącym głosem. Uwagę Daisy, pogrążonej we własnych myślach, zwróciło nagle stwierdzenie: – ...nasze instynkty. Nadal jesteśmy stworzeniami ciemności. Na własną zgubę zapominamy o ciemnej stronie naszej natury.

Nic dziwnego, iż Daisy powiedziała w tej chwili: – Coś okropnego zaszło u Amberleyów. Czy Hugo mówił panu o tym?

– Nie, ale wcale mnie to nie dziwi. Zapewne przez Gertrudę. Co się stało?

Gdy opowiadała o tym godnym pożałowania zajściu, zaczęła się trząść. Nie mogła się opanować. Jacko podszedł do niej i usiadł na oparciu fotela. Głaskał ją po włosach na skroni, rytmicznym ruchem, który wydał jej się wręcz hipnotyczny. Przejeżdżający ulicą samochód zdawał się odległy jak dawne wspomnienia. Okno przed oczami Daisy zrobiło się całkiem zamazane. Czuła się słaba, pocieszona, jak rekonwalescentka.

– Może dobrze jej to zrobi na dłuższą metę – stwierdził Jacko. Kobiety tego rodzaju potrzebują terapii wstrząsowej. Ale przecież Hugo nie chodzi zawsze z pistoletem, prawda? Był naładowany?

– Nie sądzę. Nie wiem na pewno – odparła Daisy, odpowiadając na oba pytania. – Ale byłam przerażona. Twarz Hugo. Strasznie mnie przerażyła. Boję się, co by się stało, gdyby...

– To właśnie cena, jaką musisz płacić...

– Chodzi mi o to, że on naprawdę mógłby kogoś zabić. Jakby zupełnie tracił panowanie nad sobą...

– Och, daj spokój, moja droga. Nie wierzę, że coś takiego mogłoby się stać. Hugo po prostu taki jest. Musisz się z tym pogodzić. Nie możesz wybrać kilku rzeczy, które ci się w kimś podobają, i mówić, że kochasz tę osobę. Choć prawie wszyscy tak robią. Musisz być z nim na dobre i na złe.

– Ależ tak jest, tak właśnie jest. Tylko chciałabym...

– Chciałabyś móc go zmienić?

– Nie, zrozumieć go. Jego nastroje.

– Na pewno nie jest aż tak trudno go zrozumieć. Hugo jest klasycznym typem maniacko-depresyjnym i...

– Och – krzyknęła Daisy nagle – on nie jest chyba... z jego głową wszystko w porządku?

– Oczywiście, że tak. Chory z zespołem maniacko-depresyjnym to po prostu osoba z huśtawką nastrojów, ktoś, kto przechodzi z jednego skrajnego nastroju w drugi, z euforii do apatii. Do pewnego stopnia wszyscy tacy jesteśmy. Nie ma w tym nic złego, dopóki ktoś nie posuwa się za daleko.

– Rozumiem – Daisy czuła się częściowo uspokojona i z wdzięcznością uściśnęła dłoń Jacko. Poklepał ją po ramieniu – przez chwilę powróciło do niej z przeszłości zapomniane wspomnienie,

wspomnienie ojca, tego oschłego, milczącego człowieka, pocieszającego ją w jakimś dziecięcym nieszczęściu.

– Ale nic złego nie zaszło między wami? – spytał Jacko.

W ciemności jego głos wydał się jej dziwny. Gdyby był to ktokolwiek inny, nie Jacko, którego współczucie przywykła już brać za zupełnie naturalne, Daisy mogłoby się zdawać, iż w głosie tym było coś więcej niż dotychczasowe pełne uwagi zainteresowanie – coś w rodzaju niecierpliwego oczekiwania.

– Nie, nic takiego – wykrzyknęła. – Chociaż to *jest* trudne. Prowadzimy takie dziwne życie. Żyjemy w niepewności.

Czuła, że jeśli powie więcej, nawet Jacko, to tak, jakby była nielojalna w stosunku do Hugo. Ten jednak z ożywieniem podjął temat.

– Masz na myśli antyspołeczne skłonności Hugo?

Bez słowa, przyglądając się swoim dłoniom, przytaknęła skinieniem głowy.

– No cóż, musisz się z tym pogodzić albo zerwać z Hugo – mówił dalej Jacko. – Chyba że masz zamiar go zmieniać.

– Chcę tylko robić to, co dla niego najlepsze – odparła. Ostatnie słowa Jacko sprawiły, że zaczęła się bronić.

– Nie zrozum mnie źle. Nie chcę być niemiły ani was krytykować. Jeśli ktokolwiek może sprawić, by Hugo się zmienił, to właśnie ty. Ale musisz zdawać sobie sprawę z tego, co cię czeka. Wiesz, że Hugo nienawidził swego ojca, gdy był małym chłopcem. Ta nienawiść jest mocno zakorzeniona w jego osobowości, tyle że obecnie ma szerszy zasięg. Dotyczy wszelkich autorytetów, przyzwoitości, społeczeństwa – wszystkiego, co łączy się z osobą ojca, przeciw któremu Hugo tak bardzo się buntuje. To nie jego wina. Nie może nic na to poradzić – musi wciąż się buntować. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, tak myślę – westchnęła Daisy. – Czy powinnam po prostu pogodzić się z tym, jak jest?

– A czy wydaje ci się, że to wyjątkowo niemoralna rada? – Jacko zaśmiał się po przyjacielsku.

– Nie wiem – odparła.

– Spójrz na to w ten sposób – naprawdę chciałabyś, żeby Hugo się zmienił, zakładając, że to w ogóle możliwe?

Daisy spuściła głowę. Poczowała się nagle zagubiona i nieszczęśliwa. Rozmawiali tak szczerze, ale ani razu nie padło słowo „przestępca”. Zdawało się, że słabe, jakby podwodne światło w pokoju i dłoni Jacko głaszcząca ją delikatnie po ramieniu rzuciły na nią jakiś czar. Powodowana wręcz rozpaczliwym impulsem, by się spod tego uwolnić, zapytała:

– Czy nigdy pana nie martwi to, jak pan żyje?

Od razu zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo go zaskoczyła. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła pochyloną nad sobą twarz Jacko, jakby z kamienia, podobną do gargulca. Zdjął dłoni z jej ramienia.

– Ani trochę – odrzekł po chwili. – A niby jak żyję? – Podniósł się gwałtownie, włączył światło, jakby chciał podkreślić wczesnowiktoriańską nieskazitelną pomieszczenia.

– No cóż, Hugo mówił...

– Tak?

Daisy poszła na całość.

– Mówił, że robi pan nielegalne zabiegi.

– Jak wielu innych lekarzy. I to cię szokuje? – Mimo zwykłego, słodkiego tonu w jego głosie wyczuwało się drwinę. Rysy twarzy Jacko zmieniły ułożenie, tak że w oślepiającym świetle przypominała ona przez chwilę martwy, księżycowy krajobraz.

- Mnie nic już nie szokuje – odparła melancholijnie. – Po prostu potrzebuję pomocy.
- Och, rozumiem, moja droga. Jesteś w ciąży, czy tak?

Daisy zarumieniała się, zakłopotana. – Nie, John, nie jestem. To chodzi o sposób, w jaki żyjemy z Hugo.

Szukała odpowiednich słów, by wyrazić to poczucie nierzeczywistości i izolacji, które tak jej doskwierało. Zdawała sobie sprawę, że Jacko przygląda jej się bacznie. Coś drwiącego, beznamietnego, a równocześnie pełnego oczekiwania w jego spojrzeniu sprawiło, iż znów, w zupełnie nietypowy dla siebie sposób, zrobiła się zaczepna:

- Czy pan nie czuje się odpowiedzialny za Hugo?
- Odpowiedzialny? – w jego głosie dała się słyszeć szczypta rozbawienia.
- No to... winny – rzuciła już bez ogródek.

Jacko zapalił papierosa, pierwszego tego wieczoru. Po czym, przepaszając Daisy, poczęstował i ją.

– Nie do końca rozumiem. Czy twoim zdaniem powinienem czuć się winny, dlatego że Hugo jest moim przyjacielem, a przy tym prowadzi dość, hmm, niekonwencjonalny tryb życia?

- Och, przestańmy już udawać – krzyknęła. – Dobrze pan wie, że Hugo jest włamywaczem.

Nozdrza Jacko rozděły się, a kącik ust zadrgał. – No dobrze. Jest włamywaczem. Czy powinienem czuć się z tego powodu winny?

- Pan mu pomaga. Jak to się mówi? Daje cynk.
- Daje cynk? – Jego głos przeszedł prawie w falset. – Moje drogie dziecko, co ty wymyślasz?

Daisy posunęła się za daleko, by móc się wycofać. Opowiedziała mu o wszystkim, co usłyszała od Hugo, o tym, jak Jacko mimochodem przekazywał mu informacje, które mogły okazać się przydatne. Gdy mówiła, Jacko wyglądał najpierw na zdumionego, a potem rozbawionego.

– Och, mój Boże! – powiedział ze śmiechem. – Ten żartowniś po prostu cię nabierał. Ma bujną wyobraźnię, przecież wiesz.

- Ale on mnie nie okłamuje, naprawdę – Daisy czuła się zraniona.

Głos Jacko znów stał się troskliwy:

– Jestem pewien, że nie. Nie w ważnych sprawach. Ale lubi żarty, zmyślane historyjki – rozumiesz? Nie powinnaś brać na poważnie wszystkiego, co mówi. To taka jego gra, wymyślanie niepochlebnych historii na temat swoich przyjaciół – nie zauważyłaś? Choć muszę powiedzieć, że to, co mi mówisz, to coś nowego. Rozumiesz sama, że lekarz taki jak ja musi być wyjątkowo ostrożny. Byłbym szaleńcem, gdybym komukolwiek opowiadał o moich pacjentkach.

- A czy to nie jest niebezpieczne, by, mmm, w ogóle zadawać się z Hugo?

Jacko wyglądał na zakłopotanego.

- Nie opuszcza się przyjaciół z obawy o reputację.
- Przepraszam, ja... – Daisy uściśnęła jego dłoń. – Pan jest dobrym człowiekiem.

– A z ciebie bardzo dobra dziewczyna. I piękna – odrzekł Jacko z uśmiechem. – A może zjemy kolację? Hugo wraca późno, prawda? To ci poprawi humor – Jacko zaśmiał się ponownie. – Rozumiem, że dziś wieczorem znów dobrze się bawi, że tak to ujmę?

Wyczerpana nerwowo, Daisy rozplakała się bezradnie. Jacko przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

– Musisz postarać się tak nie przejmować. Jeśli Hugo będzie myśleć, że się martwisz, może mu to zaszkodzić.

Daisy kiwnęła żałośnie głową. Nie płakała jednak na myśl o niebezpieczeństwie grożącym Hugo, lecz

dlatego, że nie wiedziała już, w co wierzyć. Mogłaby przysiąc, że Hugo mówił poważnie o Jacko. A teraz Jacko ją przekonał, czy raczej prawie przekonał, iż to, o czym opowiadał Hugo, było zmyślane, wręcz niemożliwe. To znaczyło, że Hugo ją okłamał bez żadnego usprawiedliwienia. Co gorsza, nie mogła z nim o tym pomówić – gdyby dowiedział się, że rozmawiała z Jacko na jego temat, wściekłby się. Byłby tak samo zły, niezależnie od tego, czy była to prawda, czy żart. Czuła, że ta sprawa – nierozwiązana – będzie ją męczyć jak złośliwy guz.

Jacko zadzwonił właśnie po gospodynię, by zaprowadziła Daisy na górę. Gospodyni była starszą kobietą o obojętnym wyrazie twarzy, naturalnym lub wypracowanym. Nieoczekiwanie okazała się niezwykle rozmowna. To miłe, że pan doktor ma towarzystwo – nieczęsto miewają gości, z wyjątkiem pacjentów oczywiście – miała nadzieję, że omlet z kurczakiem i biszkopt z kremem będą smakować pannie Bland, proszę uważać na schodek do sypialni, można się potknąć. Daisy szybko zdała sobie sprawę, iż kobieta próbuje wy badać, czy przyszła tu jako pacjentka. Rozglądając się nieśmiało po przedpokoju na dole, zastanawiając się, które drzwi prowadziły do gabinetu, Daisy poczuła przejmujący wstyd, wręcz strach, jakby to miejsce nawiedzały zrozpaczone cienie kobiet, które przychodziły tu, by zniszczyć rodzące się w nich życie. Podczas gdy ciekawska gospodyni kręciła się wokół niej, Daisy zdała sobie sprawę, z całą siłą wielkiego odkrycia czy ważnej decyzji, że gdyby była w ciąży z Hugo, to niezależnie od tego, jak bardzo utrudniłoby im to życie, urodziłaby to dziecko.

– Tak już lepiej – zawołał Jacko, gdy zeszła na dół. – Wyglądasz, jakby ktoś podarował ci milion funtów!

Podczas kolacji, od czasu do czasu czuła na sobie jego wzrok – zdziwione spojrzenie, którego nigdy wcześniej nie widziała. Przyzwyczaiła się już do tego, że czytał w niej jak w otwartej książce. Trudno jej było sobie wyobrazić, że ta nowa strona mogła być zapisana w języku dla niego niezrozumiałym. Dzięki temu prostemu odkryciu, którego przed chwilą dokonała, zrobiło jej się lekko na sercu. Chciała się nim nacieszyć – nie dzieląc się tą radością nawet z Jacko. Z okrągłego lustra nad niskim kredensem spoglądała na nią jej własna twarz z rozmarzonym, zadowolonym z siebie spojrzeniem. Jej wyraz przypominał do złudzenia wyraz twarzy Madonny Piera della Francesca na reprodukcji na ścianie po jej prawej stronie.

- Nie patrz na mnie tak słodko – powiedział Jacko.
- Przepraszam. Zamyśliłam się.
- Funta za twoje myśli – wodził za nią oczyma, jak pies, który czeka na smaczny kąsek ze stołu.

Nie chciała go zawieść, lecz z drugiej strony, nie potrafiła wprost powiedzieć, o czym myślała. Wyszepiała więc:

- Nie rozumiem kobiet, które chcą się pozbyć własnego dziecka.

Jacko pretensjonalnie otarł usta serwetką.

– W większości przypadków wcale nie chcą, ale muszą. Oczywiście, w przypadku niektórych kobiet instynkt macierzyński pozostaje uspiiony, dopóki dziecko się nie urodzi.

- To musi być dla pana przerażające – stwierdziła Daisy.
- Chcesz przez to powiedzieć, że *ja* przerażam *ciebie*?

– Ależ nie, nie! – Daisy się zdenerwowała. – Jestem pewna, że nie lubi pan tego zajęcia, cóż, właściwie to jak odbieranie życia, prawda?

Twarz Jacko przybrała na chwilę dziwny wyraz, który Daisy miała zapamiętać na długo. Przypominał jej to szelmowskie, wyzywające spojrzenie, jakie widziała czasami u Hugo, choć różnił się trochę, był bardziej tajemniczy.

- To tylko mała część mojej praktyki – odparł łagodnym tonem.

- Jest pan też bardzo miły. Nigdy mi pan nie mówi, że jestem młoda i niedoświadczona.
- Dlaczego miałbym to robić? Jesteś mądra jak na swój wiek. Jak każde dziecię natury. Mam nadzieję, że Hugo o tym wie. – Oczy Jacko znów przyglądały jej się bacznie, jak palce badające puls. – Gdyby cię skrzywdził, nigdy bym mu tego nie wybaczył.
- Och, każdy, kto jest zakochany, cierpi – rzuciła wesoło. – Po tym można poznać, że to prawdziwa miłość.
- No, no, ty mała masochistko! Jeszcze trochę, a powiesz mi, że chciałabyś, by Hugo cię zbił. A może cię bije? – Jacko pochylał się do niej, z pytającym spojrzeniem w oczach.
- Ciągle jestem posiniaczona. Żartuję! Oczywiście, że nie. – Daisy zarumieniła się na myśl o sińcach, jakie zrobił jej Hugo w chwili uniesienia. Szybko zaczęła mówić dalej, o czymkolwiek, by to ukryć, i wtedy padło: – Ciekawe, czy Hugo byłby dobrym ojcem?

Jacko wyprostował się, obierając starannie pomarańczę przy pomocy nożyka deserowego. Nie odpowiedział od razu.

- Moja droga – powiedział wreszcie – jeśli o tym myślisz, muszę cię ostrzec. Hugo potrzebuje niezależności. Nigdy nie pozwoli obarczyć się rodziną.
- Ale...
- Znam go już dosyć długo. To świetny facet, ale nie jest stworzony do bycia odpowiedzialnym. Możesz go sobie wyobrazić jako człowieka z rodziną – pieluszki, regularny tryb życia, ubezpieczenie na życie? Słowo daję, równie dobrze mógłby siedzieć w więzieniu.

Słowa Jacko wciąż rozbrzmiewały w jej głowie jeszcze długo po powrocie do domu. Ich mieszkanie w Maida Vale zdawało się biedne po tym eleganckim, jakby nieco staropanieńskim domu przy Albert Grove. Daisy zabrała się do sprzątania salonu. Ciężko jej ołowiane przygnębienie. Żeby tylko Hugo niedługo wrócił! Było tak cicho, tak pusto.

Poszła do sypialni i, włączając światło, krzyknęła. Hugo tam *był*, leżał w ubraniu na łóżku, patrząc na nią bez wyrazu.

- Hugo! Co się stało, kochanie? Nie słyszałaś, jak wchodziłam?
- Kłapa – powiedział głuchym, rozgoryczonym tonem. – Cholerna, kompletna kłapa. Skończyło się na skręconej kostce. Złapałem taksówkę i tylko dlatego uratowałem się od katastrofy. Na miłość boską, kochanie, nie patrz tak na mnie, jakbym cię zgwałcił czy coś podobnego!

## 9.

### *Wyprawa do świata przestępców*

**Z**e względu na zwichniętą kostkę przez kilka dni Hugo nie mógł nic robić. Na początku posłusznie poddawał się zimnym kompresom i różnym zabiegom Daisy, wodząc za nią oczyma jak dziecko, które zrobiło sobie krzywdę i nie jest pewne, czy nie dostanie bury za swą nieostrożność. Hugo był najwyraźniej zawstydzony swym niepowodzeniem i intuicja Daisy podpowiadała jej, że należy obchodzić się z nim z najwyższą ostrożnością. Powiedział jej jedynie, że spadł z parapetu okiennego z wysokości pierwszego piętra. Skok z takiej wysokości nie był dla niego niczym nowym, ale wylądował na leżącej na podwórku puszcze po farbie i dlatego skręcił nogę w kostce.

Dziewczyna nie mogła zapomnieć słów, które Jacko wypowiedział ostatniej nocy: Jeśli Hugo będzie

myśleć, że się martwisz, może mu to zaszkodzić... Prawie ją przeproszając, Hugo powiedział, że nigdy wcześniej się nie pośliznął – musiał wypaść z wprawy czy coś takiego. A ona, w poczuciu winy, unikała jego wzroku.

Na szczęście nie było powodów do niepokoju. Mieszkańcy domu wyjechali na wakacje, a najbliżsi sąsiedzi chyba spali. Hugo nie obawiał się też, że wyda go taksówkarz. Przeleżał bez ruchu kilka minut, po czym złapał taksówkę na głównej ulicy. Udając pijanego, nieskładnie opowiedział szoferowi, jak wychodząc z przyjęcia, spadł ze schodów.

Tego pierwszego dnia po wypadku Hugo był w nastroju *piano*, tym bardziej więc Daisy zdziwiła się, jedząc kolację przy jego łóżku, gdy zapytał nagle:

– O co chodzi, staruszko?

– O nic – odparła, czując na sobie spojrzenie jego oczu, oczu, które czasami unikały jej wzroku, a czasami, jak teraz, zdawały się tak niepokojąco sprytnie.

– Masz do mnie o coś żal. Znam cię przecież – powiedział, drażniąc się z nią żartobliwie, ale jednocześnie chcąc się dowiedzieć, o co chodzi. Potrząsnęła tylko głową. – Żywiciel rodziny nie zarobił na chleb, tak?

– Nie, to nie *to!* – zawołała, zdradzając się tonem głosu. – Wiesz, że nie winię cię za...

– Więc za *co* mnie winisz? Tłumisz coś w sobie. Trzymasz się na dystans.

Daisy nie zdawała sobie z tego wcześniej sprawy, ale teraz wiedziała, że to prawda. Nic nie mogła przed nim ukryć.

– Dlaczego mi powiedziałeś, że Jacko jest twoim współnikiem, że dawał ci cynk?

– Bo tak było. Może nie jednoznacznie – wahanie w jego głosie sprawiło, że Daisy zrobiło się niedobrze.

– Ale on temu zaprzecza. Był wstrząśnięty, gdy...

– Rozmawiałaś z nim o *tym* wczoraj wieczorem?

Ton głosu Hugo stał się prawie wrogi, ale musiała mówić dalej.

– Przecież jest twoim przyjacielem, prawda? Nie był zły. Powiedział tylko, że mnie nabierasz, fantazjujesz.

– Nie myślisz chyba, że by ci się przyznał? Moja biedna, naiwna dziewczynko – sam przed sobą z trudem się do tego przyznaje.

– Więc nie rozumiem...

– No to nie wściubiaj nosa w te sprawy!

– Właśnie, że będę! Dlaczego mam nie mieć o niczym pojęcia? Nie rozumiesz, że chcę dzielić z tobą całe twoje życie, a nie tylko te okruszki, którymi mnie łaskawie karmisz?

– Przepraszam, kochanie. – Ująwszy jej dłoń, patrzył na nią z troską. – Nie powinienem mówić ci o Jacko.

– Czy to była prawda?

– Tak, najprawdziwsza prawda. Dlaczego pytasz?

Daisy westchnęła. Czy nigdy nie uda jej się wytłumaczyć Hugo, że jeśli nie będą mówić sobie prawdy, ich wspólne życie nie będzie miało sensu?

– Jacko to dziwny gość – stwierdził Hugo. – Prawa ręka nie wie, co czyni lewa. Ale do pewnego stopnia można mu ufać. Przekonałem się o tym.

– Z pewnością – rzuciła Daisy przewrotnie.

– Co masz na myśli?

– Nie przejąłeś się tym, że poszłam tam sama wczoraj wieczorem.

Hugo wybuchnął śmiechem: – Na Boga! Złościsz się, bo nie jestem zazdrosny? Na to wygląda. Biedna Daisy, więc ten podły przyjaciel jej narzeczonego jednak nie próbował się do niej dobrać!

Ze złością wyrwała mu dłoń.

– Nie znoszę, gdy mówisz w ten sposób!

– Wielkie nieba, jacy jesteśmy dzisiaj drażliwi! Posłuchaj, kochanie. Normalnie jestem cholernie zazdrosny. Ale nie o Jacko. Jacko jest moim przyjacielem, a do tego podejrzewam, że biedaczysko jest impotentem...

Jak zawsze wtedy, gdy Hugo mówił o Jacko, Daisy czuła się wykluczona – mała kropeczka tańcząca jak szalona na zewnętrznym brzegu zamkniętego koła. Próbowwała teraz wytłumaczyć to Hugo, mówiła o tym, jak nierzeczywiste

i samotne jest czasami jej życie. Słuchał całkiem cierpliwie – nie powiedział, czego się trochę obawiała, że ma przecież prawo wyboru, może zrezygnować z tego potajemnego życia, ani też nie pogrążył się w rozczulaniu nad sobą w stylu *zawsze-ci-mówiłem-że-nie-jestem-dla-ciebie-wystarczająco-dobry*. Zamiast tego, zobaczyła słaby blask w jego oczach. Z tą swoją chłopięcą pewnością siebie, która za każdym razem zwałała ją z nóg, i porozumiewawczym uśmiechem Hugo powiedział:

– Dobrze, kochanie, skoro już o tym mowa, co byś powiedziała, gdybyśmy zmienili nasz sposób życia?

– Zmienili nasz...

– Przenieśli się tam, gdzie jestem u siebie. Pomiedzy grzeszników i bywalców barów. I tak jesteśmy właściwie bez grosza. Mogę podnająć komuś te pokoje do końca roku.

Hugo mówił z takim samym entuzjazmem, jak wtedy, gdy proponował jej przeprowadzkę do Ritza i jak zwykle zaraził nim Daisy. Powiedziała od razu, że sprzeda ubrania, które od niego dostała, pójdzie do pracy...

– O nie, moja kochana. W towarzystwie, do którego cię wprowadzam, *nie pracujemy* – Hugo zrobił zszokowaną minę. – Nigdy nie używaj słowa „praca”. To brzydkie słowo.

Daisy nie miała pojęcia, z jakiego powodu Hugo zdecydował się przenieść wraz z nią do tego półświatka i nigdy też się nad tym specjalnie nie zastanawiała. Musiała zniknąć jakaś bariera, która nie pozwalała mu tego uczynić, rycerskie pragnienie ochrony jej niewinności. Być może też autodestrukcyjny pierwiastek w jego charakterze kazał mu pokazać się Daisy w naturalnym środowisku. W każdym razie, gdy tylko zaczął chodzić, postanowił odnowić kontakty z człowiekiem, którego znał z czasów, gdy „pracowali” razem w środkowej Anglii. Po powrocie powiedział, że człowiek ten, Fenton, pseudo „Spinacz”, dał mu namiar na pensjonat tuż przy Whitechapel Road, gdzie mogli wynająć pokój tanio i bez zbędnych pytań. Hugo zarezerwował pokój i w tym samym przystępie energii sprzedał większość sukien Daisy – za zaskakującą dla niej cenę – i znalazł kogoś, kto miał wynająć ich mieszkanie.

– Zamierzasz wstąpić do jakiegoś gangu? – spytała z wahaniem. – Myślałam, że zawsze pracujesz sam.

– Zobaczmy. Być może będę musiał pracować jeszcze z kimś. Ostatnio niewiele miałem z tej zabawy w pojedynkę.

Uczeń wracający do domu na wakacje nie mógłby być weselszy niż Hugo tego dnia, gdy dźwigał ich dwie walizki i pospieszał Daisy we wczesnojesiennym powietrzu, na drodze do podziemnego światka, gdzie mieli odtąd przebywać, z krótkimi przerwami, przez blisko dwanaście miesięcy.



Pierwsze wrażenia Daisy, gdy już przyzwyczaiła się do nowego mieszkania, obskurnych kawiarni i zatłoczonych, hałaśliwych ulic, dziwnie przypominały wspomnienia tego szalonego okresu, gdy mieszkali w Ritzu. Było tu to samo dryfujące, wyraźnie pozbawione jakichkolwiek korzeni towarzystwo – łatwo przyszło, łatwo poszło. Jego członkowie, podobnie jak elegancyści znajomi Hugo z wyższych sfer, mówili własnym językiem, pełnym aluzji i slangowych powiedzeń, utrzymywali się dzięki kombinatorstwu czy zdolnościom pasożytniczym, hojni, gdy mieli pieniądze, bezwstydnie żerowali na innych, gdy ich brakowało. Wejście Daisy do tego świata, w którym wszyscy żyli z przestępstwa lub podejrzanych interesów, ułatwił Fenton „Spinacz”. „Spinacz”, przysadzisty, szeroki w barach, wesoły osobnik, od razu ją polubił, nazwał ją „Królową” i występował jako jej przewodnik i opiekun. To „Spinacz” nauczył Daisy snobizmów i podziałów przestępczego świata, którego arystokratami są włamywacze i oszuści, a kieszonkowcy to płotki. Jako że sam należał do arystokracji, ubolewał nad tym, co zaczęło zmieniać się po wojnie – przemoc, Teddy boys i cały ten motłoch pozostały po grupach przestępczych, jakie kwitły w czasach reglamentacji i czarnego rynku. Uważał, że w profesji jest zbyt wielu ludzi i że połowa z nich to amatorzy, których za brak kompetencji należałoby skazać na wykonywanie uczciwej pracy.

Zważywszy na długą nieobecność wśród przestępczej braci Hugo początkowo trzymał się z boku. Traktowano go jednak z respektem należnym komuś, kto działa w pojedynkę i cieszy się ugruntowaną reputacją. Daisy zauważyła, jak szybko Hugo zaczął się czuć tu jak u siebie, jak człowiek urodzony na wsi, który po wielu latach wraca do rodzinnej wioski. Zdawało się wręcz, iż nabiera kolorytu otoczenia – stawał się coraz żwawszy, coraz bardziej nieufny. Jego gesty coraz bardziej wpasowywały się w stereotyp nerwowego, przebiegłego wolnomularza kryminalnego światka. Częściowo była to dla niego gra, myślała Daisy, ale granie w nią zgodnie z zasadami i konwencją napępniało go chłopięcą dumą. Wszystko to – jego żywotność i doskonały nastrój – zdawało się, może nawet trochę wyzywająco, mówić: to jest moje miejsce, nie muszę już zachowywać pozorów.

Te wątpliwości oraz resztki dawnego poczucia przyzwoitości, jakie pozostały jeszcze Daisy, szybko rozproszyły się dzięki temu, że Hugo był tu zadowolony. Zdała sobie sprawę, że on również czuł się osamotniony, skrzepowany w czasach, gdy mieszkali w Maida Vale. Jeśli on był szczęśliwy, ona również była szczęśliwa. Teraz, niezauważalnie dla niej samej, stopniowo przejmowała wartości tego nowego świata, świata Hugo, w którym uczciwych obywateli szczerze uważano za frajerów, przyzwoitość za potwarz, a Prawo za coś, co należy łamać, omijać czy znosić – za naturalnego wroga.

Jeśli chodzi o Hugo, o ile na początku czuł się trochę niepewnie ze względu na Daisy, to szybko się tej niepewności pozbył. Daisy zdobyła sobie bowiem wielkie uznanie. Jej podatność na wpływy zewnętrzne oraz radość życia sprawiły, że zwycięsko przeszła przez to doświadczenie, które poniżyłoby czy złamało każdą inną kobietę. Młodzi twardziele chwalili jej się swoimi dziewczynami, radzili się w sprawie ekstrawaganckich strojów, starzy recydywiści z sentymentem opowiadali jej o matkach, którym złamali serca, i podpowiadali, jak obstawiać na wyścigach psów, a Daisy, słuchała z podziwem, dawała rozsądne rady, jak jakaś Biała Bogini wśród plemienia dzikich. Początkowo kobiety były wobec niej bardziej podejrzliwe, gdy jednak zorientowały się, że interesuje ją wyłącznie Hugo, również i one ją zaakceptowały. Nikt nie ośmieliłby się próbować żadnych sztuczek wobec dziewczyny, za którą stali Hugo i „Spinacz”. Odczuć dawała się też niewinność, jaką wciąż emanowała jej uroda. Tak więc ci, którzy zazwyczaj wyrażali się wulgarnie, powstrzymywali się w jej obecności, a cynicy chwilowo miękli.

Przede wszystkim przynosiła szczęście. Dla przestępcy, człowieka przesadnego i zazwyczaj mało inteligentnego, szczęście wydaje się czymś w rodzaju boskiej łaski – podziwia on farciarza tak, jak żołnierz podziwia generała, któremu dopisuje szczęście. Mimo że Hugo i „Spinacz” nie planowali w

owym czasie żadnych dużych skoków, cały czas udawało im się w pomniejszych interesach, co przypisywano właśnie Daisy. Uznano ją za maskotkę. Stało się zwyczajem pośród tych z konfraterni, którzy ją znali, szukać jej przed wyjściem

na wyścigi psów czy włamanie, by dotknąć jej sukienki, jakby odpukiwali w niemalowane. Dziwna lojalność, którą w ten sposób w nich wzbudzała, a było to być może najbliższe jakimkolwiek uczuciom i bezinteresowności, jakie te wypaczone, egoistyczne typy miały kiedykolwiek poczuć, była sama w sobie nagrodą: choć zdradzieccy jak mali chłopcy i samolubni jak poszukiwacze złota, zawsze byli gotowi chronić Daisy – pisać słówko, które mogłoby zaszkodzić jej i Hugo, to jak zbeczczyć plemienny totem.

Spółeczność, której byli częścią, podlegała nieustannym zmianom. Jej członkowie znikali, by się ukryć albo w więzieniach, pojawiały się nowe twarze, witane jak znajome lub z rezerwą. Gangi tworzyły się szybko – bowiem kryminaliści rozpoznają się z taką samą łatwością jak rodacy w obcym kraju – i równie szybko rozpadały. Dłuższa współpraca mogłaby zwrócić uwagę informatorów i ciekawskich, koledzy z ekipy mogliby pokłócić się w kwestii metod czy też podziału łupów albo podejrzenia, że jeden ze współników ma chętkę wystawić pozostałych do wiatru. Ci mężczyźni miotali się szaleńczo pomiędzy oddaniem wobec współnika od konkretnej roboty, a ciągłym, pełnym gorzki brakiem zaufania. Nawet ich przestępczy slang zmieniał się bezustannie, jak szyfr wojenny.

Tej zimy przeprowadzali się osiem razy – środek ostrożności ze strony Hugo. Skończyła się współpraca ze „Spinaczem”, także ze względu na bezpieczeństwo, po tym, gdy tak się obłowili, że na Boże Narodzenie Hugo zabrał Daisy na wieś. Kiedy pieniądze się skończyły, wrócili do tanich pokoi, smażonej ryby na kolację, salonów z automatami do gry, życia z dnia na dzień, potajemnych spotkań ze znajomymi w pubach czy na tańcach. To powierzchowne, bezcelowe życie, którego jedyną odmianą były godziny napięcia, gdy Hugo „pracował”, nie zaczęło jeszcze przykrzyć się Daisy. Lubiała tłumy i ożywioną atmosferę East Endu. Hugo był idealnym towarzyszem, zwykły spacer ulicą zmieniał się z nim w wycieczkę. Ponadto, przekonanie, że teraz oboje tkwią w tym po uszy, dawało Daisy poczucie głębokiego zadowolenia. Wydali wojnę społeczeństwu – a przestępcy, podobnie jak żołnierze, nie myślą o przyszłości.

Trudno powiedzieć, jak długo mogłoby to trwać. Jednakże pod koniec kwietnia Daisy odkryła, że jest w ciąży. Przez kilka dni nie śmiała powiedzieć o tym Hugo. Wreszcie któregoś wieczoru, gdy czytał jej głośno – zwyczaj ten

narodził się całkiem niedawno – przytulne poczucie wspólnego domowego zacisza dodało jej śmiałości. Hugo zareagował inaczej, niż tego oczekiwała. Jego twarz rozjaśniła się, a potem pociemniała.

- Och, Daisy – powiedział wreszcie. – Moja biedna Daisy. Co ja narobiłem?
- Jesteś zły? – ciągle jeszcze zdarzało jej się trochę go bać.
- Głuptasku. To przecież musiało się zdarzyć, prawda?

Siedząc na oparciu fotela, pocałował ją delikatnie. Twarz mu pociemniała ze smutku i jakby wyrzutów sumienia.

– Już dobrze, kochana – powiedział, bardziej do siebie niż do niej. – Nie martw się. Nie zostawię cię.

- Ja się nie martwię.

Potoczył wzrokiem po obskurnym, nieporządnym pokoiku, z obrzydzeniem w oczach.

- Nie ma czym się martwić. Jacko się tym zajmie.

Daisy nie mogła się powstrzymać – zeszytniała, odsunęła się od niego. Jakby spodziewając się ciosu, zgarbiła ramiona.

– Och, *nie*. Hugo, ja nie... Ja chcę urodzić twoje dziecko – powiedziała to głośniejszym, bardziej wyzywającym głosem niżby tego chciała.

Na chwilę zapadła cisza. Choć odwróciła głowę, czuła na sobie jego spojrzenie. Widać było, że Hugo bije się z myślami. Jego głos nie brzmiał do końca szczerze, gdy wreszcie powiedział:

– Oczywiście, kochanie. Co myślisz, że chciałem powiedzieć? Jasne, że będziemy mieć to dziecko.

Zaczął tłumaczyć, iż Jacko będzie opiekować się nią i dzieckiem w czasie ciąży i załatwi jej łóżko w szpitalu. Jakie to szczęście, że mają znajomego doktora. Dzięki temu Daisy uniknie skrępowania w związku z koniecznością zgłoszenia się do publicznej służby zdrowia jako kobieta niezamężna.

Od skrępowania tego rodzaju Hugo mógł uwolnić ją w każdej chwili, i to w o wiele prostszy sposób. Była mu jednakże tak wdzięczna za to, że zgodził się na dziecko, że w tym czasie myśl o małżeństwie praktycznie nie przyszła jej do głowy. W pełni przekonana o jego miłości, przyzwyczajona od dawna do życia z Hugo jak żona z mężem, Daisy nie czuła potrzeby zalegalizowania tego związku. Nie znaczyło to dla niej więcej niż praktyczne udogodnienie. Nie zadała sobie nawet pytania, dlaczego Hugo nie poprosił jej o rękę. Otrzymała za to nagrodę, gdy jakiś czas później Hugo powiedział:

– Daisy, prawdziwy skarb z ciebie. Każda inna dziewczyna skorzystałaby z okazji, by mnie zaobrączkować.

– Ależ my *jesteśmy* małżeństwem, kochanie – odparła prosto. – Małżeństwa nie powstają w urzędzie stanu cywilnego.

– Zrobię to, jeśli naprawdę tego chcesz – wyrzucił z siebie.

– Och, mamy tyle czasu. Co nas to obchodzi?

– Małego Thomasa będzie to obchodzić.

– Małego kogo?

– Dziecko, kochanie. Thomas Bland-Chesterman. Błękitne oczy i złote włosy, tak jak u jego ślicznej mamusi.

– Nie, chcę, żeby był podobny do ciebie.

– Dobry Boże, co za zwariowany pomysł – odpowiedział półserio. – Daj biednemu dzieciakowi jakąś szansę.

– Będzie taki sam jak ty. Jesteś moim ideałem.

– Znów wyglądasz jak Rozmodlona Lady Hamilton – słowa Hugo były lekko zaczepne, lecz jego głos brzmiał niepewnie. Nagle ukląkł przed nią i położył głowę na jej kolanach.

**D**wa dni później Daisy poszła na umówione spotkanie z Jacko. Przez ostatnie sześć miesięcy utrzymywali z nim kontakty, od czasu do czasu wybierając się na kolację do domu przy Albert Grove, nieraz, gdy byli na dnie, pożyczając pieniądze – Daisy zawsze pilnowała, by oddać na czas i co do grosza. W każdym razie w jej obecności Jacko nigdy nie okazywał szczególnego zainteresowania ich nowym życiem. „Ciągłe jeszcze tam mieszkanie?” – pytał z lekkim zdziwieniem w głosie, po czym zmieniał temat rozmowy.

– Cóż mogę dla ciebie zrobić, moja ślicznotko? – zapytał teraz, wprowadzając ją do zaciemnionego wnętrza domku. – Przez telefon byłaś bardzo tajemnicza.

– Chciałabym prosić o poradę, zawodową.

Daisy zastanawiała się nad tymi słowami przez całą drogę i teraz wypowiedziała je z wymuszoną miną, która sprawiła, że Jacko się uśmiechnął. Otworzył jej drzwi gabinetu, podprowadził ją do krzesła i

usiadł przy biurku, przyglądając

jej się poważnie. Wszystkie te czynności wykonywał z lekką przesadą, jak dorosły bawiący się z dzieckiem w lekarza i pacjenta.

– Jestem... Wydaje mi się, że będę mieć dziecko – rzuciła od razu, bez tchu. – Hugo powiedział, że pan mi pomoże.

Przez chwilę Jacko nic nie mówił. Jego usta poruszały się, jakby coś smakował, jakieś nowe doznanie, raczej bez przekonania.

– Ach tak. I chciałybyś, żebym...

– Zamierzam *urodzić* to dziecko – powiedziała, by ubiec go, zanim powie to, czego się obawiała.

– To świetnie – odparł gładko. – Czy ojciec pogodził się z tą myślą?

– Och, Hugo jest zachwycony. Chcielibyśmy, żeby to był chłopiec, nazwiemy go Thomas...

Daisy paplała, nie zwracając uwagi na badawcze spojrzenie jego brązowych oczu. Mówiła, co jej ślina na język przyniosła, by ukryć przed nim – a może i przed samą sobą – nagłą myśl, że nie chce, by ją badał. Starła się nie patrzeć na jego dłonie i nie zastanawiać nad tym, co nimi zrobił innym kobietom. Czuła się też nieco zbита z tropu, gdy spostrzegła, jak poprawne, dalekie i kliniczne stało się teraz jego zachowanie. Gdy zasypywał ją pytaniami, przedstawiał plany opieki lekarskiej podczas ciąży i przeprowadzał badania, równie dobrze mógłby to robić jakiś zupełnie obcy lekarz, a nie ich najlepszy przyjaciel.

– Dam znać za kilka dni – powiedział, gdy ubierała się za parawanem. – Bez wątplenia wynik będzie pozytywny. Jesteś silna i zdrowa, nie przewiduję więc żadnych powikłań. Mam nam myśli fizyczne powikłania. Przyjdź jednak na wizytę za miesiąc.

– Czy to będzie dużo kosztowało? – spytała Daisy, zbierając się do wyjścia.

– Tym nie musisz się martwić. Zostaw to staremu Jacko.

Znów stał się ludzki – przypominał tego człowieka, którego znała. Z wdzięcznością pochyliła się ku niemu, dotknęła jego policzka swoim. Otoczył ją ramionami. Przyłgnął do niej, miękko, dziwnie, jak bluszcz czy pajęczyna, z pełnym kruchości i słabości uporem. Po chwili spojrzał na nią tajemniczo, poklepał energicznie po ramieniu i wypuścił. Gdy wychodziła z domu, zrobiło się jej go żal, siedział tam taki samotny, taki niekochany.

## 10.

### *Tragedia w Southbourne*

**P**o powrocie powiedziała o tym Hugo.

– Biedny Jacko? Nie daj się nabrać – odparł, tym na poły pełnym podziwu, na poły pogardliwym tonem, który często przyjmował, gdy mówił o swym przyjacielu. – On lubi takie życie. Zdaje się, że podnieca go wykańczanie tych małych embriionków. Jest twardy jak skała.

– Och, Hugo, ale przecież potrafi być też zyczliwy!

– Erotoman gawędziarz z niego. Pacjentki to uwielbiają. Tak, trzeba mu to przyznać.

– Naprawdę jesteś okropny.

– Więc i ty dałaś się nabrać na to jego lekarskie podejście? Och, jakie nadzieje Jacko potrafi wzbudzać w dziewczynach! Ale to mu zastępuje...

– Nie bądź wulgarny, Hugo. To nie w twoim stylu. Dlaczego właściwie się z nim zadajesz, skoro tak

nim gardzisz?

– Nie gardzę. Raczej go podziwiam. Świetny z niego kompan, a do tego użyteczny. Jeśli naprawdę się z nim zaprzyjaźnisz, nigdy cię nie zawiedzie. Dlaczego mielibyśmy mu żałować tych jego drobnych przyjemności...?

Rozmowa zamieniła się w kłótnię. Daisy często miała wrażenie, że przyjaźń tych dwóch mężczyzn jest jak zamknięte koło, z którego ona została wyłączona, jak masoneria, do której przed nią uciekał. Właśnie to ją drażniło. Ta kłótnia miała się okazać ich ostatnią. Chłodna wiosna przeszła w mokre i ponure lato. Cięża dobrze służyła Daisy. Robiła się coraz spokojniejsza i bardziej opanowana. W tym okresie Hugo nie przestawał zaskakiwać jej swoją czułością i troskliwością. Upierał się, by wyprowadzili się z East Endu i opuścili towarzystwo twardych gości, wśród których czuł się w swoim żywiole. Znalazł dla nich mieszkanie na dość przyzwoitej ulicy w pobliżu Russell Square. Jego dawny niepokój rzadko dawał o sobie znać – Hugo zdawał się całkiem zadowolony z przesiadywania z Daisy w domu czy zabierania jej na spacer, w te nieczęste ładne dni, gdy mieli ochotę gdzieś wyjść. Rozmawiali bez końca o dziecku, snując plany na przyszłość, jakby miało u swych stóp cały świat. Jakie to dziwne, myślała Daisy, iż Jacko uznał, że Hugo będzie beznadziejnie nieodpowiedzialnym ojcem. Ta pomyłka Jacko sprawiała, że miała dla niego coś w rodzaju pobłażania, nie mniejszego niż wzruszenie, jakie wywoływał w niej ten nowy Hugo, tak więc gdy spotykali się we trójkę, czuła się zupełnie swobodnie.

Skąd brały się pieniądze na obecne życie, czy były pożyczone, czy kradzione, Daisy nie wiedziała – Hugo troszczył się między innymi o to, by nie martwiła się jego sprawami. Gdy planował jakieś nielegalne przedsięwzięcia, nic jej o tym nie mówił. Od czasu do czasu wychodził sam, tłumacząc jej, że idzie szukać jakiegoś pokoju czy małego mieszkania, którego właściciel nie będzie miał nic przeciwko dzieciom. Gdy przestał wynajmować pokoje w Maida Vale, dał Daisy 50 funtów ze sprzedaży mebli, jakie tam trzymał. Schowała je, by móc kupić rzeczy dla dziecka. Daisy należała do tego rodzaju osób, które biernie poddają się zrządzeniom losu, a w obecnym stanie jeszcze mniej niepokoiła się o jutro. Jej życie skupiało się wokół tego życia, które nosiła w sobie, tak że wszystko inne, oprócz Hugo, wydawało się dalekie, nierzeczywiste, nieważne, jak sen, który nie wymagał z jej strony żadnego wysiłku. Było to jednak poczucie nierzeczywistości inne od tego, które odczuwała w pierwszych miesiącach życia z Hugo, teraz podnosiło ją na duchu, otulało jak kokon.

Mijały tygodnie. Na początku września, po dusznym, pochmurnym sierpniu, Londyn znów zaczął oddychać. W ogródkach barwne płatki astrów wirowały jak dziecięce wiatraczki, a obłoki – jakby jakiś korek uliczny na niebie wreszcie się rozładował – toczyły się radośnie po nieboskłonie. Jednego z tych wietrznych dni Hugo wrócił do domu niezwykle podniecony. Daisy siedziała w pokoju z robótką.

– Jedziemy na wakacje, kochanie. Na drugi miesiąc miodowy. Co ty na to?

– To cudownie. Ale przecież nie możemy sobie na to pozwolić.

Hugo wyjął z kieszeni spodni zwitek banknotów i obrzucił ją nimi.

– Danae w złotym deszczu! Jak ci się wydaje, skąd je mam?

Daisy potrząsnęła tylko głową ze śmiechem.

– Stary, dobry Jacko – powiedział.

– Och, kochanie, może nie powinniśmy pożyczać od niego pieniędzy?

– To nie pożyczka. To prezent. Czy raczej... – Hugo posłał jedno z tych swoich wesołych, przebiegłych spojrzeń, które zawsze robiły na niej wrażenie – ...czy raczej sposób na uspokojenie sumienia.

– Nie rozumiem.

– No cóż, trzymaj się mocno, a ja ci wszystko wyjaśnię. – Hugo usiadł na podłodze i oparł głowę na jej kolanach. – Czy wyglądam jakoś inaczej? – spytał, patrząc jej prosto w oczy.

– Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie.

– Niech świadek ograniczy się do jasnej odpowiedzi na pytanie. Tak czy nie?

– Nie.

– Do licha! Podpowiem, że wyglądam, jakbym zmienił się na lepsze.

– Kochanie, o co tu chodzi?

– Moja prześliczna, głupiutka gadułka, *właśnie* ci mówię. Być może zauważyłaś, że niedawno zdarzało mi się opuszczać naszą rezydencję. Co ciekawe, nie z żadnych nielegalnych powodów. Szukałem pracy.

– Pracy? – Daisy westchnęła z niedowierzaniem.

– Mhmm. Skromne stanowisko w armii frajerów.

– Hugo! Ale dlaczego?

– Nie cieszysz się?

– Taak. Tak, oczywiście. Ale...

– To wszystko – tu zrobił zamaszysty ruch dłonią, jakby chciał zawrzeć w nim puby East Endu, kombinatorów, salony gier, zmienne, nieodpowiedzialne, szalone życie, jakie tam prowadzili – no cóż, pasowało mi. A ty miałaś do mnie anielską cierpliwość. Ale dla małego Thomasa to za mało.

Daisy zebrało się na łzy.

– Nadzwyczajne skutki ojcostwa – mówił dalej Hugo. – Coś jakby powrót do moich kryształowych korzeni. Nie sądziłem, że to się kiedykolwiek stanie. W każdym razie, prawie udało mi się dostać pracę – sprzedaż powierzchni reklamowej. Praktycznie tylko dzięki mojej silnej i ujmującej osobowości. Niestety, te chłystki uwolniły się spod czaru i zażądały referencji. I tu właśnie pojawia się Jacko.

– Jacko? – Daisy zdążyła już zapomnieć, jak zaczęła się ta rozmowa.

– Tak, wariatko. Potrzebowałem referencji z dwóch źródeł. Dostałem świetne od dowódcy mojej kompanii, oczywiście wieki temu. Tak więc skoro Jacko jest jedyną znaną mi przyzwoitą, cha cha, osobą, zwróciłem się do niego. Ale ten podlec się nie zgodził.

– Och, kochanie! To niemożliwe, żeby był taki zły?

– Możliwe, możliwe. W pewnym sensie można to zrozumieć. Musi cholernie uważać, by zachować pozory. Gdyby wyszło na jaw, że polecił kogoś, kto siedział za kratkami, mogłoby mu to poważnie zaszkodzić. Trzeba przyznać, że czuł się niezręcznie, że musi odmówić. Stąd ta forsa – Hugo zaczął zbierać porzucane po podłodze banknoty. – I stąd nasze wakacje. Dokąd pojedziemy?

– Ale czy nie powinieneś najpierw spróbować jeszcze raz z tą pracą, kochanie?

– Jacko powiedział, że mizernie wyglądasz – choć moim zdaniem jesteś kwitnąca – i że powinnaś pooddychać trochę morskim powietrzem. Po drugie, cała ta afera z pracą wymaga trochę więcej organizacji, niż mi się zdawało...

Hugo zaczął tłumaczyć, jak trudno jest człowiekowi z więzienną przeszłością znaleźć uczciwą pracę – prawie tak trudno, jak wyjechać za granicę bez paszportu. Istnieje co prawda towarzystwo pomocy dla byłych więźniów, ale Hugo nie skorzystał z jego usług, a teraz było już trochę za późno, by to zrobić. Każdy potencjalny pracodawca pytał, czym zajmował się wcześniej, a większość wymagała okazania jakichś dowodów.

– W tych czasach nic nie da się załatwić bez papierków – rzucił z niesmakiem.

W jego przypadku oznaczało to sfalszowane referencje i kogoś, kto je potwierdzi, jeżeli pracodawca

się nimi zainteresuje. Straszne zawracanie głowy.

Prosta dziewczyna nie zwróciła uwagi na to, że te plany powrotu na uczciwą drogę wiązały się z oszustwem. W tej chwili sama już nie wiedziała, co czuje – oburzenie na świat, który tak utrudnia człowiekowi zmianę na lepsze, wdzięczność wobec Hugo, że chce uczynić to ze względu na ich dziecko, czy pewne zdumienie na myśl o tym, że życie, do jakiego się przyzwyczaiła, ma się skończyć. Teraz, gdy dawne marzenia o tym, że Hugo staje się uczciwym żywicielem rodziny, zaczynały się spełniać, nie wydawały się już tak bezwzględnie godne pożądania. Hugo jest taki zmienny. Jej intuicja ostrzegła ją, że jeśli rzeczywiście podejmie pracę, być może nudna, uczciwa praca szybko go zmęczy, a wobec niej i dziecka będzie czuł urazę, jakby to oni zmusili go do życia, którego nie może znieść.

Jednakże niedługo trapiła się tymi myślami. Zawsze dostosowywała się do jego planów, a w obecnym stanie była jeszcze bardziej zgodna. Jak woda odbijała jego nastroje, promienne i ponure, uniesienia czy załamania. W tej chwili był radosny i ożywiony, i nawet jeśli w wesołości Hugo było coś gorączkowego, wcześniej odczuwała to już zbyt wiele razy, by się niepokoić. Kiedy jechali do Brighton, przytuleni do siebie w kącie przedziału w wagonie kolejowym, Daisy wiedziała, że jest najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem.

W Brighton spędzili kilka dni, po czym przenieśli się do Southbourne. To Daisy wymyśliła, by tam pojechać – miała w pamięci żywe wspomnienie pocztówki z Southbourne, którą przed, lata dostała od ciotki. Był to pierwszy tydzień października, z łatwością znaleźli więc zakwaterowanie. Słońce, jakby chcąc wynagrodzić ponure lato, świeciło całymi dniami. W upojeniu cichego, spokojnego szczęścia Daisy siedziała z Hugo na esplanadzie, spoglądając na wspaniałe półksiężyc zatoki, złoty piasek, molo długie, jakby prowadziło aż po horyzont. Wyobrażała sobie swoje dziecko bawiące się w przyszłości z innymi dziećmi nad brzegiem morza. Będą tu jeszcze przyjeżdżać, będą przyjeżdżać co roku, gdy Hugo dostanie doroczny urlop. Zegar na wieży ratusza spokojnie odmierzał im godziny. Świeżość morza i jesiennego powietrza mieszała się z zapachem rozgrzanego słońcem asfaltu. Byli tu tak oddaleni od brudnej nędzy szemranych londyńskich uliczek, że Daisy czuła się, jakby przeniosła się z jednego snu w drugi.

Czasami wieczorem spacerowali aż do portu, skąd wąski kanał płynął pod dwoma mostami daleko do miasteczka, po czym przechodził w lagunę. Rdzewiejące kadłuby łodzi sennie wylegiwały się w błocie. Były wśród nich jachty i rzeczne parowce pozostawione tu na zimę, a na samej lagunie kołysało się na cumach kilka małych łódek. Portowe uliczki pełne były przytulnych niedużych pubów, popularnych wśród dokerów, członków załóg holowników ratunkowych, marynarzy na przepustce z portu morskiego, który znajdował się na dalekim końcu cypla, marynarzy z parowców pływających po kanale La Manche.

– To takie romantyczne – westchnęła Daisy, opierając się na ramieniu Hugo, gdy przyglądali się oddalającym się światłom nocnego parowca. – Chciałabym, żeby Thomas był marynarzem.

- A jeśli to będzie dziewczynka? – Hugo drażnił się z nią. – Nie zyczę sobie stewardesy w rodzinie.
- Przecież mogłaby latać samolotami. Po całym świecie. To musi być wspaniałe zajęcie.
- A dlaczego nie ożenić jej z milionerem? Mogłaby mieć własny samolot!
- Głuptasek! Żeby tylko trafił jej się ktoś taki jak ty – o więcej nie proszę.

Weszli do jednego z niewielkich pubów przy nabrzeżu i Hugo zamówił dwa piwa. Ławy o wysokich oparciach dzieliły wnętrze na boksy, jak w staroświeckich restauracjach. Drewno i mosiądz lśniły jak na statku. Było już dosyć tłoczno, lecz byli to w większości stali goście. Grali w domino, rozmawiali cicho i z przerwami. Zza ławy, na której usiedli z Hugo, Daisy słyszała toczącą się rozmowę.

- Nie wciskaj mi kitów o księżniczce. Wiesz, co o tym myślę? No to ci powiem. Ona jest szpiegiem.

- Taki z niej szpieg, jak z ciebie Marilyn Monroe.
- No to po co przyjechała kisić się w tej dziurze? A jeśli jest uczciwą obywatelką Southbourne, to po co włóczy się po barach w tej części miasta?
- No dobrze, powiedz nam.
- Właśnie wam mówię. Bo blisko stąd do portu wojskowego, a chłopaki z Marynarki, gdy siedzą w barze, gadają o różnych rzeczach. Księżniczka jest z Rumunii, sami wiecie, a Rumunia jest przecież czerwona. Kłopot z wami, chłopaki, jest taki, że nie rozpoznalibyście sierpa i młota, nawet jakby przyszedł tu sam stary Malenkov\* i zamachał wam przed nosem.

\* Geоргий M. Malenkov – (1902-88) działacz komunistyczny i państwowy ZSRR, przez pewien czas uznawany za następcę Stalina.

– Czekaj, czekaj. Szpiegdy starają się raczej nie rzucać w oczy. Nie chcą zwracać na siebie uwagi. A ta księżniczka – pytam się! Te jej kapelusze, łamana angielszczyzna czy...

– To blef. Skąd więc bierze pieniądze? No, powiedz mi. Wiesz, ile wynosi czynsz w tych domach przy Queen's Parade? Ja wiem. Tej kobiecie udało się w ostatniej chwili uciec przed rewolucją. Uciekiniarka. A czerwoni odbierają im rodzinne dobra. Powinna być bez grosza jak inni wysiedleńcy.

– Ja wiem – dołączył się trzeci głos, wyraźnie podpity i apodyktyczny. – Zabrała ze sobą rodzinne klejnoty. Warte bająnskie sumy. Rodzina Popescu należała do najbogatszych...

– A *widziałeś* te klejnoty? – wtrącił sceptycznie pierwszy głos.

– Nie, ale Alice, moja siostrzenica, widziała. Pracowała dla księżniczki. Staruszka polubiła Alice i któregoś dnia pokazała jej swoją biżuterię. To było sporo czasu temu, pamiętajcie. Musiała się już pewnie części pozbyć. Ale powiedziała Alice, że te, które sprzedawała, wystarczyły jej na długo.

Daisy popatrzyła przelotnie na Hugo. Siedział dość sztywno, wpatrując się w kufel. Wyciągnęła dłoń, jakby powstrzymującym ruchem. Gdy Hugo poczuł jej rękę na nadgarstku, powiedział:

– Chcesz już wyjść, kochanie? – spytał.

Potrząsnęła głową. Hugo popatrzył na nią uważnie i wyszeptał:

– Nie martw się. To już skończone...

Następnego wieczora Daisy nie czuła się najlepiej. Postanowiła położyć się wcześniej do łóżka, a Hugo sam poszedł się czegoś napić. Wrócił jakąś godzinę później, niezwykle podekscytowany. Powiedział, że w barze w hotelu „Queen's” spotkał dawnego znajomego, trenera. Jego koń, outsider, który po prostu nie mógł przegrać, miał biec następnego dnia w miejscowych wyścigach. To był pewniak.

– I wyobraź sobie, nazywa się Jesienna Stokrotka\*! Znak z nieba! Może zaszalejemy?

\* Daisy (ang.) – stokrotka.

– Och, kochanie, wiesz, że nie mamy dużo pieniędzy.

– Ale jaka szansa wygranej, kochanie! Dwadzieścia do jednego. Pomyśl tylko. Zgódź się, proszę.

Nigdy nie potrafiła mu odmówić, gdy był w tym swoim chłopięco rozrzutnym nastroju. W takich chwilach i jej udzielał się jego brak odpowiedzialności. Było jej trochę przykro, gdy rano okazało się, iż nie zamierza zabrać jej ze

sobą. Szybko jednak dała się pocieszyć, kiedy wyjaśnił: – Nie, kochanie. Na tych lokalnych wyścigach jest straszny tłum – za dużo szarpaniny i przepychanek. A to mogłoby zaszkodzić małemu Thomasowi.

Spędziła całe popołudnie nad brzegiem morza, robiąc na drutach ubranka dla dziecka, opalając się i rozkoszując myślą o tym, że Hugo dobrze się bawi – od czasu do czasu przyda mu się trochę swobody.

Tym bardziej więc zaskoczył ją widok jego twarzy, spiętej i udręczonej, gdy wieczorem wrócił do domu.



- Co się stało, kochanie?
- Ten cholerny koń nawalił – wyrzucił z siebie – przegrał o długość łba. Mam ochotę się zabić.
- Nie martw się, skarbie. To tylko koń.
- Koń? Przeklęty kaleka. Miał zwycięstwo w kieszeni, a...
- Ile na niego postawiłeś?

Wyraz twarzy Hugo zmienił się. Zamiast wściekłości malowało się na niej dziecinne, buntownicze poczucie winy. Odwróciwszy wzrok, wymamrotał ponuro:

- Pięćdziesiąt funciaków.
- Ale skąd wzięłeś pięćdziesiąt...
- Zgodziłaś się, żebyśmy zaszaleli, postawili wszystko, co mamy.
- Och, Hugo! Nie wzięłaś chyba tych pieniędzy, które trzymałam dla dziecka?
- Tak, wzięłam te pieniądze, które trzymaliśmy dla dziecka! – krzyknął ze złością. – Skąd miałbym wziąć pięćdziesiąt funtów?

Daisy wiedziała, że to rozpacz w jej głosie spowodowała tę okrutną reakcję. Przypomniały jej się słowa wypowiedziane kiedyś przez Jacko: „Musisz być z nim na dobre i na złe”. Nadludzkim wysiłkiem starała się ukryć swój żal, urazę i obawy.

- To nic, kochanie. Damy sobie radę.
- Wybaczysz mi?

Daisy stłumiła złość, którą wywołała drwina kryjąca się w jego słowach. Odpowiedziała spokojnie: – Nie ma tu nic do wybaczenia, kochanie. To były twoje pieniądze.

W tej samej chwili, jednym, szybkim ruchem znalazł się tuż przy niej. –

Och, Daisy, Daisy, przepraszam, przepraszam! Jestem beznadziejny. Nawet własną żonę i dziecko musiałem okraść!

Serce jej się rozradowało, gdy usłyszała, iż nazwał ją „żoną”. Zaczęła go uspokajać. Nie cierpiała tego uzalania się nad sobą, nie znosiła czy też bała się wszystkiego, co robił, by upokorzyć samego siebie. Hugo mówił dalej łamiącym się głosem:

- Zrobiłem to dla małego Thomasa, dla was obojga. Zapewniłoby mu to dobry start. I miałem pewność – absolutną pewność. Wygralibyśmy tysiąc funtów, mielibyśmy pieniądze na czas szukania dobrej pracy. A ty mogłabyś wynająć opiekunkę do dziecka. A teraz wszystko zepsułem!
- Kochanie, proszę, nie mów tak. Możemy...
- Wynagrodzę ci to, przyrzekam. Jakoś odzyskam te pieniądze.
- Tak, kochany, oczywiście. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Następnego ranka Hugo wyszedł wcześniej. Kiedy wrócił, powiedział, że znalazł tańsze mieszkanie nieopodal. Zależało mu na tym, by Daisy nie straciła ostatnich dni wakacji. Gdy płacił gospodyni, Daisy usłyszała, jak tłumaczy, że wezwano ich do Londynu.

– No cóż, nie mogłem przecież powiedzieć jej, że przeprowadzamy się do innego miejsca w Southbourne. Mogłoby ją to urazić – wyjaśnił jej później, gdy zwróciła mu uwagę.

Nowe lokum znajdowało się pięć minut drogi dalej. Gdy przybyli na miejsce, Hugo zameldował ich jako państwo Bland. Często używał w tym celu panińskiego nazwiska Daisy, więc nie zastanawiała się nad tym specjalnie.

Wydarzenia poprzedniego wieczoru zmęczyły ją bardziej, niż to sobie uświadamiała. Zgodziła się więc z ochotą, gdy Hugo zaproponował, by po lunchu położyła się i odpoczęła. On zaś wyszedł i wrócił

dopiero późno po południu. Zjedli razem podwieczorek. Potem Hugo spytał Daisy, czy czuje się na tyle dobrze, by pójść z nim na mały spacer. Przebrał się w swój ciemnozielony, tweedowy garnitur i założył kaszkiet, który Daisy kupiła mu w Brighton. Gdy wychodzili z domu, wziął pod pachę opakowaną w szary papier paczkę. Był dla niej bardzo miły, ale trochę przygaszony i zamknięty w sobie – Daisy uznała, że to ze wstydu po stracie tych pięćdziesięciu funtów. Ona sama była jeszcze zbyt odrętwiała po tym dotkliwym ciosie, by zareagować z właściwą sobie wrażliwością.

Usiedli na ławce na esplanadzie. Hugo przytulił się do niej, choć zdawało się, że myślami jest gdzie indziej. Po chwili, jakby z wielkim fizycznym wysiłkiem, odsunął się od niej.

– Zaczekaj tu na mnie – rzucił niespodziewanie. – Niedługo będę z powrotem.

Pomachał jej ręką, bez uśmiechu, i odszedł w ciemności, idąc tym swoim elastycznym, pewnym siebie krokiem, który sprawiał, że nawet w tłumie wydawał się sam.

– Hugo, wracaj! – Daisy wydawało się, że krzyknęła, ale tak naprawdę wyszeptała te słowa i Hugo nawet się nie obejrzał.

Przyzwyczaiła się już do tych jego odejść i powrotów, nagłych i niewyjaśnionych, ale tego wieczora czuła, że to coś innego. Oczy rozblęły jej na widok paczki w pakowym papierze. Czyżby Hugo zostawił ją przez przypadek? Chciała za nim pobiec, ale zniknął już w ciemnościach, a nie wiedziała, dokąd poszedł. Zegar na ratuszowej wieży wybił kwadrans. Piętnaście po siódmej. Daisy otworzyła paczkę. W środku był sznur, sporej długości, z hakiem na końcu. Przyglądała mu się w osłupieniu. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy – aż uśmiechnęła się do siebie, tak wydawało się to absurdalne – to, że Hugo postanowił się powiesić i zapomniał sznura. Ale mógł go użyć również do włamania. Ostrożnie zawinęła paczkę z powrotem, po czym odsunęła ją od siebie, jakby chciała ukryć przed samą sobą zagadkę, jaka się w niej kryła.

Przyływ podkradał się z pluskiem na kamienistą plażę, a potem rozlegał się chrapliwy, oskrzelowy dźwięk, grzechot przypominający odgłos płuc rannego człowieka z trudem łapiącego powietrze, kiedy to fala cofała się, wlokąc za sobą kamyki. Od czasu do czasu mijali ją przechodnie, lecz Daisy, opanowana złym przecuciem, ich nie zauważała. W jej głowie zaczynał się rodzić absurdalny pomysł – że Hugo odszedł na zawsze, opuścił ją i zostawił jej sznur, by się powiesiła. Wstała, podeszła do krawędzi esplanady i oparła się o żelazną barierkę. Stała tam nadal, patrząc na morze, gdy pół godziny później po tym, jak odszedł, Hugo powrócił.

Daisy zarzuciła mu ramiona na szyję i łkając, powiedziała:

– Myślałam, że już nigdy nie wrócisz.

Pocieszył ją, ale w tak nieobecny sposób, tak inaczej niż zwykle, tak mechanicznie, że odsunęła się i popatrzyła mu prosto w twarz. Ujrzała nieruchome, dzikie spojrzenie, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

– Co się stało, kochanie? O co chodzi?

– Nic. Wracajmy.

– Dobrze... A co z tą paczką? Zostawiłeś ją.

– Teraz możesz ją nawet wyrzucić.

Cisnęła paczkę na plażę pod esplanadą i wzięła go pod ramię. Czuła się, jakby szła z robotem.

– Gdzie twoja czapka, kochanie? Zgubiłeś ją?

– Wiatr mi zwał – odparł, wciąż tym samym głuchym głosem. Przerażona tym nieznanym Hugo, który do niej powrócił, Daisy nie powiedziała nic więcej, choć przykro jej było, że nie wyraził żalu po stracie prezentu od niej.

Gdy dotarli do domu, Hugo usiadł na chwilę. Wciąż był jakby z kamienia, oprócz palców, którymi nieustannie stukał w blat stołu. Nagle zerwał się, powiedział, że musi iść się przejść, i wyszedł, nim Daisy zdążyła zaprotestować. Zawołała, by na nią poczekał, założyła płaszcz i zbiegła za nim po schodach. Daisy знаła już te nastroje, gdy zastygał w ponurym milczeniu, będąc jednocześnie poirytowanym i niespokojnym. Z doświadczenia wiedziała, że słowami ich nie rozwieje. Trzeba było odwrócić jego uwagę, tak jak odwraca się uwagę rozżalonego dziecka, pokazując mu coś nowego. zaproponowała, by poszli do kina, a Hugo przystał na to bez entuzjazmu.

Rano, kolejnego dnia, gdy gospodyni przysłała ze śniadaniem, z podniecenia aż brakowało jej tchu:

– Straszne rzeczy stały się w nocy! Mówią o tym w całym Southbourne. Zabójstwo. Zastrzelono inspektora policji. Włamywacz chciał wejść do domu na Queen's Parade. To taka przyzwoita dzielnica. Ale w dzisiejszych czasach nigdzie nie można czuć się bezpiecznym, ciągle to powtarzam. Biedny człowiek miał żonę i dzieciaki...

## CZEŚĆ DRUGA

### 11.

#### *Nazajutrz rankiem*

**H**ugo i Daisy leżeli w łóżku, czytając lokalną gazetę, którą gospodyni położyła na tacy ze śniadaniem. „Echo Southbourne”, jak wielu spośród jego czytelników, starszych mieszkańców miasta, zdawało się reliktem lepszych czasów. Miało staroświecki układ graficzny, język był bardzo formalny. Jeżeli jakakolwiek gazeta była w stanie sprawić, że wydarzenia ostatniej nocy nie zabrzmiały sensacyjnie, to było to właśnie „Echo Southbourne”:

*Inspektor policji Herbert Stone z Southbourne, znany powszechnie jako Inspektor z Queen's Parade, został postrzelony wczoraj wieczorem przez nieznanego mężczyznę, domniemanego włamywacza. Zmarł po kilku minutach. Zabójca uciekł, a prowadzone przez policję poszukiwania nie dały rezultatów. Do wypadku doszło w pobliżu rezydencji księżniczki Popescu, przy Queen's Parade. Ulica ta prowadzi znad morza do centrum handlowego, mija od wschodu hotel „Queen's”. Dotychczas niewiele wiadomo na temat okoliczności przestępstwa. Ustalono jedynie, iż około 7.25 wieczorem na tarasie nad frontowymi drzwiami domu widziano jakiegoś mężczyznę.*

*Po otrzymaniu telefonu od towarzyszkii księżniczki Popescu, pani Felstead, inspektor Stone udał się na Queen's Parade. Po wejściu do ogrodu od frontu domu inspektor został postrzelony i poważnie raniony. Wyszedł na ulicę, gdzie został powtórnie postrzelony. Jedna z kul przebiła klatkę piersiową, zadając śmiertelną ranę, druga zraniła go w nogę. Kilka osób słyszało strzały, po czym natychmiast podniesiono alarm. Następnie widziano mężczyznę biegnącego drogą ku morzu. W ogrodzie sąsiedniego domu znaleziono kaszkiet.*

*Księżniczka Popescu, osoba dobrze znana mieszkańcom miasta, powiązana z byłą rumuńską rodziną królewską, powiedziała naszemu reporterowi, że nieznanemu napastnikowi nie udało się włamać do jej domu, ale że trudno wątpić, iż jego zamiarem było dokonanie kradzieży.*

*Zapalony gracz w kule, inspektor Stone, wstąpił do policji hrabstwa Wessex 24 lata temu. W 1940 roku został przeniesiony do policji w Southbourne. Był popularną postacią miasta. Pozostawił po sobie wdowę i troje dzieci.*

– No, to już koniec – powiedział Hugo. – Musimy szybko się stąd zabierać.

Daisy siedziała sztywno. Herbata jej stygła. Zdawało jej się, że nie może oddychać, czuła się, jakby przygniatał ją straszny ciężar. Chciała i jednocześnie obawiała się zadać mu tyle pytań – każde zabrzmiałoby jak oskarżenie. Dlaczego zostawiłeś mnie samą wczoraj wieczorem? Po co ci był ten sznur? Gdzie zgubiłeś czapkę? Dlaczego tak dziwnie się zachowywałeś, gdy wróciłeś? Pytania te huczały jej w głowie. Mimo niepokoju i oszołomienia, czuła wielką, pełną współczucia miłość do Hugo, namiętne pragnienie, by mu pomóc. Nie było jednak sposobu, by mu pomóc – jedyne, co mogła zrobić, to milczeć i nie zadawać tych wszystkich pytań-oskarżeń.

Wstał z łóżka i zaczął otwierać kuferek, który zawsze trzymał zamknięty na kłódkę. Z przerażeniem w oczach Daisy patrzyła, jak wyjął z niego rewolwer i zabrał się do czyszczenia.

– Ubieraj się szybko – rzekł, nawet na nią nie patrząc.

Automatycznie się podniosła, ale zaraz usiadła ciężko na brzegu łóżka, płacząc.

– Co się dzieje, kochanie? Zobacz, herbata ci stygnie. Bądź grzeczną dziewczynką i wypij ją.

– Ten pistolet! – Załkała. – Nie mogę tego znieść!

– Musimy się go pozbyć. Będą przeczesywać miasto. Jeśli tylko znajdą kogoś notowanego przez policję, już po nim. Dobrze ich znam. Ile masz pieniędzy?

Daisy zaczęła na oślep grzebać w torebce. Znalazła dwa banknoty jednofuntowe i trochę drobniaków.

– Potrzeba nam o wiele więcej. Mój brat będzie musiał wyłożyć forszę. Po drodze na plażę zamówimy międzymiastową, a potem zakopimy rewolwer. – Mówiąc to, Hugo zawiązał rewolwer w chusteczkę, którą wcześniej go wycierał, po czym wepchnął go do kieszeni spodni. – Dobrze będzie skontaktować się też z Jacko, skoro już będziemy dzwonić. Będzie musiał się tobą zająć przez jakiś czas, dopóki nie ucichnie to całe zamieszanie.

– Nie, Hugo! Proszę! Nie chcę cię zostawiać! – krzyknęła.

– Nie na długo, kochanie. Mogą zdarzyć się jakieś nieprzyjemności, a ja nie chcę cię w to mieszać. Muszę teraz zniknąć na jakiś czas, dopóki nie znajdą tego, kto to zrobił – a to oznacza, że muszę być sam.

Hugo mówił z ożywieniem, łagodnie, wręcz zatroskanym głosem, jakby konieczność działania rozwiała koszmarną stagnację wieczornego nastroju. Ale dla Daisy ten rzeczowy ton tylko pogarszał sprawę. Czuła się, jakby zamknięto ją w małym pudełku, jakby straciła wzrok, dusiła się, nie mogąc wyjść – oddzielona od Hugo i pozbawiona wszelkiej nadziei.

Nagle zauważyła, że jest ubrana, choć nie, była w stanie przypomnieć sobie ani jednego własnego ruchu. Hugo mówił teraz:

– Tak, Jacko to dobry pomysł. Jeśli będzie mógł przyjechać. Jesteś w końcu jego pacjentką. Pacjentka źle się poczuła. Posyłają po doktora, dobrego przyjaciela rodziny. Bada pacjentkę. Potrzebny drobny zabieg. Doskonałe wyjaśnienie nagłego wyjazdu do Londynu. Gospodyni nie będzie mieć żadnych podejrzeń.

– *Hugo!* – prawie krzyczała. Daisy, na wpeł oszalała, nie była w stanie znieść więcej. Opanowała się i głosem ochryplym z nerwowego wyczerpania, mówiła dalej: – Hugo. *Proszę!* Co mam mówić, jeśli ktoś zapyta mnie o wczorajszy wieczór? Policja. Czy ktokolwiek inny. Powiedz mi tylko, co mam mówić.

– Przepraszam, kochanie. Jestem trochę zdenerwowany. – Podszedł do niej, położył jej dłonie na

ramionach, spojrział prosto w oczy. – Pamiętasz tego

Żydka, który pomachał mi na bulwarze, kilka dni po naszym przyjeździe? Był z jeszcze jednym Żydkiem i z kobietą. Nazywa się Joe. Jest z branży. Natknąłem się później na niego w barze hotelu „Queen's”. To on mi powiedział o tym cholernym koniu.

– Och, Hugo. Przecież powiedziałeś mi, że to był trener.

– On *zna* trenera – rzucił Hugo zniecierpliwiony. W każdym razie powiedział mi, że ma robotę, i spytał, czy chcę w to wejść. Powiedziałem, że skończyłem z całym tym cyrkiem. A potem straciłem te pięćdziesiąt funtów. Bardzo chciałem je dla ciebie odzyskać. Spotkałem się jeszcze raz z Joe. Dał mi tę paczkę ze sznurem i wyznaczył spotkanie w „Queen's” piętnaście po siódmej – wczoraj wieczorem. Potem mieliśmy zrobić ten skok. Jednocześnie chciałem tego i nie chciałem. Rozumiesz, martwiłem się. Chyba dlatego zostawiłem ten sznur... Nie mogłem się na to zdobyć. Ale zdawało mi się, że w tym jedyna nadzieja – polazłem więc tam, jak pamiętasz. Spóźniłem się do „Queen's” tylko kilka minut, ale Joe'ego tam nie było. Czekałem prawie pół godziny, ale się nie pojawił. Pewnie wystawił mnie do wiatru i próbował zrobić skok samemu. Swoją drogą ten sznur to był głupi pomysł. Takie sznury z hakiem przydają się tylko w przypadku domów z werandami, a domy przy Queen's Parade ich nie mają. Teraz wiesz już wszystko, moja najdroższa.

– A więc masz alibi – Daisy poczuła ulgę i teraz uśmiechała się olśniewająco. Uwierzyła we wszystko, co mówił, bo chciała mu wierzyć, a poza tym brzmiało to sensownie – to było takie do niego podobne. Nic dziwnego, że wczoraj wieczorem był w takim stanie – kompletnie przybity po tym, jak przygotował się psychicznie na trudną sytuację, do której w końcu nie doszło, i zrozpaczony, że ciągle nie ma pieniędzy potrzebnych dla dziecka.

– Alibi? – spytał.

– Tak. Na pewno ktoś widział cię w hotelu „Queen's”, prawda?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Oczywiście, skoro miałem niespecjalnie czyste zamiary i byłem niedaleko, wolałem raczej nie rzucać się w oczy. Siedziałem w holu, tak jak umówiłem się z Joe, schowany za gazetą.

– Czy Joe nie mógłby...?

– Zznać, że umówiliśmy się na to włamanie, ale mnie wystawił? Rusz głową, dziewczyno. Joe to nie instytucja charytatywna. Kto wie, czy to nie on rąbnął tego gliniarza, skoro już o tym mowa? Nie, Joe teraz pewnie zniknie. Ja też powinienem. Zabieramy się do roboty.

Udali się najpierw na pocztę główną, gdzie Hugo zamknął się w kabinie telefonicznej. Daisy siedziała na ławce i czekała, z niepokojem spoglądając na drzwi za każdym razem, gdy ktoś wchodził. Myślała o tym, co Hugo właśnie jej powiedział – miało to sens, ale czegoś brakowało. Ze znużeniem zastanawiała się nad tym, co to mogło być. W kabinie widziała Hugo poruszającego ustami. Połączył się. Z bratem? Z Jacko? Widziała, jak znajomym gestem przeczesał dłonią włosy. O Boże, kaszkiet! W gazecie napisali, że niedaleko miejsca zbrodni znaleziono kaszkiet. Spokojnie, powiedziała zaraz do samej siebie, czyż w samym Southbourne nie ma mnóstwa mężczyzn w kaszkietach?

Gdy wyszli z poczty i szli w kierunku morza, Hugo powiedział:

– Wszystko w porządku. Mark przyjedzie dzisiaj wczesnym popołudniem. I zadzwoni do Jacko.

– Co mu powiedziałeś?

– Że jestem bez grosza. I mam kłopoty. SOS. Stary Mark nie jest taki zły. Pomoże.

Weszli na esplanadę, niedaleko letniej sali koncertowej. Słońce wciąż świeciło. Całkiem sporo ludzi

przechadzało się bulwarem albo siedziało na ławkach, czytając gazety.

– Jak na Piccadilly – wymamrotał Hugo.

Pomógł Daisy zejść po stromych schodkach prowadzących na plażę. Usiedli, opierając się plecami o ściankę esplanady. Wziął ją za rękę i posłał jedno z tych swoich przelotnych, łobuzerskich spojrzeń.

– Masz ochotę na miłość, kochana?

– Ostatnimi czasy niewiele masz ze mnie pożytku – odparła nieobecny tonem.

Zaszeptał jej do ucha:

– Połóż się. Obejmij mnie lewym ramieniem. Prawą ręką wykop w kamykach głęboką dziurę. Ludzie zauważą tylko parę kochanków, a jak zobaczą, że się ściskamy, zaraz odwrócą wzrok.

Dziewczyna z drzeniem jęknęła. Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego cierpienia – wszystko było nie tak, nie tak. Hugo pochylił się nad nią, opierając się na łokciach, tak by ciałem zasłonić jej prawą dłoń.

– Dalej, kochanie. Kop. Ładny, głęboki dołek.

Po omacku rozgrzebywała kamyki, w amoku zażenowania i strachu, łamiąc paznokcie, by jak najszybciej skończyła się ta parodia ich słodkiej miłości, podczas gdy usta Hugo błędziły po jej twarzy, a prawa dłoń bawiła się opadającymi na ramiona włosami.

– To okropne – jęknęła. – Już nie mogę.

– Nie bądź taka miękka – szepnął z ustami przy jej ustach. – Wszystko w dobrej sprawie, kochanie.

Wreszcie stało się: rewolwer został schowany w dołku i przysypany piaskiem. Zdawało się, że Hugo chętnie by tam jeszcze został, ale Daisy podniosła się niezgrabnie i potykając się, ruszyła wzdłuż plaży, jakby uciekając z miejsca zbrodni. Gdy Hugo ją dogonił, był przez chwilę mocno zdenerwowany:

– Chcesz zwrócić na nas uwagę? Każdy, kto na nas patrzył, mógł pomyśleć, że chciałem cię zgwałcić, a ty uciekłaś. Prosisz się o kłopoty.

Oczy Daisy napelniły się łzami.

– Mówisz o tym z taką zimną krwią.

– *Ktoś* musi zachować zimną krew. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z moich kłopotów.

– Przecież jesteś niewinny!

– Powiedz to naszej kochanej policji. Są żądni krwi i niespecjalnie będą się przejmować tym, czyja to krew...

**Mark** Amberley i Jacko przybyli niedługo po obiedzie. Przyjechali do Southbourne razem. Daisy nie widziała się z Markiem od czasu pamiętnych wydarzeń w jego domu, od których upłynął już rok, i czuła pewne zażenowanie natury towarzyskiej, choć wiedziała, że w obliczu obecnych okoliczności było ono absurdalne. Mark nie uczynił jednak nic, by ułatwić jej sytuację. Najwyraźniej sam czuł się skrępowany, to siedział, to znów wstawał, przez co mały ponury salonik przypominał dworcową poczekalnię. Po przyjeździe najpierw nerwowo przywitał się z bratem, po czym, wyciągając dłoń, zwrócił się ku Daisy. Krótkowzroczne oczy, dostrzegłszy jej stan, odwróciły się. Zdała sobie sprawę, że Hugo nie powiedział mu ani słowa o mającym się narodzić dziecku. Tymczasem Jacko rozglądał się z zaciekawieniem po pokoju i gawędził przyjaźnie, jakby zaproszono go na parapetówkę. Przez kilka minut, kiedy to Daisy myślała już, że zacznie krzyczeć, gawędzili o pogodzie, punktualności pociągów, wszelkich błahostkach. Wreszcie Hugo przerwał to nienaturalne skrępowanie.

– Mark, stary, przestań się kręcić. Wyglądasz jak mucha na szybie.

Uśmiechając się niepewnie, Mark usiadł. Jacko dalej stał, opierając się łokciem o gzyms kominka, przyglądając się okropnym ozdobom, podczas gdy pozostała trójka siedziała przy nakrytym czerwonym

suknem stole ze zmarniałą paprotką pośrodku. Mark podjął heroiczny wysiłek:

- Hugo, co się dzieje? Przez telefon byłeś dość tajemniczy.
- Przywiozłeś pieniądze?
- Tak, ale...
- Dobry człowieku, czytałeś dzisiejszą gazetę?
- Masz na myśli tego zastrzelonego...
- Taaa. To łajdak. Na dworcu w Southbourne pewnie aż się roiło dziś od psów?
- Psów?
- Glin. Gliniarzy. Policjantów.
- No tak. Zdaje mi się, że widziałem przynajmniej jednego przy każdej barierce.
- Słuchaj, stary. Z twoją nieskazitelną przeszłością nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale w tej chwili

każdy tutaj, kto siedział w więzieniu...

Jacko syknął teatralnie, po czym podszedł do drzwi z przesadną ostrożnością i otworzył je na oścież. Nikogo tam nie było.

- Przestań się zgrywać, Jacko.
- Z tymi gospodyniami nigdy nic nie wiadomo – Jacko rozciągnął usta w swym psim uśmiechu i usiadł przy Daisy. – Mów dalej, mój drogi Hugo.

Hugo zaczął wyjaśniać, na czym polega jego trudne położenie. Mówił rzeczowo, raczej jak oficer sztabowy niż petent czy potencjalny podejrzany. Musi wydostać się z miasta i zniknąć na jakiś czas. Oznaczało to, między innymi, czasowe rozdzielenie z Daisy. I ktoś musi się nią zaopiekować. Mark Amberley, przygnieciony powagą sytuacji, rumienił się i wiercił bardziej niż zwykle, w końcu wyjąkał:

– Cze-czekaj, chchwilę, Hu-Hugo. To wszystko nie jest chyba takie konieczne. Masz przecież alibi, prawda? – Słowo „alibi” wymówił, jakby to

był jakiś nowy i cokolwiek podejrzany termin stosowany przez konkurencyjną szkołę krytyki literackiej.

– Och, na miłość boską, Mark! Gdybyś na chwilę wyjrzał spoza tych kłapek, które masz na oczach, przestałbyś marudzić o alibi.

- Hugo, proszę! – zaprotestowała Daisy.
- Nie mam żadnego słodkiego alibi. Po prostu byłem gdzie indziej. Ale wątpię, czy uda mi się to udowodnić. W każdym razie, jak jakiś gliniarz nadzieje się na kulkę, jego kumple gdzieś mają alibi. Wystarczy, że raz dosięgnie cię ostrze Prawa...

– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to dziwiło – powiedział Mark głosem nagle wysokim i drżącym z oburzenia.

- Nie możesz powiedzieć, żeby co cię dziwiło?
- Dlaczego mieliby traktować morderców jak uczciwych ludzi? To straszne, zastrzelić tego inspektora. I ten, kto to zrobił, zasłużył na to, co dostanie. Mówisz, jakby przestępcy mieli być chronieni przed policją. Nie mogę się z tym zgodzić.
- Uważaj, Mark – Hugo wymówił te słowa z wyraźnie niebezpiecznym spokojem w głosie.

Daisy słyszała ten ton już wcześniej i przeraziło ją to – więc niewiele myśląc, po prostu po to, by przerwać jakoś tę wymianę zdań, powiedziała:

- Biedny człowiek miał rodzinę. Strasznie mi ich żal.
- Przymknij się, Daisy, i daj mojemu bratu skończyć kazanie!
- Bo tak właśnie jest. Ale to do Hugo nie dociera. *Jak jakiś gliniarz nadzieje się na kulkę!* Co za bezmyślność! I pewnie sam był sobie winien! Powinien się odwrócić albo po prostu być gdzie indziej, a

nie przeszkadzać biednym włamywaczom, którzy, nikomu nie szkodząc, próbują zarobić na chleb. Niedobrze mi się robi od tego rozczulania się nad sobą zwykłego kryminalisty!

Hugo słuchał z zaciśniętymi ustami, a jego smagła twarz pociemniała. Daisy spojrzała błagalnie na Jacko, on jednak siedział wyprostowany, zaabsorbowany sprzeczką, z promiennym, wyczekującym, na pół rozbawionym wyrazem twarzy. Po raz kolejny przywiódł Daisy na myśl kibica przy ringu. Jacko od razu zauważył jej proszący wzrok – jego twarz zmieniła się. Mrugnął do niej uspokajająco. A gdy Hugo, doprowadzony sarkazmem brata do ostateczności, skoczył na równe nogi, najwyraźniej z zamiarem rzucenia się na niego, Jacko

odezwał się lekkim tonem:

- No dobrze, dobrze! Nie ma co się denerwować!
- To może wyjdziemy, Mark, i powtórzysz te swoje świętoszkowate bzdury...
- A może innym razem – powiedział Jacko tym swoim gardłowym, przymilnym głosem, który nabrał ostrości, gdy dodał: – Przede wszystkim to niedobrze dla mojej pacjentki uczestniczyć w rodzinnych kłótniach. Może pomyślimy teraz o niej przez chwilę?

- OK. To sobie pomyśl – rzucił Hugo nieuprzejmie.
- Czy zgodzisz się, by została ze mną, dopóki sprawy się nie wyprostują?
- Prawdę mówiąc, miałem zamiar to zaproponować.
- Och, Jacko, to bardzo miłe, ale...
- Nie ma problemu, Daisy. Moja gospodyni mieszka ze mną, przecież wiesz. Będzie twoją przyzwoitką.

- Mój Boże, jacy robimy się porządni! – Hugo był rozbawiony, ale i nieco zdegustowany. Mark naprawdę załaził mu za skórę.

- Też mógłbym powiedzieć, że wezmę twoją... że wezmę Daisy do siebie – rzekł Mark – ale nie wiem, czy Gertrude...

- Bardzo miły jesteś, nie wątpimy w to – stwierdził Hugo szorstko. – I dobrze wiemy, że to twój ogromny problem.

- No cóż, to sprawa Daisy załatwiona. – Jacko rozejrzał się wokół jak przewodniczący zebrania. – Teraz Hugo. Jesteś zdecydowany, by zniknąć jednak na jakiś czas?

- Oczywiście. Dlaczego nie?

Jacko zwilżył usta.

- Bo taka ucieczka *mogłaby*, w pewnych okolicznościach, być zrozumiana jak przyznanie się do winy – powiedział to z lekko wznoszącą się intonacją, przez co zabrzmiało to jak taktowna sugestia czy wręcz pytanie.

- Muszę podjąć to ryzyko. Nie chcecie chyba, żebym się tu pałętał, czekając, aż mnie złapią, żeby udowodnić, że jestem niewinny?

Jacko zaśmiał się życzliwie.

- Nie, ale mógłbyś razem z Daisy wrócić spokojnie do Londynu, do normalnego życia. Jakby nic się nie stało.

- Nic się nie stało! – wykrzyknął Mark zdumionym, płaczliwym tonem. – Mówimy, jakby... – Przełknął ślinę i mówił dalej: – Nigdy nie byłem w takiej sytuacji... To jakiś koszmar. Bez sensu. Oczywiście chcę jakoś pomóc. Przywiozłem ci dwadzieścia funtów, Hugo – i mam nadzieję, że uda mi się załatwić trochę więcej. Ale... – tu zawahał się i zamilkł.

- O co chodzi, stary? Jestem wdzięczny za forszę. Zapomnij o tym, co powiedziałem. Wiesz, że



zawsze miałem okropny charakter.

– Nie o to chodzi – z widocznym wysiłkiem Mark zmusił się, by spojrzeć bratu prosto w oczy. – Chcę tylko wiedzieć... Hugo, *nie zrobiłeś* tego, prawda? Przysięgasz?

– Jeśli mi nie wierzysz, nie ma sensu przysięgać.

– Ten twój rewolwer, Hugo. Wybacz, ale po prostu nie mogę zapomnieć...

Hugo z uśmiechem uniósł ręce, jak człowiek, który ma być przeszukany.

– Spokojnie, chłopie. Pozbyłem się tej wstrętnej spluwy. Jakiś czas temu.

Daisy skrzywiła się na wspomnienie rewolweru. Nic nie mogła na to poradzić – zakopywanie go było tak okropne, że wciąż jeszcze była jakby osłupiała. Zwiesiła głowę, nie widziała więc rozbawionego, porozumiewawczego spojrzenia, jakie posłał jej Hugo. Nie zdawała sobie również sprawy, że jeden z przybyszów zauważył ten jej grymas i teraz ukradkiem obserwował ją z ciekawością.

## 12.

### *Dorwiemy go*

**P**odczas gdy tych czworo rozmawiało w pokoju w pensjonacie, jakieś dwie ulice dalej toczyła się inna rozmowa. Wczesnie rano, po rozmowie z głównym inspektorem Nailsworthem, szef policji, komisarz Allison, zatelefonował do Scotland Yardu. W odpowiedzi na jego wezwanie o pomoc do Southbourne wysłano komisarza Thorne'a. Teraz ci trzej mężczyźni, w towarzystwie stenotypistki, siedzieli wokół stołu w biurze Nailswortha. Nad miastem rozlegały się złote kuranty zegara na ratuszu znajdującym się po drugiej stronie placu,

a snop światła słonecznego, przebiwszy się przez zakurzone okna, padał na wyciągnięte na stole dłonie Nailswortha. Były to duże dłonie, proporcjonalne względem jego ogromnego ciała – lewa, z sygnetem na małym palcu, na przemian zaciskała się i rozluźniała.

Szef policji podniósł wzrok znad papierów. Na twarzy Nailswortha, okrągłej, gładkiej i różowej, otoczonej krótkimi, lnianej barwy włosami, malował się nieprzejednany wyraz, jakiego komisarz Allison jeszcze nigdy nie widział. Zdawało się, że ten zazwyczaj pogodny, spokojny człowiek, dusza towarzystwa policyjnych imprez, zmienił się w ciągu jednej nocy. Allison wiedział, nieoficjalnie, że podwładni nazywali Nailswortha „Słoniem” – nie tylko ze względu na zwalistą figurę, ale również niewiarygodną pamięć. Nailsworth był zbyt wielkim człowiekiem, zarówno pod względem fizycznym, jak i charakteru, by kiedykolwiek wykorzystywać tę pamięć dla zemsty: nikt ze służb policyjnych czy spośród drobnych rzeźmieszków z Southbourne nie mógłby mu tego zarzucić. Jednakże zastrzelony Herbert Stone był jego długoletnim przyjacielem i towarzyszem. Tego dnia określenie „słoń pamięta na zawsze” nabrało nowego znaczenia.

– Brzydka sprawa – stwierdził konwencjonalnie Thorne.

Detektyw był drobnym, bezbarwnym człowiekiem. Miał jeden z tych długich, ciekawskich nosów, które zdają się stworzone, by wściubiać je tam, gdzie coś jest nie tak.

– Przed chwilą widziałem się z jego żoną. Jest załamana.

Twarz Nailswortha, zazwyczaj różowa i bez wyrazu, wykrzywiła się na moment. Zaskoczyło to komisarza, tak jakby na twarzy jakiejś lalki nagle pojawił się wyraz gwałtownych emocji. Nailsworth przeżywał to bardziej, niż mu się zdawało.

– No cóż, panowie, zabierajmy się do pracy – rzucił w końcu Allison z werwą. – Przedstawisz

sprawę Thorne'owi?

Nailsworth przekartkował leżące przed nim raporty: w czasie dyskusji, która nastąpiła później, musiał zajrzeć do nich tylko raz. Komisarz Thorne wysunął swój długi nos, tak że zdawało się, jakby to nim słuchał słów Nailswortha.

– Wczoraj wieczorem o siódmej trzydzieści dwie – zaczął Nailsworth – sierżant dyżurny został powiadomiony telefonicznie, z domu przy Queen's Parade 17, że na tarasie tego domu widziano obcego, leżącego mężczyznę.

Dom ten należy do pewnej cudzoziemki, księżniczki Popescu, która mieszka w Southbourne już od kilku lat. Zadzwoniła do nas pani Felstead, jej dama do towarzystwa. Dyżurny wykręcił zaraz do Herberta, to znaczy inspektora Stone'a. Herbert ma pod sobą dzielnicę Parade, rozumie pan, i ma – miał – niedaleko posterunek. Mówił, że pójdzie sprawdzić. Cztery minuty później otrzymaliśmy kolejną wiadomość telefoniczną. Dzwoniła sama księżniczka. Powiedziała, że jakiś mężczyzna został zastrzelony i żebyśmy natychmiast przysłali pomoc. Sierżant wysłał tam posterunkowego Bowyea i skontaktował się z lekarzem policyjnym.

Nie patrząc w dół, Nailsworth na bok odłożył pierwszą z kartek z leżącego przed nim pliku i mówił dalej:

– Herbert, inspektor Stone, leżał na chodniku przed domem. Gdy przyjechali na miejsce, już nie żył. Raport doktora Jamesa: kula uszkodziła drugie i trzecie zebro po lewej stronie, druga zraniła lewe płuco. Kula przeszła przez serce i zatrzymała się pod powierzchnią prawego płuca trzydzieści centymetrów od miejsca, w którym przebiła ciało.

– Strzał z góry i w lewo – stwierdził Thorne, a jego cienki nos zadrgał.

– Dokładnie tak. Ten facet z tarasu. I mamy naocznego świadka. To stangret księżniczki Popescu.

– Stangret? – wtrącił detektyw. – Ma pan na myśli...?

– Mam na myśli stangreta. – Spokojny, bezosobowy głos Nailswortha lekko się zaostrzył. – Nadal jeszcze mamy tu kilka konnych dorożek. Zdaje się, że turyści bardzo je lubią. Księżniczka stale korzysta z usług jednego z nich. Tenże stangret, Charles Poore, ma prawie tyle samo lat co jego pojazd. I jest prawie tak samo powolny. Co niewiele może nam pomóc. W każdym razie udał się na Queen's Parade, by zawieźć księżniczkę i jej towarzyszkę na kolację. Podjechał pod dom i czekał. Wtedy zauważył jakiś ruch na tarasie nad frontowymi drzwiami. Zobaczył głowę i ramiona jakiegoś mężczyzny.

– Jak dokładnie było z czasem? – powiedział Thorne. – Mówi pan, że pierwszy telefon był o siódmej trzydzieści dwie. W miejscowej gazecie napisano, że mężczyznę zauważono już o siódmej dwadzieścia pięć. Skąd to opóźnienie? A może gazeta się myli?

Główny inspektor Nailsworth pokiwał głową z aprobatą: ten gość ze Scotland Yardu chyba nadaje się do tej roboty.

– Nie. *Było* opóźnienie. Stangret popatrzył na zegarek, gdy przyjechał na miejsce. Było trochę po siódmej dwadzieścia. Tego człowieka zobaczył chwilę później – musiał być już na tarasie, zanim przyjechała dorożka. Księżniczka właśnie ubierała się w sypialni – okno wychodzi bezpośrednio na taras. Okna były zasłonięte, a światło włączone. Prawdopodobnie włamywacz czekał, aż wyjdzie z pokoju.

– A na co czekał stangret?

– Charles Poore nie od razu wszczął alarm. Jak *thumaczył się*, myślał, że to może być jakiś robotnik albo gość – nad gankiem znajduje się nieduży taras z niską balustradą. W rzeczywistości ten stary dureń bał się, że księżniczka każe mu coś z tym zrobić. W każdym razie księżniczka i pani Felstead wyszły i odjechały dorożką. Jakies sto metrów dalej ruszyło go sumienie czy coś podobnego – zatrzymał się i

powiedział paniom o mężczyźnie, którego widział. Księżniczka nakazała mu zawrócić. Jest trochę dziwna... Jak to się mówi?

– Ekstrawagancka – odpowiedział komisarz policji.

– O właśnie. Ale nie brak jej odwagi. Weszły do domu, po czym jej przyjaciółka do nas zatelefonowała.

– Czy ma jakieś służące?

– Kucharkę. Włoszkę. Ale tego dnia miała wychodne. Poore jeszcze raz zawrócił dorożkę, by ustawić się w kierunku, w którym panie miały jechać, to znaczy, *od* morza, na północ. – Nailsworth postukał grubym palcem po leżącej przed Thorne'em narysowanej odręcznie mapce. – To był pomysł księżniczki. Żeby wyglądało, jakby czegoś zapomniała. Nie chciała wystraszyć włamywacza. Poore zauważył Herberta na rowerze, widział, jak wjeżdża główną bramą – pomiędzy domem a chodnikiem jest kawałek ogródka. Nie mógł stamtąd widzieć faceta na ganku. Potem usłyszał, jak Herbert woła: Schodzić!

Nailsworth przerwał na chwilę, by opanować głos. Usta mu zadrżały, po czym zacisnęły się w linię tak wąską, że omal nie zniknęły. Detektyw Thorne taktownie spojrzał na mapkę.

– Nie dał mu szansy. – Nailsworth mówił dalej napiętym, gwałtownym tonem. – Ten skur... strzelił, gdy tylko Herbert wymówił te słowa. Jeśli kiedykolwiek wpadnie mi w ręce, niech Bóg ma go w swej opiece.

– Trzymajmy się faktów, Nailsworth, dobrze? – wtrącił delikatnie komisarz policji.

– Przepraszam, sir. – Twarz Nailswortha znów przybrała kamienny wyraz, ale pod stołem dłoń zaciskała się i rozluźniała na przemian. – Stangret widział głowę i ramiona mężczyzny ponad niskim gzymsem ganku – jakby próbował usiąść, jak powiedział Poore. Potem był błysk, huk i koń Poore'a zerwał się do ucieczki. Stangret usłyszał kolejny wystrzał. Udało mu się zatrzymać konia kilkaset metrów dalej. Kiedy jednak dotarł z powrotem pod dom, zabójca uciekł w stronę bulwaru, w kierunku przeciwnym do tego, w którym pobiegł koń. Mamy jednak świadka, który widział mężczyznę biegnącego drogą ku morzu. Świadek mówi, że był to niewysoki mężczyzna, jego zdaniem mógł mieć około metra siedemdziesięciu wzrostu. Zarówno ten świadek, jak i stangret mówią, że miał na sobie ciemny garnitur.

– Tyle tylko potrafia powiedzieć ci dwaj?

– Proszę pamiętać, że robiło się już ciemno. A Poore nie ma najlepszego wzroku. Może byłby w stanie go rozpoznać. A może nie. A drugi świadek widział go tylko z tyłu.

– A księżniczka?

– Wyglądała przez okno od frontu, z lewej strony ganku. Usłyszała pierwszy strzał. Wtedy w jej polu widzenia znalazł się Herbert, który wcześniej stał po prawej. – Głos Nailswortha stał się nagle zupełnie bezbarwny. Zaczął grzebać w leżących przed nim zapisanych kartkach papieru i, jakby nie będąc pewnym, czy będzie w stanie opowiedzieć o tym własnymi słowami, przeczytał kilka zdań: – Inspektor chwiejnym krokiem odsunął się od drzwi. Był skulony, obejmował się ramionami, z trudem oddychał. Potem usłyszałam kolejny strzał. Inspektor zadrżał. Zatoczył się w bramie, po czym upadł na chodnik. Nie mogłam na to patrzeć. Na chwilę zasłoniłam oczy. Wreszcie poszłam zadzwonić po pomoc.

– Domyślam się, że zasłoniła oczy właśnie wtedy, gdy ptaszek zeskakiwał z ganku? – powiedział kwaśno Thorne. – Chyba nie mamy szczęścia.

– Herbert też nie miał szczęścia – Nailsworth popatrzył na Thorne'a z nienawiścią.

Komisarz Allison wtrącił:

– Obawiam się, że nie mamy panu wiele do pokazania, komisarzu Thorne. Ani na ganku, ani na oknie sypialni nie było odcisków palców. Zrobiliśmy odlewy odcisków stóp w ogrodzie, ale należały

najpewniej do Stone'a. Jest

oczywiście kaszkiet. Poore'owi *zdawało się*, że ten facet miał kaszkiet. Znaleźliśmy go w ogrodzie domu, siedem posesji dalej, przy drodze, którą uciekał. Ładna nowa czapka. W środku metka ze sklepu z Brighton. Nailsworth wysłał tam człowieka dziś rano. Dzwonił już z informacją od sklepikarza. Partia towaru z tymi kaszkietami przyszła miesiąc temu. Od tego czasu sprzedawał tylko cztery takie – może będzie w stanie zidentyfikować nabywcę.

Komisarz Thorne podrapał się w koniuszek długiego nosa.

– Zdaje się, że ten ptaszek nieźle spanikował – powiedział, zastanawiając się nad czymś. – Mówi pan, że nie było żadnych oznak, że próbował się włamać?

– Nie, ale najwyraźniej czekał, aż...

– Proszę wybaczyć, sir, ale nie o to mi chodzi. Wtedy można go było oskarżyć wyłącznie o zamiary. A on tymczasem wołał zadać dwa śmiertelne strzały niż dać się zaarrestować pod błahym zarzutem. To amatorszczyzna, panikarstwo. I to porzucenie kaszkietu...

– Mogło mu go zwiać, kiedy uciekał.

– Święte słowa, sir. Ośmielę się nawet stwierdzić, że skok z tarasu mógł mieć na to pewien wpływ.

– Thorne studiował leżący przed nim plan. – Ganek jest wysoki na jakieś trzy metry, jak widzę. Ściany domu są zupełnie gładkie. Nieźły musi być z niego wspinacz. Nie znaleziono sznura? To może nam coś podpowiedzieć – znów podrapał się po nosie. – Skąd wiedział, że tego wieczoru w domu nikogo nie będzie?

– Rozmawiałem z pokojówką – odparł Nailsworth. – Przysięga, że ostatnio nikt obcy się nie kręcił, nie zadawał pytań. Poza tym księżniczka powiedziała mi, że zdecydowała się wybrać na tę kolację zaledwie dwa dni wcześniej.

Mizerna twarz Thorne'a wyostrzyła się, tak że wyglądał na jeszcze bystrzejszego.

– Więc jednak! To amator. Zawodowiec zrobiłby najpierw rekonesans, a nie wspinał się na taras i leżał tam, przy świetle dochodzącym zza zasłon sypialni, licząc na to, że domownicy wyjdą gdzieś akurat tego wieczora. To bez sensu.

– I co pan myśli, komisarzu? – spytał Allison.

– Czy może być motyw polityczny? Ta księżniczka – co o niej wiemy?

– Jest Rumunką. Uciekła z kraju po wybuchu rewolucji. Ekscentryczna stara panna, raczej nieszkodliwa. Dlaczego pan pyta?

– Sam pan wie, sir, że teraz wszędzie pełno szpiegów i tajniaków. Ta próba włamania, z którą mam do czynienia, nie wyglądałaby tak amatorsko, gdyby chodziło o usiłowanie zabójstwa czy, powiedzmy, kradzież jakichś politycznych dokumentów. Cudzoziemcy szybko panikują – szybciej od naszych ciągną za spust.

– W takim razie dlaczego nie zastrzelił księżniczki, gdy tylko wyszła z domu? – inspektor Nailsworth odchylił się na krześle z miną szachisty, który właśnie wykonał druzgocący przeciwnika ruch. Najwyraźniej na Thornie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Czy księżniczka ma coś, co można by ukraść? – zapytał.

– Klejnoty rodzinne. Z tego żyje. Trzyma je w nic niewartym sejfie w sypialni. Mówi, że nie odda ich do banku – wie pan, jakie są starsze panie. Wzruszające, prawda?

Inspektor i detektyw podnieśli oczy do sufitu, połączeni wreszcie pogardą dla głupoty tych, którzy sami proszą się o kłopoty.

– Czy w Southbourne była to rzecz ogólnie wiadoma?

– O tak, księżniczka jest swego rodzaju miejscową znakomitością.  
– Więc to raczej sprawka kogoś stąd.  
– Każdego lata przyjeżdżają tu tysiące ludzi. Nie można wykluczyć, że ktoś, kto nie powinien, usłyszy o małym skarbie księżniczki. – Inspektor Nailsworth znów był jak z lodu; nie był pozbawiony prowincjonalnej drażliwości na punkcie dobrego imienia swego miasta. – Oczywiście, mamy tu kilku ptaszków. Ale nie z tych, co strzelają – mogę przysiąc.

– *Musiał* to więc być ktoś z Londynu – odparł sucho Thorne. – Cóż, trzeba znaleźć broń. Ta sama historia co zawsze. Facet w takiej panice pozbywa się jej najszybciej, jak się da. Biegł w stronę morza...

– Tak. I mógł rzucić rewolwer z molo albo z nabrzeża w porcie – wtrącił Thorne z ciężkim sarkazmem. – Albo wskoczyć na nocny statek i cisnąć do morza. To większa robota, przeszukać La Manche.

– Prowadzimy oczywiście dochodzenie w tym kierunku – rzekł Allison. – Ale... Tak, o co chodzi?

Do pokoju wszedł właśnie policjant i stanął na baczność przy drzwiach. Powiedział, że mają człowieka, z którym główny inspektor powinien chyba porozmawiać. Może rzuci to nowe światło na sprawę zabójstwa.

Człowiek ten okazał się jednym z miejskich sprzątaczy. Zajmował się sprzątaniami śmieci z plaży. Wczesnym rankiem znalazł jakąś paczkę przy samym wale, kilkaset metrów od hotelu „Queen's”. Po zakończeniu pracy zabrał ją wraz z kilkoma innymi przedmiotami do ratusza. Tam ją otwarto. Ktoś skojarzył fakty...

Nailsworth otworzył paczkę. Zagwizdał przez zęby, gdy zobaczył jej zawartość – kawał sznura z hakiem na jednym końcu.

– Jest pan pewien, że wczoraj rano nie było tego na plaży?  
– Całkowicie, inspektorze. Niemożliwe, żebym nie zauważył paczki tej wielkości.  
– No tak, mógł jeszcze dopisać nazwisko i adres na opakowaniu – rzucił Nailsworth po tym, jak sprzątaczowi pozwolono odejść, a jego znalezisko przekazano do pobrania odcisków palców.

Thorne miał powątpiewającą minę.

– Cóż, *może* i zostawił odciski na haku. Ale dla mnie to nie trzyma się kupy. Po pierwsze, ten hak jest za mały, by zaczepić nim o balustradę. A nawet gdyby go użył, uciekł zbyt szybko, by go potem odczepić. I jeszcze, po co miałby to wyrzucać, zgrabnie zapakowane, skoro wiadomo było, że ktoś będzie musiał to znaleźć?

– Czy pana zdaniem *chciał*, żeby ktoś to znalazł? – komisarz policji spytał podekscytowany.  
– No cóż, sir, chyba że to tylko zbieg okoliczności. A w to nie chce mi się wierzyć.  
– Myśli pan, że to przykrywka? Że chciał skupić naszą uwagę na włamaniu, a tak naprawdę chodziło o coś innego...?

Główny inspektor Nailsworth głośno pociągnął nosem. – Mój najmłodszy syn też uwielbia powieści kryminalne – zauważył. Wargi Thorne'a zadręgały.

– Z mojego doświadczenia wynika, że w naszych czasach prawdziwe zbrodnie są dużo dziwniejsze od tych z powieści.

Powiedziawszy to, zwrócił się do komisarza Allisona:

– Jeśli to wszystko, co mieliśmy omówić, zajmę się lepiej pracą w terenie.  
– Co pan proponuje? – Komisarz nie był przyzwyczajony do tego, by odprowadzali go, nawet taktownie, niżsi rangą. Jednakże w czasie wojny pracował dla wywiadu wojskowego i był w stanie rozpoznać tęgi umysł.

– Chciałbym zobaczyć to miejsce, gdzie znaleziono sznur. A potem miejsce popełnienia zbrodni. Z samych map i rysunków trudno się połąpać. Następnie zamierzam porozmawiać ze służbą księżniczki, stangretem i tym drugim świadkiem. Choć nie sądzę, bym dowiedział się czegoś, czego główny inspektor już nie powiedział. Potrzebujemy więcej dowodów rzeczowych. Z pustego i Salomon nie naleje, zwłaszcza że nie ma nawet dzbana.

– Może ten sprzedawca z Brighton będzie w stanie opisać mężczyzn, którzy kupili czapki tego rodzaju.

– Miejmy nadzieję. Umiejętność opisywania to rzadkość. Większość ludzi nie umie nawet patrzeć, a co dopiero dobierać słowa... To Queen's Parade brzmi jak nazwa jednej z tych eleganckich dzielnic, gdzie ludzie raczej nie wyglądają zza firanek.

Dość nieoczekiwanie sardoniczna uwaga Thorne'a rozbawiła głównego inspektora.

– Zupełna racja.

W takim nastroju jedynomyślności komisarz policji pożegnał się z nimi. Być może tych dwóch przestanie wreszcie ze sobą walczyć – na początku zawsze wyczuwało się *froideur*\* między miejscowym policjantem prowadzącym sprawę a ekspertem ze Scotland Yardu. Ponadto Nailsworth wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po śmierci Stone'a.

\* *Froideur* (fr.) – chłód.

Po wyjściu komisarza Allisona na kilka minut zapanowała niezręczna cisza.

– Porządny chłop z tego komisarza – rzucił Thorne.

– Jeden z najlepszych – Nailsworth odwrócił się do okna. – Jak Herbert.

Thorne podszedł do niego, podobny raczej do wróbelka przy ogromnej postaci głównego inspektora.

– Nie ma sensu się zamartwiać – powiedział. A potem dodał zimnym, rozgoryczonym głosem: – Wiem, jak to jest. Jeden z moich ludzi też tak zginął niedawno. Niech się pan nie martwi. Dorwiemy go.

## 13.

### *Chcę tylko pomóc*

Daisy leżała na łóżku. Jej ciało było suche i rozpalone, wyczerpane płaczem. Dziecko w jej brzuchu kopało, ale nie czuła tego: miała wrażenie, że ona sama jest uwięziona w koszmarze, z którego nie ma już wyjścia. Choć minęły dwa dni, od kiedy Jacko przywiózł ją do swego domu, wydawało się, że jej nieszczęście nie zmniejsza się ani na jotę. Myśli Daisy krążyły po wąskiej orbicie katastrofy, starała się znowu być tą dziewczyną, jaką była, zanim Hugo zostawił ją na ławce przy promenadzie. Zdawało jej się, jakby między nią a szczęśliwą przeszłością była jakaś mgła – mgła, w której czuła się kompletnie zagubiona i w której zupełnie błahe sprawy zdawały się nieproporcjonalnie ważne. Na przykład szlafrok Hugo – chciała go zatrzymać, by móc otulić się czymś, co należało do niego. Ale w krzątaninie wyjazdu, udręce pożegnania, zapomniała o nim. Tamtego popołudnia Hugo wyjechał z bratem wcześniejszym pociągiem i zapakował szlafrok do swojej torby. Teraz zdawało jej się, że to niepotrzebne, dodatkowe okrucieństwo – nie mieć nawet tego.

Zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie twarz Hugo. Ale wspomnienie umykało, nie mogła go zatrzymać. Obraz Hugo zaczynał tworzyć się w oczach jej duszy, po czym przemieniał się w coś potwornego – wytwór tej dziwnej mgły, który ją dusił i z niej sztydził.

– Jeszcze nie śpisz, moja droga? To niedobrze.

Nie usłyszała otwieranych drzwi. Jacko podszedł do niej i usiadł na łóżku.

- Jest bardzo późno? – spytała.
  - Prawie północ. Chyba dam ci jeszcze jedną tabletkę na uspokojenie.
  - Nie. Nie chcę... – Złapała kurczowo jego dłoń. – Nie zostawisz mnie, co? Nie mam nikogo innego.
- Jacko szeptał coś uspokajająco. Dziewczyna patrzyła na niego dzikim, rozbieganym wzrokiem.
- Miałeś od niego jakieś wiadomości? Czy wszystko z nim w porządku?
  - Brak wiadomości to dobra wiadomość, moja droga. Musisz starać się zachować spokój.
  - Mógł przecież do mnie napisać – odparła drżącym głosem.
  - Napisze. Ale w tej chwili nie byłoby to najmądrzejsze. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?
  - Chyba tak. – Dziewczyna położyła się, zamykając oczy. Jacko zaczął rytmicznie gładzić jej

skronie – to uspokajało. Po chwili powiedziała:

- Czy uważasz, że jestem bardzo zła?
- Zła? A to co znowu?
- To moja kara, prawda?
- Na pewno nie za coś, co ty zrobiłaś.

Ledwie słyszalna w jego głosie insynuacja sprawiła, że Daisy wyprostowała się. Koszula nocna zsunęła jej się z ramienia, ukazując poprzecinaną błękitnymi żyłkami pierś.

– Hugo *nie* jest zły! – krzyknęła. – Nigdy więcej tak nie mów! Wiem, że... że kradł. Ale chciał to rzucić. Powiedział mi. Jest czuły i dobry. Gdyby nie przegrał tych pięćdziesięciu funtów... A przecież zrobił to tylko dla mnie. Nie myślisz chyba, że...

- Spójrz na mnie, Daisy – głos Jacko nigdy jeszcze nie był tak łagodny.

Popatrzyła na jego brzydką, obwisłą twarz, głęboko w te brązowe oczy, które właściwie nigdy nie traciły swego proszącego wyrazu. Wierny pies. Jedyne przyjaciel, któremu może ufać.

- Wiesz przecież, że chcę ci pomóc – tobie i Hugo. Wiesz, prawda?
- Tak.

– Czemu więc nie powiesz mi wszystkiego? Czemu chowasz to w sobie? Mówię to jako twój lekarz. Jesteś na prostej drodze do załamania nerwowego, a to nie pomoże ani dziecku, ani Hugo. To niedobrze tak w sobie coś dusić.

- Nie teraz – westchnęła. – Jestem taka zmęczona.
- Zmęczona? To nie to. Ty się boisz, moja droga.

Cała aż się wzdrygnęła, jakby ją uderzył. Popatrzyła na niego przestraszonym, nieufnym spojrzeniem.

- Oczywiście, że się boję. Hugo jest w niebezpieczeństwie.
- Nie to miałem na myśli. Bądź szczerą z samą sobą. Boisz się, że on to zrobił.

W pierwszej chwili Daisy chciała wyjść z tego pokoju, uciec od niego. Łkając, niezgrabnie uniosła się na klęczki, ale Jacko przytrzymał ją za ramiona i położył. Kciuki wcisnęły się w miękkie ciało. Daisy kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie chciała spojrzeć mu w oczy. Trzymał ją tak, dopóki się nie uspokoiła, po czym usiadł na krześle przy łóżku. Oddychał ciężko. W końcu odezwał się:

- Oboje chcemy pomóc Hugo. A ja nie mogę mu pomóc, bo nie wiem, co naprawdę się wydarzyło.
- Powiedział ci przecież wtedy, gdy przyjechałeś do Southbourne?

Jacko szybko oblizał usta. Ukradkiem popatrzył na nią baczny spojrzeniem.

- Ale czy to była prawda? Ty w to uwierzyłaś? Jeśli tak, to czemu się boisz?
- Och, dlaczego tak się nade mną znęcasz? Myślałam, że mnie lubisz.
- *Boisz się*. Jak myślisz, przed czym próbowałaś uciekać przed chwilą? Przede mną? Oczywiście, że

nie. Nie jesteś w stanie znieść myśli, że Hugo jest winny. I czujesz się winna za swoje podejrzenia. Nie możesz tak po prostu schować brudów pod dywan i udawać, że ich nie ma.

– Hugo tego nie zrobił – to było zwyczajne tchórzostwo. Jestem pewna, że nie potrafiłby tego zrobić.

– Dobrze, moja droga. Ja też nie wierzę, że mógłby coś takiego zrobić. Więc jeśli oboje w niego wierzymy, dlaczego nie możemy o tym porozmawiać? – Podkreślił to tym swoim ujmującym, smutnym uśmiechem. – A może to *mnie* nie ufasz?

– A bo ja wiem? Wszystko mi się pokręciło. – Przecierając oczy jak dziecko, Daisy zaczęła mówić językiem dzieciństwa. – Wszystko mi się pokręciło.

– Oczywiście, jeśli czujesz, że nie możesz mi wierzyć, nie ma o czym mówić.

– Nie gniewaj się na mnie, John – powiedziała całkiem zagubiona. – Nie chciałam nic złego. Ale czasami – czasami jesteś taki ciekawy.

– Ciekawy? Jak to?

– Zadajesz tyle pytań. Jakbyś miał z tego przyjemność. Czasami czułam się nieswojo.

– Miałaś wrażenie, że wtrącam się w twoje sprawy? – spytał, wcale nie chłodno, ale dziewczyna poczuła, jak jego sympatia znika niczym odpyw.

– Och, nie chciałam powiedzieć, że jesteś wścibski – odparła zrozpaczona. – Tylko nie wiem, jak to powiedzieć – jakbyś próbował rozłożyć ludzi na kawałki i zobaczyć, co mają w środku. Jak mali chłopcy robią to z żabami czy czymś podobnym, nie zdając sobie sprawy z własnego okrucieństwa.

– Cóż, muszę przyznać, że wygadana z ciebie kobietka. Mówisz, że jestem jak mały chłopiec, który wyrzywa muchom skrzydełka? Myślisz, że bawi mnie patrzeć na ludzkie cierpienia? – Ton głosu Jacko był bardziej zaciekawiony niż urażony.

Wyczerpanie Daisy sprawiło, że miała jakby przebłyski jasnowidzenia. Zrozumiała, że odpowiedź na ostatnie pytanie może brzmieć „tak”, ale nie ośmieliła się tego powiedzieć.

– Hugo powiedział mi kiedyś, że lubisz czuć władzę nad innymi ludźmi.

– A kto nie lubi? – Jacko popatrzył na nią zagadkowo. – Bądźże szczerą. Nie podobało ci się, że Hugo robił wszystko, żeby cię zadowolić? Twoja erotyczna władza nad nim?

Dziewczyna zaczerwieniła się, zszokowana tym, że tak bez ogródek przedstawił tę prawdę.

– Kiedy się kogoś kocha, jest inaczej. To nie ma nic wspólnego z władzą.

Cisza trwała tak długo, że Daisy wreszcie spojrzała na Jacko. Zaniepokoił ją widok jego zmienionej twarzy i gwałtownie drżącego ciała.

– Zimno ci? Przepraszam. Nie powinnam cię tu trzymać.

– Więc uważasz, że nie jestem zdolny do miłości, tak?

Jego głos przeraził Daisy. Brzmiał jak jakaś mieszanka wybuchowa, z trudem opanowywana, rozczulania się nad sobą, urazy, złośliwości. Jacy mężczyźni są drażliwi, pomyślała, drażliwi, próżni i trudni. Czuła jednakże, iż powinna naprawić wszelkie zło, jakie, jak jej się zdawało, mu wyrządziła.

– Wcale nie miałam tego na myśli. Przekręcasz moje słowa. – Poczuła jakby kolejny przebłysk jasnowidzenia. Z uśmiechem, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo matczyny był ten uśmiech, mówiła dalej: – Wiesz, wydaje mi się, że ty też dusisz w sobie różne rzeczy, tak samo jak wszyscy.

– I ty, jako kobieta, chciałabyś wypuścić dzina z butelki? – Patząc jej prosto w oczy, dodał: – Jako atrakcyjna kobieta, powiem. Nie zawsze jestem tylko twoim lekarzem, moja droga.

Zarumieniła się w zamęcie różnych uczuć, pośród których coś w rodzaju wstydliwego zadowolenia wcale nie odgrywało najmniejszej roli.



– Zdaje się, iż zakładasz, że jesteś ze mną zupełnie bezpieczna – mówił dalej, wręcz nadąsanym tonem.

Chciał ją tym speszyć, ale nie wziął pod uwagę jej wiejskiej prostoduszności.

– Och, wydaje mi się, że w obecnym stanie z każdym byłabym bezpieczna – odparła ze śmiechem. – Poza tym jesteś naszym przyjacielem.

– Dlaczego więc nie traktujesz mnie jak przyjaciela? – Głos Jacko zrobił się łagodny i słodki jak miód. – Dlaczego nie pozwolisz mi pomóc sobie i Hugo?

– Już dotychczas wiele dla nas zrobiłeś.

– Ale jeszcze wiele można zrobić, gdybyś tylko mi zaufała.

I w końcu przedstawiła mu wszystkie wydarzenia dwóch ostatnich dni w Southbourne. Emocjonalne wyczerpanie sprawiło, że powstał w niej jakiś mechanizm, który kazał jej posuwać się dalej, podobnie jak człowiek, który jest na skraju fizycznego zmęczenia, idzie naprzód, bo jeśli się zatrzyma – umrze. Daisy słyszała, jak robot w niej samej mówi i mówi: zdawało się, iż jej język pamięta o drobiazgach, o których umysł zdążył już zapomnieć. Ponadto, choć częściowo znieczulona przemęczeniem, wciąż miała poczucie, że przeżywanie tych zdarzeń jeszcze raz i powtarzanie słów Hugo zbliżają do niego. Nawet nie wspomniała jednak o zakopaniu rewolweru – nie dlatego, że nie ufała Jacko. Powstrzymywała ją przed tym ohyda tego zdarzenia, o którym pamięć zdawała się jej równie żenująca, jakby kochali się w obecności trupa.

Kiedy skończyła, poczuła się cudownie odprężona, było jej lekko na duszy i ciele, jak gdyby właśnie urodziła dziecko. Napełniło ją to wdzięcznością wobec Jacko. Uścisnęła jego dłoń.

– Dobra dziewczynka – powiedział. – Już czujesz się lepiej, prawda? Nie mówiłem?

– Tak, lepiej mi. Ale czy z Hugo będzie wszystko dobrze? Powiedz, że tak. Teraz, gdy już wiesz...

– Nie sądzę, by policja mogła mu cokolwiek udowodnić.

– Ale Jacko, to nie o to chodzi – przecież jest niewinny. Musi być – wykrzyknęła.

– Pod warunkiem, że ukrył rewolwer w naprawdę bezpiecznym miejscu.

Daisy spojrzała na niego z osłupieniem:

– Rewolwer? Ja nie...

– Pamiętasz, brat Hugo zapytał go o rewolwer, a Hugo powiedział, że „pozbył się tej wstrętnej spluwy”. Mam tylko nadzieję, że pozbył się jej skutecznie – odparł Jacko lekkim tonem.

– O tak. My... – Daisy przerwała. Potarła usta dłonią. – Zdecydowaliśmy się go pozbyć... Po tym, co zaszło w domu jego brata.

Jacko nie podjął tego tematu. Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Jacko był bardzo ożywiony i pokrzepiający. Wreszcie pocałował ją niewinnie w czoło i wyszedł.

Następnego ranka Daisy spała do późna. Na przyniesionej przez gospodynię tacy ze śniadaniem znalazła miły liścik od Jacko. Wezwano go do Londynu, ale miał wrócić wieczorem i cieszył się na myśl o kolacji w jej towarzystwie.

**W** Southbourne trwała kolejna narada komisarza policji z głównym inspektorem Nailsworthem i detektywem Thorne'em. Powrócili do odroczonego dochodzenia w sprawie śmierci ich kolegi. Trzej mężczyźni omawiali plany dalszego działania, ponieważ śledztwo utknęło w martwym punkcie. Thorne spędził znaczną część ostatnich dwóch dni, przesłuchując mieszkańców domów przy Queen's Parade, począwszy od księżniczki Popescu, jej przyjaciółki oraz pokojówki. Nie zdobył jednak kolejnych dowodów, które mogłyby ułatwić znalezienie zabójcy. Także Charles Poore, stangret, nie był w stanie

podać dalszych wskazówek. Thorne zrozumiał, iż żaden z tych niewielu naocznych świadków nie pomoże mu w zidentyfikowaniu mordercy.

Jeden trop, początkowo obiecujący, spalił na panewce. W dniu zabójstwa pewien oszust, Joe Samuels, przebywał wraz z dwójką przyjaciół w hotelu „Queen's”. Jednakże o szóstej wieczorem tego właśnie dnia wymeldowali się i samochodem pojechali do Londynu. Mógł to być oczywiście wyjazd pozorowany. Ale policjanci z wydziału kryminalnego nie mogli znaleźć najdrobniejszych nieścisłości, nic podejrzanego w alibi Joe'go – poza mężczyzną i kobietą, jacy towarzyszyli mu w Southbourne, miał kilku innych świadków, którzy potwierdzili jego przyjazd do Londynu o godzinie wykluczającej możliwość popełnienia przezeń zabójstwa. Nie było nic, co mogłoby świadczyć przeciw Joe'mu oprócz faktu, że dwa razy odsiadywał wyrok za kradzież biżuterii. W każdym razie jeden ze współpracowników Thorne'a sprawdzał alibi Joe'go jeszcze raz.

Nailsworth oddelegował sporą grupę swoich ludzi do poszukiwania broni – okazało się ono równie nieskuteczne. W czasie odpływów przeszukiwano nabrzeże, sprawdzono każdy ogród przy Queens's Parade i każdą studzienkę ściekową. Nie poprzestano na tym – policjanci sprawdzali hotele i pensjonaty, by dowiedzieć się, czy nie zauważono jakiegos podejrzanego zachowania czy nagłych wyjazdów w nocy po dokonaniu zabójstwa. Teraz jednak wyglądało na to, że morderca nie spanikował na tyle, by pozbyć się broni. Dotychczasowe wyniki nie osłabiły przeczucia Thorne'a, że sprawa może mieć podtekst polityczny, mimo że w obecności głównego inspektora starał się o nim nie mówić. Z tego względu zwrócił się do Wydziału Specjalnego z prośbą o udostępnienie akt księżniczki.

Jak dotąd jedyną przydatną informacją, zresztą o bardzo małym znaczeniu, było to zeznanie sprzedawcy z Brighton. Rozpoznał od razu kaszkiet jako jeden z tych, które otrzymał w zamówieniu miesiąc temu. I do dnia popełnienia zabójstwa sprzedał tylko cztery takie – kupiło je trzech mężczyzn i jedna dziewczyna. Nie był pewien, czy udałoby mu się rozpoznać mężczyzn, ale dziewczynę bez wątpienia – była to zachwycająca młoda blondynka, w ciąży.

– Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia, Jak wynika z uzyskanych informacji” – stwierdził Thorne.  
– Nie jest to specjalnie dobrze rokująca perspektywa – zauważył komisarz.  
– O, tu mógłby się pan zdziwić. Wcześniej czy później ktoś wreszcie przemówi. Może nawet sam winny nie będzie w stanie utrzymać gęby na kłódkę. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto tak właśnie trafiamy na właściwy trop.

– W Southbourne nikt nie mówi o niczym innym. Ale nie wydaje się, by to mogło nas gdzieś zaprowadzić – słoniowaty Nailsworth posłał swemu drobnemu, żwawemu londyńskiemu koledze poważne, ale i z lekka żartobliwe spojrzenie, które potwierdzało, że ich wzajemne stosunki polepszyły się.

– Jeśli była to rzeczywiście tylko próba włamania – zaczął Thorne. Główny inspektor ostentacyjnie wznosił oczy do sufitu, ale Thorne niezrażony mówił dalej: – Ta pokojówka, Velma, niewiele nam pomoże. Nie mówi dobrze po angielsku i jest uparta. Taka prostaczka, zdaje się. Nic nie można z niej wyciągnąć, ale zachowuje się jakby ostrożniej, niż powinna. Od kogo innego on mógł się dowiedzieć, gdzie księżniczka trzyma klejnoty? I kto włamywałby się do domu, nie wiedząc, gdzie ich szukać?

– Księżniczka miała też inne pokojówki.  
– O tak, sir. I trzeba będzie je sprawdzić. Jednak tylko Velma wiedziała, że tego wieczoru w domu nikogo nie będzie.  
– Ona i pani Felstead – wtrącił komisarz. – Ale zgadzam się. Z panią Felstead tylko tracilibyśmy czas.

Thorne powiedział, że jego następnym krokiem będzie druga rozmowa z włoską pokojówką. Zamierzał

sprawdzić, co dokładnie robiła w dniu, w którym popełniono przestępstwo, czy rozmawiała z kimś przez telefon i tak dalej. Gdyby okazało się, że w tym dniu, a może i wcześniej, kontaktowała się z jakimiś obcymi, byłby to już jakiś trop dla policji. A zaraz potem Thorne miał wrócić do Londynu, by tam przejąć prowadzone właśnie dochodzenie w sprawie ostatnich posunięć znanych Scotland Yardowi złodziei biżuterii.

Mężczyźni omówili również sprawę ogłoszeń prasowych – dalszych apeli do osób, które zauważyły coś podejrzanego, o zgłaszanie się na policję; okólników do właścicieli lombardów na wypadek, gdyby morderca okazał się na tyle głupi, by próbować w ten sposób pozbyć się rewolweru. Eksperci od balistyki, zbadawszy kulę, którą znaleziono w ciele Stone'a, podali już informacje dotyczące kalibru i prawdopodobnej marki broni. Lina i hak znalezione w paczce były nowe, a przynajmniej nieużywane. Nie zostały jednak zakupione w żadnym z miejscowych sklepów. Prawdopodobnie kupiono je oddzielnie i dopiero nabywca przyczepił hak do sznura. Tak więc, w chwili obecnej, lina nie stanowiła poszlaki, którą warto by zainteresować się bliżej. Gdyby przestępca jej użył, zawężyłoby to pole poszukiwań policji, gdyż Scotland Yard posiadał

listę wszystkich chyba przestępców stosujących tę metodę. Ale – i to było najbardziej zdumiewające – linę z hakiem porzucono na plaży, porządnie zapakowaną, gdzie każdy mógł się na nią natknąć. Na haku nie było żadnych zadrapań – nigdy nie był do niczego używany – w złym czy w dobrym celu.

– Może – zauważył Nailsworth, puszczając wodze fantazji w zupełnie nietypowy dla siebie sposób – zostawił ją na plaży jakiś alpinista?

– A może gimnastyk? – dodał Thorne. – Jakiś mały chłopiec mógł zwęździć ją z sali gimnastycznej w szkole, dla kawału. Te szkraby są zdolne do wszystkiego.

– No cóż, panowie, może na razie dajmy spokój całej sprawie. Chyba że jest coś jeszcze...? – komisarz Allison wstał.

Kierował się ku drzwiom, gdy wszedł posterunkowy.

– Jakiś człowiek chce się zobaczyć z głównym inspektorem, sir.

Mówi, że ma informacje na temat sprawy Stone'a.

– Pewnie jeszcze jeden wariat – wymamrotał Nailsworth.

Miał już dosyć tych nawiedzonych, świrów i nadgorliwych idiotów, którzy pojawiają się jak grzyby po deszczu w czasie dochodzenia w sprawie morderstwa i jak rzepy trzymają się spodni policjanta.

Komisarz Allison podał głównemu inspektorowi wizytówkę, którą otrzymał od posterunkowego.

– Doktor John Jaques. Nigdy o nim nie słyszałem – powiedział Nailsworth. – Trzeba by z nim chyba porozmawiać, sir? Wprowadź go. I czarodzieja od szybkiego pisania.

## 14.

### *Pocątek śmierci*

Nailsworth i Thorne popatrzyli na doktora Jaquesa typowym policyjnym spojrzeniem, spokojnym, prześwietlającym od stóp do głów, obojętnym, a jednak przytłaczającym, dzięki któremu – gdyby jakaś nadnaturalna siła sprawiła nagle, że po pięciu sekundach zniknąłby im z oczu – byłiby w stanie opisać go w najdrobniejszych szczegółach, aż do ostatniego guziczka na rękawie płaszcza.

Komisarz przedstawił siebie i swoich kolegów, popatrzył na głównego inspektora i poprosił gościa, by usiadł.

– Jak rozumiem, może nam pan udzielić pewnych informacji na temat śmierci inspektora Stone'a – zagał Nailsworth. Mówił jak maszynka – maszynka nastawiona na niekończące powtarzanie tego samego rytuału.

– Tak, tak sędzę.

– Pańskie nazwisko i adres, sir.

– Są na wizytówce, którą trzyma pan w dłoni.

– Jest pan lekarzem medycyny? – Nailsworth, jak zawsze pilnujący procedury, mówił dalej, wielki i powolny jak walec parowy.

Podczas gdy Nailsworth zadawał rytualne pytania, komisarz Allison przyglądał się gościowi. W pierwszej chwili, zaraz po wejściu doktora Jaquesa, pomyślał, iż człowiek ten nie jest pewien tego, jak go przyjmą, ale zdaje sobie sprawę ze swej pozycji. Skojarzył mu się z fotografem na ślubie kogoś z towarzystwa – nie służalczym, ale i nie beczelnie aroganckim – gotowym, by odegrać swą rolę dyskretnie i profesjonalnie. Nie było w nim nic zauważalnie odrażającego, a jednak komisarz Allison pomyślał: beczelny typ – trochę śliski. Być może sprawiły to oczy mężczyzny, w których za wyrazem szacunku krył się cień kpiny. Wyglądał jednak na zdrowego psychicznie, a to już więcej, niż można by powiedzieć o większości dziwaków, którzy upierali się, by pomagać policji. Nie, nie fotograf, zweryfikował komisarz Allison – raczej aktor. Gładkie słówka, szybkie odpowiedzi; dość teatralnie nastroszone siwe włosy (można by go obsadzić w roli dobrotliwego, choć nieco ekscentrycznego wujka z Australii, który już się dorobił, a teraz chętnie pomoże młodej parze borykającej się z przeciwnościami losu). Przede wszystkim zdecydowanie miał twarz aktora, z ruchliwymi wargami i obwisłą skórą, twarz, która poprzez drobne zmiany w płynnej mimice mogła stać się zupełnie inna, a w każdym razie przybrać zupełnie inny wyraz.

Komisarz zmusił się, by zakończyć te bezproduktywne rozmyślenia. A raczej został z nich gwałtownie wytracony, gdy doktor odpowiadał na jedno z urzędowych pytań Nailswortha:

– Nie, nie przyszedłem się przyznać.

Niejasne oburzenie wzbudziły w komisarzu nie tyle same słowa, co lekki, rozbawiony ton, jakim zostały wypowiedziane. Nagle, jakby doktor Jaques natychmiast zdał sobie z tego sprawę, nie patrząc nawet na twarz komisarza, ton jego głosu zmienił barwę. Mówił teraz z powagą, z zatroskanym wyrazem twarzy:

– Obawiam się, że to o wiele trudniejsze. Dla mnie.

– Proszę przedstawić nam pańskie oświadczenie, sir, własnymi słowami – powiedział cierpliwie Nailsworth. – Proszę trzymać się faktów, nie powtarzać pogłosek i nie teoretyzować.

– Rankiem dziesiątego października zadzwonił do mnie Mark Amberley – zaczął doktor Jaques, mówiąc w sposób, w którym można by dopatrywać się subtelnej parodii policjanta zeznającego w sądzie pokoju. – Powiedział, że jego brat zadzwonił do niego z Southbourne z prośbą, by natychmiast tam przyjechał i przywiózł pieniądze, a także by zapytał mnie, czy mogę przyjechać razem z nim. Znam brata Marka od jakiegoś czasu. Siedem czy osiem lat temu zmienił nazwisko na Chesterman, Hugo Chesterman.

– Proszę zaczekać! – Thorne strzelał palcami jak uczeń, który usiłuje przypomnieć sobie dobrą odpowiedź. – Amberley. Amberley. Hugo Amberley? Nie. Chesterman... Mam, Chester Hugh Amberley. Czy tak brzmiało prawdziwe nazwisko?

Jacko spuścił oczy, a na jego twarzy na chwilę zagościł wyraz cierpienia.

– Tak. Widzę, że pan pamięta. Hugo zmienił nazwisko po wyjściu z więzienia.

– Kradzież biżuterii, prawda?

– Tak mi się wydaje – odpowiedział Jacko, pochylając głowę. – Pojechałem z Markiem do Southbourne. Przeczytaliśmy o śmierci inspektora Stone'a w porannej gazecie. Gdy dotarliśmy na miejsce – tu Jacko podał adres – nawiasem mówiąc, Hugo był tam znany pod innym nazwiskiem, zastaliśmy jego i Daisy bardzo poruszonych. Daisy Bland, powinienem dodać, to dziewczyna, z którą Hugo mieszkał przez ostatnie półtora roku.

– Czy nie jest przypadkiem zachwycającą blondynką? – zapytał Thorne, mrugając do Nailswortha.

– Sądzę, że można ją tak opisać – odparł zimno Jacko. – Jest moją pacjentką. Pod koniec grudnia zostanie matką. Hugo powiedział nam, że nie ma pieniędzy. Bał się, że jeśli jego obecność w Southbourne wyjdzie na jaw, policja skojarzy go z tym morderstwem ze względu na więzienną przeszłość. Powiedział, że chce na jakiś czas zniknąć, dopóki sprawa, jak się wyraził, nie ucichnie.

Nailsworth nabrał gwałtownie powietrza, zaciskając dłonie.

– Daliśmy mu trochę pieniędzy, a ja zgodziłem się zabrać Daisy do mojego domu, gdzie obecnie przebywa. Mark i Hugo wrócili do Londynu, a my pojechaliśmy następnym pociągiem.

– Czy panu i panu Amberleyowi nie przyszło do głowy, że być może popełniają panowie poważne przestępstwo?

Jacko skrzywił się lekko.

– Tego naprawdę nie pamiętam. Bardzo lubię Hugo i Daisy, a byli w tarapatach. W takich sytuacjach człowiek robi dla przyjaciół, co w jego mocy. – Wyjął czystą, złożoną chusteczkę i delikatnie otarł usta. – Poza tym Hugo przysiągł, że nie ma z tą zbrodnią nic wspólnego. Próbowałem uzmysłowić mu, że taka ucieczka może wyglądać jak przyznanie się do winy, ale biedaczysko był zbyt zdenerwowany, by patrzeć na to rozsądnie.

Tu przerwał. Nic nie mówił tak długo, aż Nailsworth się zniescierpliwiał:

– I co dalej, proszę pana?

– Dalej?

– Co powiedział panu pan Chesterman?

– Och, przepraszam. Sądziłem, że nie życzą sobie panowie przytaczania słów osób trzecich i niesprawdzonych wieści.

Nailsworth zacisnął usta. Komisarz rzucił szorstko:

– W tej sytuacji może nam pan powiedzieć, doktorze.

– Powiedział tylko, że w momencie, gdy popełniono zbrodnię, był gdzie indziej, ale nie ma możliwości, by to udowodnić.

Nailsworth pochylił się ciężko ku niemu, twarz miał czerwiejszą niż zwykle.

– I panu *to* wystarczyło? Po prostu poszedł gdzieś za róg, tak? Do tego się to sprowadza, prawda? – Widać było, że główny inspektor opanowuje się ostatkiem woli.

– Człowiek wierzy swoim przyjaciołom – odparł Jacko, nie bez godności.

– Jeśli byli skazani za kradzież biżuterii? Zakładam, że nie zadaje się pan tylko z...

– Spokojnie, Nailsworth – ostrzegł komisarz Allison.

– Wiem, że wyda się to panom prawie niemożliwe – odparł Jacko z miłym, szerokim uśmiechem. – Mogę tylko powiedzieć, iż zdawało mi się, że Hugo zaczął się zmieniać. Poza tym jestem na tyle naiwny, by uważać, że wyrok za kradzież nie zmienia zasadniczo przyzwoitego człowieka w mordercę.

– Ale od tego czasu zmienił pan zdanie, co? – Bezbarwny wyraz twarzy Thorne'a w najmniejszym stopniu nie zdradzał wewnętrznego podniecenia. Równie dobrze mógłby być sprzedawcą w kasie

biletowej gawędzącym z podróżnym o miejscu, do którego ten się wybiera. Przypomniało mu się, że Amberley alias Chesterman to fenomenalnie sprawny włamywacz. Wszystko zaczynało do siebie pasować.

Doktor Jaques zrobił potępiający gest, jakby dłońmi odpychał coś od siebie. Przypomina psa, pomyślał komisarz, który żebrze o coś, siedząc na tylnych łapach, a przednimi wymachuje w powietrzu.

– Zmienił pan zdanie... – powtórzył Thorne.

Twarz doktora przybrała pełen bólu wyraz: zdawało się, iż trudno mu opanować głos.

– Obawiam się, że tak. Wczoraj wieczorem odbyłem długą rozmowę z panną Bland. Była wyczerpana nerwowo, na skraju załamania. Pomyślałem, że dobrze jej to zrobi, jeśli się komuś wygada – opowie o tym, co tu się zdarzyło. – Przełknął ślinę. – Czy naprawdę muszę o tym mówić?

– Chyba po to właśnie pan przyjechał, żeby nam o tym opowiedzieć?

Komisarz Allison starał się ukryć pogłębiającą się odrazę do tego człowieka, choć niezupełnie mu się to udawało. Przeraziła go zatruta strzała nienawiści w oczach doktora.

– To niezupełnie w stylu absolwenta szacownej prywatnej szkoły, przyznaję – rzekł Jacko. – Ale kodeks etyczny rodem z prywatnej szkoły – moi przyjaciele są moimi przyjaciółmi, niezależnie od tego, czy czynią dobrze, czy źle – nie wydaje mi się całkiem na miejscu, jeżeli z zimną krwią zastrzelono policjanta.

Komisarz zmarszczył brwi. Ten ohydny typ trafił w samo sedno, jak jakiś jasnowidz: to właśnie kodeks etyczny prywatnej szkoły, zgodnie z którym jedynym niewybaczalnym grzechem jest zdradzić przyjaciół, zajmował myśli

komisarza w czasie tej rozmowy. Co gorsza – ostatnią uwagą lekarz zręcznie wbił klin pomiędzy komisarza i jego dwóch podwładnych, na których ten rodzaj lojalności nie robił wrażenia.

– Czy możemy wrócić do tematu? – spytał. – Pańskiej rozmowy z panną... eee... Bland?

Z lekkim wahaniem Jacko zdał obszerną relację, przy jednostajnym akompaniamencie ołówka protokolanta.

– Czy widział pan ten rewolwer Chestermana? Wie pan, jakiej jest marki? – zapytał główny inspektor.

– Nie.

– Ale pana zdaniem nie pozbył się go po kłótni w domu brata, jak panna Bland chciałaby, żeby było?

– Odniosłem takie wrażenie. Mam nadzieję, że to nieprawda.

– Zakładam, że wie pan, gdzie obecnie przebywa Chesterman? Oczy Jacko rozbłysły. Potem, trochę zbyt szybko, odparł:

– Nie. Obawiam się, że nie.

– To pech. Straszny pech. – Nailsworth powiedział to takim tonem, jakby pecha miał tu nawet bardziej doktor Jaques niż policja. – Ale panna Bland pewnie jest z nim w kontakcie?

– Z tego, co wiem, nie. Możecie ją oczywiście zapytać.

– Nie omieszkamy, sir. A teraz proszę nam opisać Chestermana.

– Przecież Scotland Yard na pewno ma to w swoich aktach.

– Pan poda nam aktualne informacje. Bardzo proszę, sir – Nailsworth naciskał nieustępliwie.

– Oczywiście, jak mus, to mus.

Komisarz podniósł się gwałtownie. Gdy w czasie wojny pracował dla wywiadu, brał udział w pewnych operacjach, które nie pozwalały na najmniejsze skrupuły, ale żadna z nich nie wywołała w nim takich

mdłości, jakie odczuwał w obecności doktora Jaquesa. Nailsworth i Thorne mieli mocniejsze żołądki – najlepiej zostawić to im.

– Właśnie mi się przypomniało – odezwał się. – Mam spotkanie z kimś z urzędu miasta. Czy może pan poprowadzić spotkanie, inspektorze?

Kiwnąwszy zdawkowo głową, wyszedł szybkim krokiem. Gdy drzwi się zamknęły, Thorne zauważył dziwny uśmieszek na twarzy doktora Jaquesa –

uśmieszek ulgi? Satysfakcji? A może to po prostu reakcja na szorstkie zachowanie komisarza. W każdym razie po jego wyjściu atmosfera w pomieszczeniu nieco się rozluźniła. Rozluźniła się wręcz tak bardzo, że po tym, gdy zapisano opis Hugo Chestermana, Thorne nagle wycelował swój długi nos w doktora i porozumiewawczym, wręcz koleżeńskim tonem zapytał:

– Niech pan da spokój, doktorze. Niech mi pan nie mówi, że nie wie, gdzie chowa się ten Chesterman. W jakiś sposób musi się pan z nim kontaktować...?

Wyraz dezaprobaty na wielkiej twarzy Nailswortha zmienił się w czujność. No dobrze, jeśli taki jest sposób na to, by dostać się do tego doktora, to i on przyłączy się do tej zabawy. Nieznacznym ruchem dał protokolantowi znak, by wyszedł.

– No cóż, mają już panowie ten opis – powiedział Jacko. – Nie macie już o co mnie pytać. To może...?

– Proszę wybaczyć, sir, ale to *my* zadajemy pytania. Opis jest bardzo dobry, ale nie chcemy, by ten Chesterman wyśliznął nam się z rąk. Musimy natychmiast go odszukać.

– Mówi pan, jakby... Jakby sprawa już była przesądzona na jego niekorzyść – zaprotestował Jacko.

– Dał nam pan wystarczająco dużo powodów, by twierdzić, że tak jest – Thorne nadal mówił bez wyraźnej ironii, a w głosie dały się słyszeć jakby przyjazne tony.

Gdy Nailsworth przyglądał się tym dwóm mężczyznom, przyszło mu nagle do głowy określenie „ulepieni z tej samej gliny”.

– Jeśli jest niewinny – mówił dalej Thorne – będzie w stanie to udowodnić. A im szybciej, tym lepiej. Ta młoda kobieta pewnie żyje w strasznym napięciu. To dla niej niedobrze. Ale pan jest jej lekarzem, nie muszę panu tego mówić.

– Tak, to prawda – odparł Jacko z przejęciem, jakby ten fakt, na który dopiero teraz zwrócono mu uwagę, pozwalał mu wycofać się z honorem.

– Czy ta dziewczyna, ta Daisy Bland, była jego współniczką w kradzieżach biżuterii? – zapytał ciężko Nailsworth.

Thorne chętnie kopnąłby głównego inspektora. Po tym, jak udało mu się tak sprytnie podejść doktora, jak już prawie miał go w garści, tak wszystko spać!

Doktor Jaques zeszytniał.

– Doprawdy, inspektorze, co za niezwykle pytanie! Skąd miałbym wiedzieć? Zapewniam pana, że nigdy nie byłem z nimi w *takiej* zażyłości. Poza wszystkim innym, moje zawodowe...

– Oczywiście, sir, oczywiście – Thorne starał się go obłaskawić. – Jak mówiliśmy, chodzi o to, by jak najszybciej skontaktować się z Chestermanem. Jeśli jest niewinny, bardzo dobrze. Pytamy pana tylko...

– Już mówiłem. Nie wiem, gdzie przebywa.

– Radzę więc panu, dla pana dobra, się dowiedzieć – powiedział groźnie Nailsworth. Miał dość tego działania w białych rękawiczkach: tliła się w nim niejasna uraza do Thorne'a za to, że to on wszystkim kieruje, a jego gniew z powodu śmierci inspektora Stone'a był nieprzejeđnany.

– Grozi mi pan? – spytał Jacko. – Przyszedłem tu, by pomóc policji, a...

Wielka pięść Nailswortha wylądowała na stole.

– Jest pan w bardzo kłopotliwej sytuacji. Ostrzegam pana. Bardzo możliwe, że już popełnił pan przestępstwo, pomagając temu człowiekowi uciec z Southbourne. Gości pan u siebie kobietę, która bardzo prawdopodobnie była jego współniczką.

– Brednie! – wykrzyknął Jacko, bynajmniej nie przestraszony. Być może próbował wyprowadzić głównego inspektora z równowagi.

– Proszę tak do mnie nie mówić! – Nailsworth podjął heroiczny wysiłek, by się opanować. – Mówię tylko panu, jak to wygląda. Proszę sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli ta sprawa zakończy się w sądzie. W zawodzie lekarza nietrudno o utratę reputacji, prawda? Lekarz, który przyjaźni się ze złodziejem biżuterii i jego kochanką, lekarz, który pomaga mordercy i utrudnia pracę policji... o tak, to wszystko wyjdzie na jaw.

– Rozumiem już, dlaczego odesłał pan protokolanta. Żeby nie słyszał, jak pan szantażuje świadka... No, wywiera nacisk na świadka, to lepiej brzmi, prawda? – Wydawało się, że Jacko świetnie się bawi.

– Do rzeczy. Chce pan z nami współpracować czy nie? – spytał Thorne.

– Złożyłem oświadczenie. Czy to nie jest współpraca?

– Jeśli Chesterman się z panem skontaktuje, zanim my go znajdziemy, czy jest pan gotów poinformować nas o tym?

– Chyba trochę za wiele ode mnie wymagacie – odpowiedział ostrożnie Jacko..

– Proszę pana tylko, by spełnił pan swój obywatelski obowiązek.

O Boże, pomyślał Nailsworth, znów te dyrdymały!

– Zapewne zdaje pan sobie sprawę, sir, że będziemy musieli sprawdzić pana wiarygodność? – Thorne kontynuował spokojnie. – Takie rutynowe pytania. Przypuszczam, że ma pan współnika?

– Nie. – Po raz pierwszy Jacko wyglądał trochę niepewnie.

– To musi być dla pana dość kłopotliwe – te przyjazdy do Southbourne? Odwoływanie wizyt w ostatniej chwili?

– Wizyt?

– Pacjentek. Mówił pan przecież, że jest lekarzem, prawda? Praktykuje pan?

– O, tak. Prowadzę prywatny gabinet. Nie mam wielu pacjentek. Mam trochę oszczędności.

– A tak, rozumiem. – Thorne rzekł to tak, że zabrzmiało wyjątkowo złowieszczo. – Gdy przeczyta pan i podpisze oświadczenie, nie będziemy już pana odrywać od obowiązków zawodowych.

Zapadła cisza. Wreszcie przyniesiono zapisane na maszynie kartki papieru. Cisza panowała także, gdy Jacko czytał, a potem podpisał oświadczenie.

– Proszę również o parafkę na każdej stronie, sir – powiedział Thorne. – To już wszystko. Na razie. Być może będziemy się z panem kontaktować. Miłego dnia, doktorze Jaques.

Czyżby wymówił słowo „doktorze” z ledwie wyczuwalnym naciskiem? Nailsworth nie wiedział, co zamierza jego kolega, ale pozwolił mu rozegrać to po swojemu. Zdawało się, że obaj policjanci zupełnie stracili zainteresowanie świadkiem: Thorne nawet odwrócił się plecami, kiedy doktor Jaques wychodził, i to właśnie do pleców Thorne'a zwrócił się Jacko, gdy stał już w drzwiach:

– Jeszcze jedno. Gdyby Hugo się ze mną skontaktował, jak mam się zachować?

Nailsworth długo i powoli wypuścił powietrze. Thorne, nie patrząc na Jacko, odparł:

– To pana sprawa, doktorze. Może się pan z nim umówić w jakimś publicznym miejscu. I ma pan nasz numer telefonu...



Jacko cofnął się od drzwi.

– Sugeruje pan, że powinienem być obecny przy tym, jak będziecie go aresztować?

– Powinniśmy zatrzymać go na przesłuchanie. Możemy zatrzymać również pana, jeśli tak będzie panu łatwiej, doktorze.

– Ale, do cholery, to mój przyjaciel.

– Pewnie to dla pana bardzo bolesne. No cóż, to pana sprawa... A, jeszcze jedno, doktorze – dodał Thorne, gdy Jacko ponownie stał w drzwiach. – Ta dziewczyna, Daisy Bland. Czy Chesterman zamierzał się z nią ożenić? W najbliższej przyszłości?

– Nie, nie wiem, naprawdę. Dlaczego?

– Tak tylko się zastanawiałem. Czy jest w dobrym zdrowiu? – Głos Thorne'a brzmiał wesoło i obojętnie.

– O tak. To silna młoda kobieta. Ale nie...

– Składanie zeznań w sądzie może być dla niej bardzo męczące. Myśli pan, że poradzi sobie w obecnym stanie?

– Ależ drogi panie, to niemożliwe, by złożyła zeznania przeciwko niemu.

– Dlaczego? Nie jest przecież jego żoną.

Jacko milczał chwilę, zanim odpowiedział:

– Ach, rozumiem... Mnie chodziło o to, że jest bardzo do niego przywiązana. Nie zrobiłaby tego.

Drzwi ledwie zamknęły się za doktorem, a główny inspektor już wydawał przez wewnętrzny telefon polecenie, by go śledzono.

– A teraz słucham, mój panie – zwrócił się stanowczo do Thorne'a. – Oczekuję wyjaśnień.

– Tak, sir? – spytał niewinnie Thorne.

– Och, żarty na bok. Właściwie podpowiedział pan temu draniowi, żeby *pronto* załatwił małżeństwo między Chestermanem i tą dziewczyną. Żona nie może zeznawać przeciwko mężowi. A bez zeznań tej dziewczyny nie mamy żadnych szans. Pan chyba oszalał...

– Ależ nie, inspektorze. Właśnie dałem mu do zrozumienia, że za skarby nie może dopuścić, by wzięli ślub.

Nailsworth wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę myśli pan, że... Ale przecież on ich lubi. Musi ich lubić – pomógł Chestermanowi i przyjął dziewczynę do swego domu.

– Być może lubi dziewczynę. Być może nawet lubi ją ciut za bardzo.

Przychodzi tu, niby niechętnie – to bardzo nieprzyjemne donosić na swego najlepszego przyjaciela, ale każdy uczciwy obywatel musi służyć Prawu – i pogrąża tego Chestermana. Już go widzę, jak przed egzekucją pociesza dziewczynę. Gdy masz kłopoty, nie majak stary, dobry przyjaciel rodziny... – Thorne mówił to wzburzonym, rozgoryczonym tonem, jakiego Nailsworth nigdy wcześniej u niego nie słyszał.

– Spokojnie, przyjacielu. To prawda, dziwny z niego typ, ale...

– Jest zepsuty do szpiku kości. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie myśleć o nim bez obrzydzenia. Gra nie fair. A ten Chesterman, jeśli to on zrobił, też grał nie fair. Więc i ja muszę tak grać. Czasami żałuję, że nie mam jakiejś przyzwoitej, czystośćkiej pracy – jak oczyszczanie ścieków czy czegoś w tym rodzaju.

## *Aresztowanie w Londynie*

Dwa dni później Jacko siedział sam przy stoliku w bufecie na stacji Charing Cross. Siedział, opierając łokcie na blacie stolika, który wcześniej starannie wytarł czystą chusteczką do nosa. Przypominał szachistę, który wykonawszy bardzo dobry ruch nie dekoncentruje się, lecz już myśli o tym, jak obronić się przed odpowiedzią przeciwnika. Od czasu do czasu spoglądał na drzwi na wprost niego, ale spojrzenie to było nieobecne, jakby bardziej zajmowały go własne myśli niż rychłe nadejście osoby, na którą czekał. Zanim napił się kawy, delikatnie otarł brzeg filiżanki, po czym znów oparł głowę na dłoniach, powracając do pełnej skupienia pozy. Nikt, kto by mu się przyglądał, nie domyśliłby się nadzwyczajnej radości, jaka go przepełniała.

Po powrocie z Southbourne dwa dni temu napisał do Hugo Chestermana na adres, który otrzymał od niego, prosząc go o spotkanie. Gdyby Hugo nie mógł przyjść, miał zadzwonić do domu Jacko. Wczoraj nie zadzwonił, bez wątpienia mógł więc pojawić się w każdej chwili... Na moment przerwał rozmyślania, by delektować się finezją swego listu do Hugo: nie zobowiązując się do niczego, dał mu do zrozumienia, że w związku z pewnymi wydarzeniami spotkanie to jest koniecznością. Jako że cisza ze strony Hugo oznaczała zgodę, wczoraj

wieczorem zadzwonił do inspektora Thorne'a ze Scotland Yardu, by poinformować go o spotkaniu.

– Oczywiście – powiedział na koniec krótkiej rozmowy – będą panowie udawać, że aresztują i mnie.

Przyjemnie było tak siedzieć i rozkoszować się własnymi znakomitymi posunięciami. Miał wręcz nadzieję, że Hugo nie przyjdzie zbyt punktualnie i nie przerwie tych rozmyślań. Nie nienawidził Hugo, w każdym razie nie bardziej niż tarantula swojej ofiary. I w każdym razie nie teraz. Bywały takie chwile, gdy Hugo wchodził mu za skórę – „Och, Daisy jest z tobą zupełnie bezpieczna” – zabolalo to na krótko, ale zaraz zapominał o tych lekkich, lecz jadowitych przytykach; był w stanie wręcz delektować się każdym ze swych dziwactw, z wyjątkiem impotencji. Nie, przyjemność, którą teraz odczuwał, nie mieszała się z nienawiścią – była to czysta przyjemność płynąca z poczucia władzy. Już wcześniej igrał z ludzkim życiem, ale nigdy nie w ten sposób. Poczucie kontroli nad losem Hugo i Daisy było wręcz fizyczne – podniecająca, stymulująca przyjemność – mocniejsza niż narkotyk. Ryzyko, na jakie się przy tym narażał, dodatkowo zwiększało to doznanie.

Pomyślał teraz o Daisy Bland. Jej uroda, podobnie jak nieostrożne słowa Hugo, jeszcze bardziej go denerwowały. Jej zaufanie do niego dodawało pikanterii tej zimnej, niebezpiecznej grze, jaką prowadził. O tak, pożądał jej, bez problemu przyznawał się przed samym sobą, że widok jej nieszczęścia sprawiał mu erotyczną przyjemność, ale był w stanie podporządkować żądze grze władzy, która dawała mu znacznie większą satysfakcję.

Przechodząca obok mała dziewczynka potknęła się o jego wyciągniętą nogę. Pomógł jej wstać, otrzepał płaszczyk, zrobił kilka zabawnych min i w dobrym nastroju oddał ją matce. W myślach powrócił gładko do sprawy Hugo i Daisy. Ich miłość, tak żarliwa i hermetyczna, zawsze go drażniła. Odczuwał niejasną potrzebę, nawet nie żądę zemsty, lecz beznamietnie nieodparte pragnienie zbezczeszczenia jej – ściągnięcia na dół, do swego poziomu, tak jak chuligan chce roztrzaskać witraż czy piękny obraz, których samo istnienie go drażni, gdyż wyraża swego rodzaju prawdę będącą poza jego zasięgiem. W tej chwili Jacko zrozumiał, że gdyby udało się przekonać Daisy Bland do złożenia zeznań przeciw ukochanemu, z własnej woli, bez nacisków ze strony policji, zamieniłoby to ich miłość w proch skuteczniej niż jakikolwiek inny sposób.

Bowiem tego Hugo nigdy by jej nie wybaczył ani Daisy sama by sobie nie wybaczyła.

Jacko rozważał ten pomysł z pełną respektu fascynacją artysty, który podejmuje się zadania wręcz niemożliwego, z przekonaniem, że jeśli mu się uda, stworzy arcydzieło. Musi też przekonać albo zmusić dziewczynę, by uwierzyła, iż zostanie oskarżona o udział w morderstwie, jeśli nie złoży zeznań przeciwko Hugo. Była wystarczająco głupia, wystarczająco uległa, by w to uwierzyć. Ale – w tym właśnie najtrudniejsza przeszkoda – czy to zadurzone stworzenie w ogóle się tym przejmie? Czy nie będzie wolała umrzeć z Hugo, skazana za udział w zabójstwie, niż żyć bez niego? Jest jeszcze dziecko, oczywiście – Jacko zapomniał o dziecku. To najlepszy sposób, by osłabić jej opór. Gdyby udało mu się przekonać Daisy, iż to sam Hugo chce, żeby tak zeznawała, by ochronić przyszłość jej i dziecka, miał szansę ją złamać.

Misterność, subtelna ironia tego planu sprawiła, że Jacko zatarł dłonie. Ta zaślepiona dziewczyna, z tą swoją śmieszna miłością do Hugo, była w stanie uwierzyć w jego heroiczne postępowanie, a każdy, kto jest do tego stopnia naiwny, powinien za to zapłacić. Myśl o niewinności znieważonej i upodlonej jego własnymi rękami podniecała Jacko tak, jak widok gwałtu mógłby podniecić jakiegoś innego, prostszego nikczemnika. Gdy rozmyślał nad tym planem, nawet przez chwilę nie krył przed samym sobą, bez choćby odrobiny hipokryzji czy oszukiwania samego siebie, potworności swych zamierzeń. Trudno nawet stwierdzić, że w stanie radosnego podniecenia utracił poczucie tego, co dobre i złe, gdyż nigdy nie miał żadnych moralnych punktów odniesienia.

To właśnie brak motywu w zachowaniu Jacko najbardziej wstrząsnąłby osobami zaangażowanymi w sprawę Chestermana: ponieważ istnienie motywu, choćby najbardziej haniebnego, sprawia, że zło staje się rozpoznawalne, znośne, ludzkie. Bardziej naiwni próbowali wyjaśnić tę nieuzasadnioną zdradę Hugo i Daisy chęcią odebrania mu dziewczyny. Zapominali jednak o tym, że gdyby tak się stało, nic w świecie nie zmusiłoby Daisy, by mieć z nim do czynienia, a także o tym, że Jacko był zbyt inteligentny, by nie zdawać sobie z tego sprawy. Psychologowie, w dobrze płatnych artykułach dla popularnych pism, opierając się na skąpych informacjach o przeszłości Jacko, do jakich udało się dokopać reporterom, zanim policja wywiozła go potajemnie za granicę, upatrywali przyczyn w dzieciństwie Jacko: był jedynym synem rozwiązłej

neurotyczki, która na przemian rozpieszczała go i traktowała z zimną pogardliwą obojętnością, ciągnąc po Europie w towarzystwie kolejnego kochanka albo zostawiając w szkołach z internatem – jak niechciany ludzki bagaż. Tym reżimem psychologowie tłumaczyli jego zazdrość o normalne ludzkie szczęście, chorobliwą potrzebę i umiejętność wywierania wpływu na życie innych, a w głębokiej nienawiści do matki upatrywali przyczynę tego, iż wykorzystywał swe talenty w zabiegach przerywania ciąży.

A może jednak najbliższy wyjaśnienia był inspektor Thorne, który – gdy proces już się zakończył – miał powiedzieć Nailsworthowi: „Tego Jaquesa należałoby zamknąć w szklanym słoju, w muzeum, i podpisać: Jedyne znany okaz totalnie nieodpowiedzialnego człowieka poza domem wariatów...”

Gdy Jacko podniósł wzrok, zauważył Nailswortha i Thorne'a przechadzających się wśród tłumu za drzwiami bufetu. Spojrzał na zegarek. Hugo miał tu być pięć minut temu. Nie zmartwiło go to zbyt – wydawało się niemożliwe, by kurtyna w sztuce, którą tak starannie napisał i przećwiczył w myślach, miała się nie unieść.

Drzwi otwarły się. Wszedł Hugo Chesterman. Jak zwykle opanowany i ostrożny, wcale nie wyglądał jak człowiek ścigany. Rozejrzał się po sali, pomachał wesoło do Jacko, po czym zamówił filiżankę kawy, podszedł i usiadł obok niego.

– Cześć, stary, miło cię spotkać – rzekł. – Jak rodzina?

Jacko z rozmysłem lekko wyduł usta, zanim odpowiedział.

- Daisy ostatnio nie czuje się najlepiej.
- Przykro mi to słyszeć. Ale to nic poważnego, mam nadzieję?

Nagły niepokój, jaki Jacko wyczuł w bezceremonialnym głosie Hugo, sprawił mu przyjemność.

- Zamartwia się, oczywiście – odparł. – Nie miała żadnego znaku od ciebie...

– Mam dla niej list. Weźmiesz go? – Hugo podał mu kopertę. – To ją podniesie na duchu. Nie ma jakichś reperkusji naszej wyprawy nad morze, mam nadzieję?

Jacko zniżył głos.

- Dlatego właśnie chciałem się z tobą zobaczyć. Daisy chce, byś się z nią ożenił.

– Wiem. – W oczach Hugo Jacko zobaczył spojrzenie pełne ufności i tkliwości, które go rozdrażniło. – Ale chyba nie teraz?

– Właśnie o to chodzi, Hugo. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jeśli policja coś zwęszy, zaczną ją wypytywać. Jeśli się z nią ożenisz, nie będzie musiała zeznawać przeciwko tobie w sądzie. A jeśli będzie musiała zeznawać, złamię się.

- Jeśli, jeśli, jeśli. Za bardzo się przejmujesz. Poza tym dlaczego policja miałaby coś zwęszyć?

- No dobrze, skoro ty się nie przejmujesz...

– Cholernie dobrze wiesz, że wcale nie jestem zadowolony, stary draniu. Ale wstępowanie w święte więzy małżeństwa wymaga publicznego wystąpienia, a dopóki nie przyskrzynią tego z Southbourne, im tego mniej, tym lepiej.

- Więc zdecydowanie nie chcesz uczynić z niej uczciwej kobiety?

– Mój drogi Jacko – rzekł Hugo, w jednym z rzadkich przyływów szczerości, otwartości, który zdawał się czynić z niego innego człowieka – nikt naszego pokroju nie mógłby zrobić nic, co uczyniłoby ją uczciwszą, niż jest, ani nic, co by ją zepsuło. To prawdziwy klejnot.

Uśmiechając się do Hugo, Jacko lekko wzruszył ramionami. Aż gotowało się w nim z wściekłości. Zauważywszy Nailswortha i Thorne'a za szybą, wyjął chusteczkę i otarł usta.

– Przypuszczam, że nigdy się nie dowiem – powiedział powoli, wbijając w niego wzrok – czy to ty zabiłeś tego policjanta, czy nie.

Dwaj inspektorzy, wezwani wcześniej umówionym sygnałem Jacko, weszli do bufetu i, w towarzystwie kilku policjantów w cywilu, spokojnym krokiem mijali kolejne stoliki.

Hugo posłał Jacko tajemnicze, bezczelne spojrzenie:

- Przypuszczam, że nigdy się nie dowiesz. Taka nieznośna zagadka dla ciebie.

W tej samej chwili Nailsworth położył mu dłoń na ramieniu. Przez sekundę czy dwie Hugo nawet się nie poruszył, potem powoli rozejrzał się wokół. Tymczasem Nailsworth mówił:

- Hugo Chesterman, policja. Mam nakaz aresztować pana...

– Cholera jasna! – Hugo obrócił się ku Jacko. Na ramieniu małego człowieczka zobaczył dłoń Thorne'a.

– To oburzające – krzyknął Jacko. – Kim, do diabła, jesteście? Skąd mam mieć pewność, że z policji? Ten dżentelmen to mój przyjaciel. To chyba jakaś potworna pomyłka.

Jacko wyglądał na kompletnie wytrąconego z równowagi. Spoglądał z niedowierzaniem to na Hugo, to na policjantów. Naprawdę, pomyślał Hugo, biedny stary Jacko świetnie to rozgrywa, ale ja jestem zgubiony. Rozejrzał się po sali – połowa gości powstawała ze swoich miejsc, niektórzy tylko się przyglądali, inni podchodzili bliżej. Zauważył dwóch policjantów w cywilu przy drzwiach. Napięte mięśnie rozluźniły się. Najmniejszych szans ucieczki. Och, Daisy, Daisy – rzekł do siebie w myśli.

Ledwie dochodziły do niego słowa drugiego policjanta do Jacko: – ...zatrzymać pana na przesłuchanie w związku z zabójstwem inspektora policji Stone'a w Southbourne.

Jacko był tak oburzony, że z trudem coś odpowiadał.

Był to niezły pokaz, Jacko starał się, jak najlepiej potrafił, ale Hugo nagle zrobiło się od tego niedobrze.

– Uspokój się, Jacko. Później możesz pozwać ich za bezprawne zatrzymanie. Te prostaki z policji są w stanie skupić się naraz na tylko jednej rzeczy.

Nagle poczuł ostry ból w ramieniu. To silne palce Nailswortha ścisnęły mięsień. Spojrzawszy na dużą, różową twarz inspektora, niewzruszoną, jak z bazaltu, Hugo poczuł przedsmak tego, co miało nastąpić. Uścisk na jakiś czas pozbawił go czucia w prawym ramieniu do tego stopnia, że trudno było mu je podnieść, gdy pojawiły się kajdanki.

**T**ego popołudnia, po powrocie z samotnego spaceru po Holland Park, Daisy zastała w domu czekającego na nią Jacko. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że krzyknęła:

– Co się stało? Gdzie byłeś przez cały dzień?

– Daisy, przygotuj się na złe wiadomości. Usiądź, moja droga, i postaraj się zachować spokój.

Usiadła posłusznie, bez słowa, ze śmiertelnie pobladłą twarzą.

– Hugo został aresztowany.

– Och, *nie!*

– Najgorsze jest to, że... Obawiam się, że to moja wina.

– Zabrali go? Do więzienia? – Daisy zdawała się nie słyszeć ostatnich słów.

– Musieli mnie śledzić – Bóg jeden wie, dlaczego. – Jacko wyjrzał przez muślinową firankę. –

Nawet teraz jakiś człowiek stoi za oknem.

– Nie rozumiem.

– Widzisz, Hugo poprosił mnie, bym spotkał się z nim dziś rano. Na stacji Charing Cross. A...

– Och, nie powiedziałaś mi! Dlaczego mi nie *powiedziałaś*? – Niski chropowaty głos Daisy brzmiał tak, jakby serce jej pękało.

– Nie chciał narażać cię na niebezpieczeństwo. Musieli mnie śledzić przez całą drogę. Rozmawialiśmy tylko przez chwilę, w bufecie na stacji, gdy policja...

– Dobrze się czuje? Jak on wyglądał?

– Tak, moja droga. Całkiem dobrze.

– Dał ci dla mnie jakąś wiadomość? List?

– Pozdrawia cię. Wiesz, że pisanie listów to nie jest jego mocna strona. Prosił, bym ci powiedział, że jeśli miałyby zdarzyć się najgorsze, nie powinnaś przed policją nic ukrywać...

– Muszę natychmiast się z nim zobaczyć. Gdzie on jest? – wykrzyknęła wzburzona, podnosząc się z krzesła.

– Daisy, proszę! Uspokój się! Usiłuję wymyślić, jakie jest najlepsze wyjście z tej sytuacji. To naprawdę strasznie skomplikowane. Widzisz, ja też zostałem aresztowany.

– Ale... wypuścili cię?

– Musieli w jakiś sposób zorientować się, że byłem w Southbourne – wtedy, gdy Hugo wysłał SOS. W każdym razie zatrzymali mnie na przesłuchanie. Trzymali mnie tam godzinami. Oczywiście, nic im nie powiedziałem.

– Och, wiedziałam, że tak będzie! Wiedziałam, że tak będzie! – Daisy płakała z twarzą ukrytą w

dłoniach. – Co z nim zrobią?

Z zadowoleniem przypatrując się pochylonej głowie dziewczyny, Jacko wydał wargi. Po czym niespiesznie, jakby zakrapiając jej słowa do uszu pomiędzy zasłaniającymi je palcami, rzekł:

– Przypuszczam, że zabiorą go do Southbourne na okazanie\*. A potem postawią przed sądem pokoju.

\* Okazanie – przedstawienie świadkom kilku osób, w tym podejrzanych w celu identyfikacji.

Daisy aż cała zadrżała.

– Co robić! Nie potrafię mu pomóc! Lepiej by było, gdybyśmy wcale nie pojechali do Southbourne! Choć byliśmy tam tacy szczęśliwi.

– Jestem pewien, że niedługo będziesz mogła go odwiedzić. A jeśli dojdzie do rozprawy, znajdziemy mu dobrego adwokata.

– Ale ja chcę móc coś zrobić w tej chwili.

– Uspokój się. To dosyć delikatna sprawa. Dla mnie. Policji wcale się nie podobało, że pomogłem Hugo wydostać się z Southbourne. A lekarze muszą być bardzo ostrożni...

Daisy potrząsnęła swą śliczną główką.

– *Wiem!* Mark!

– Mark?

– Brat Hugo. Musi nam pomóc. Zaraz do niego zadzwonię.

Jacko uniósł rękę, jakby chciał ją powstrzymać. Ale Daisy już biegła do hallu. I zaraz usłyszał szelest przrzuconych kartek książki telefonicznej, a potem głos Daisy:

– Mark? Tu Daisy. Daisy Bland. Coś strasznego przydarzyło się Hugo. Musimy natychmiast się spotkać... Nie, nie. Jak się spotkamy. Zaraz zadzwonię po taksówkę.

Dwie minuty później Daisy znów była w salonie. Zdążyła już wziąć płaszcz z pokoju na piętrze. Z błędnym, pełnym determinacji spojrzeniem kobiety wiedzionej instynktem, ominęła Jacko i odsunęła firankę.

– Nie zatrzyma mnie, prawda?

– Kto? A, ten tajniak. Zaraz zobaczymy.

Daisy grzebała w sfatygowanej portmonetce.

– Jacko... Obawiam się, że nie wystarczy mi na taksówkę. Czy mógłbyś...

– Jadę z tobą.

– Och, jesteś dla mnie taki dobry! Byłam przerażona na myśl o spotkaniu z żoną Marka. Ale czy masz na to czas?

– Za nic bym z tego nie zrezygnował – odparł Jacko, chichocząc.

Podjechała taksówka. Gdy Jacko pomagał Daisy wsiąść, podszedł do nich policjant w cywilu i pokazując legitymację, powiedział:

– Czy mogę spytać, dokąd zabiera pan tę panią, sir?

– Do domu jej szwagra.

Daisy nie słyszała więcej, ponieważ mężczyźni odeszli trochę dalej, by ich głosy nie docierały do ciekawych uszu taksówkarza. Wreszcie Jacko wsiadł i pojechali.

– Załatwione – rzucił wesoło.

Daisy była zbyt poruszona, by zainteresować się, jak mu się to udało tak łatwo. Długa jazda na północ Londynu upłynęła im niemal w milczeniu. Daisy powtarzała sobie w myślach prośbę, z jaką musi zwrócić się do Amberleyów, podczas gdy Jacko zastanawiał się, co zrobić, by obrócić to spotkanie na swoją korzyść.

Uznał, iż niechęć Gertrude Amberley do jego osoby będzie jego kartą atutową.

Mark Amberley wprowadził ich do salonu, gdzie Gertrude siedziała wśród porzucanych na podłodze książek. Podniosła się, by przywitać Daisy, zaś do Jacko chłodno skinęła głową. W czasie rozmowy można było zauważyć, że mimo wysiłków, by na nią nie patrzeć, zaokrąglona figura dziewczyny przyciągała jej wzrok.

– Hugo został aresztowany – powiedziała Daisy. – Za to zabójstwo w Southbourne. On tego nie zrobił. Musicie mi pomóc...

– Aresztowany? Dobry Boże! – Mark zaciskał nerwowo dłonie, spoglądając z udręczeniem na żonę.  
– Kiedy to się stało?

– Ty opowiedz, Jacko.

Jacko przedstawił swoją wersję wydarzeń z Charing Cross.

– Zwolnili mnie po kilku godzinach – zakończył. – Jestem wręcz zaskoczony, że nie oskarżyli mnie o współudział po fakcie.

– Bo pożyczyłeś Hugo pieniądze na wyjazd z Southbourne? – spytała zjadliwie Gertrude.

– Tak. Przypuszczam, iż również dlatego, że nie poinformowałem policji od razu po tym, jak usłyszałem historię Hugo. Ale, jak im powiedziałem, moja zawodowa reputacja...

– A co z zawodową reputacją Marka? – rzekła Gertrude, jej wysoki głos nauczycielki zrobił się piskliwy. – Hugo też go w to wciągnął. Byłam przeciwna temu, byś jechał do Southbourne, Mark, choć nie wiedzieliśmy, o co chodzi. A teraz będziesz musiał zeznać w sądzie, że pomogłeś przestępcy w ucieczce. Nie mam już cierpliwości do...

– Gertrude, jesteś niesprawiedliwa. – Mark zaprotestował z nietypową dla siebie stanowczością. – Nie masz prawa przesądzać sprawy. Dowody może i świadczą przeciw niemu, ale policja też się czasem myli.

– Jak możesz tak mówić? – krzyknęła Daisy. – Hugo jest twoim bratem! Oboje mówicie, jakby był – jakby był kimś, o kim przed chwilą przeczytaliście w gazecie. Ja go *znam*. Postępował źle, ale nigdy by nikogo nie zabił. Musicie mu wierzyć. Jeśli my tego nie zrobimy, nikt nie będzie mu wierzył. Trzeba mu pomóc, a nie dyskutować, jakby to był ktoś obcy.

Prawie zapomniała o przemowie, jaką sobie przygotowała. Ale teraz wrażenie wywierały nie jej słowa, lecz gorąca wiara i miłość, jaka się za nimi kryła, i rozpacz na bladej, proszącej twarzy.

Mimo swych intelektualnych pretensji, purytanizmu i neurotycznego strachu przed bardziej prymitywnymi przejawami życia, które wykraczały poza jej doświadczenie, Gertrude Amberley nie była w zasadzie zła, ani nawet nieczuła. Podbródek jej drżał, a twarz zaczerwieniła się, jakby przyłapano ją na odstępstwie od jej sztywnych, krytycznych zasad. Bez cienia swego typowego, ostrego, obronnego tonu powiedziała:

– Ma pani rację, panno Bland. To nie jest jakiś abstrakcyjny problem. Obawiam się, że Mark i ja mamy skłonność, by... by kierować się raczej intelektem. A ja nie potrafię udawać, że pochwalam zachowanie Hugo. Ale oczywiście chcemy pomóc. Problem tylko...

– Wiedziałam, że tak będzie! – Ta nieoczekiwana zmiana tonu sprawiła, że w oczach Daisy pojawiły się łzy. – Ja się na tym nie znam. Ale możemy chyba poszukać adwokata – czy nie to powinniśmy zrobić w pierwszej kolejności?

– Oczywiście – odparł Mark, idąc za przykładem żony. – Przynajmniej tyle możemy zrobić.

– I tak się martwię o to, co wydarzyło się tutaj. Gdy Hugo wyjął ten pistolet. Byłoby dla niego bardzo źle, gdyby... – dodała Daisy.

– Można mieć tylko nadzieję, że policja się o tym nie dowie – wtrącił Jacko. Próżną nadzieję, ponieważ zdążył już im o tym powiedzieć.

Spoglądał to na Gertrudę, to na Daisy. Malujący się na jego twarzy wyraz zaniepokojenia i współczucia skutecznie maskował prawdziwą obawę, by Daisy nie udało się przeciągnąć starszej kobiety na swoją stronę.

– Nie wiem, skąd policja miałaby się o tym dowiedzieć – powiedział Mark.

– O ile ty albo twoja żona im nie powiecie – odparł gładko Jacko.

– Cieszę się, że społecznikowskie zapędy Gertrude nie posuwają się tak daleko. Z tego, co słyszałem, był to w końcu tylko niewinny żart Hugo. I tak już było wokół tego za dużo zamieszania.

Bardzo zgrabnie to rozegrał. Przelotne spojrzenie na Daisy przy słowach „z tego, co słyszałem”, sugerujące, iż to ona zminimalizowała wagę tego zdarzenia, opowiadając o nim Jacko, i lekki, pogardliwy ton z całą siłą trafiły we wcześniejsze wrogie nastawienie Gertrude, przypominając jej dzień, w którym musiała ukorzyć się przed Hugo, w najwyższym stopniu przerażona i poniżona, a także o jej neurotycznym wybuchu skierowanym przeciw Daisy, który był tego przyczyną.

Głos Gertrude stał się nagle zimny i ostry.

– Ma pan dziwne pojęcie o niewinnych żartach, doktorze Jaques. Gdyby był pan przy tym obecny, być może wypowiedałby się pan z mniejszym przekonaniem. Grożono mi rewolwerem, a mój szwagier wyraźnie miał złe zamiary. Mark może to potwierdzić. Zdaje się, że relacja panny Bland nie jest do końca wiarygodna.

– Och, nie bądź taka sztywna, Gertrude! – Jacko z premedytacją wypowiedział te słowa zuchwałym tonem. – Każdemu zdarza się stracić cierpliwość, a nie możesz winić Hugo za to, że właśnie jemu to się zdarzyło, po tym jak zrobiłaś z siebie widowisko, nazywając Daisy dziwką i nie wiem, co jeszcze.

– Widzę, że Daisy... panna Bland wszystkim o tym opowiedziała! – wykrzyknęła Gertrude z wściekłością.

– Och, proszę, nie kłómy się teraz! Czy to ważne? Hugo jest w strasznym niebezpieczeństwie. Nie rozumie pani tego? – wtrąciła szybko Daisy.

– Doskonale rozumiem. Nie jestem idiotką. I nie mam zamiaru, doktorze Jaques, biec na policję z tą podłą historyjką.

– Oczywiście, że nie – powiedział nerwowo Mark.

– Ale jeśli mnie o to zapytają w sądzie czy gdzie indziej, będę zmuszona przedstawić fakty. Obiektywnie.

– Obiektywnie? Niech więc Bóg ma nas w swej opiece – zawołał Jacko, wymachując rękami.

– Och, Gertrude! Proszę! Chyba nie myśli pani tego naprawdę? Zwłaszcza gdyby to miało... miało doprowadzić do tego, że go powieszają?

– Nikogo nie wieszają za to, że *nie* strzelał z rewolweru – odparła Gertrude, a usta lekko jej zadrżały.

– Wie pani, że nie to mam na myśli – Daisy podniosła się z trudnością i patrzyła teraz na Gertrudę z dzikim wyrazem twarzy, który stopniowo przeszedł w pełen rozpaczny spokój, gdyż ta unikała jej spojrzenia.

– Chodzi o to, oczywiście, że – powiedział Mark jak wykładowca, który sprowadza dyskusję na właściwe tory – to nie do pomyślenia, by tak po prostu poinformować o tym policję. Ale jeśli zapytają nas, czy wiadomo nam coś o gwałtownym usposobieniu Hugo...

– Wtedy nasza kochana Gertrude nie będzie mogła skłamać – dokończył Jacko tonem, w którym



pobrzmiwała odraza.

Daisy odwróciła się do Marka. Piękna i rozgniewiona jak lwica, zapytała:

- Uważasz, że Hugo to zrobił?
- Ależ Daisy, nie o to chodzi. Ja...
- Uważasz, że twój brat zastrzelił tego policjanta?

Mark Amberley odwrócił głowę, jakby jej rozżarzone, błękitne oczy paliły mu twarz.

- Nie wiem – odparł żałośnie. – Nie można być tego pewnym.

Daisy mocno zmienionym głosem rzekła:

- To nie ma sensu, Jacko. Nie chcą nam pomóc.

I zanim Amberleyowie zdążyli coś powiedzieć, wyszła z pokoju. Na chodniku odwróciła się do Jacko, który natychmiast ruszył za nią.

– Hugo i ja możemy ufać tylko tobie. – Jej oczy przyglądały się badawczo jego twarzy w świetle latarni. – Ty wierzysz Hugo, prawda?

- Oczywiście, że tak, głuptasku.

Doszli do głównej ulicy. Wtedy Daisy powiedziała:

– Rozumiem Marka. Chce być uczciwy. To dla niego bardzo ważne być uczciwym, prawda? Nawet jeśli chodzi o jego brata?

– O tak – odparł Jacko, po czym z mimowolnym grymasem wściekłości, który był jedyną reakcją na jego własną podłość, dodał: – Można by powiedzieć, że robi z tego zawód.

## 16.

### *To jasne*

Następnego ranka, w sobotę, Hugo Chesterman został przewieziony do Southbourne. Przygotowania na jego przyjazd, właściwie bez precedensu w historii kryminalistyki, były wynikiem narady komisarza z głównym inspektorem policji Nailsworthem, jaka odbyła się poprzedniego wieczoru. Komisarz Allison, choć przystał na to, by wykorzystać doktora Jaquesa jako przynętę, miał z tego powodu skrupuły i był zdecydowany postępować wobec oskarżonego tak uczciwie, jak tylko się da.

– Bardzo wiele zależy od wyników okazania, Nailsworth. Southbourne to małe miasto i ludzie bardzo żałują biednego Stone'a. Wszyscy wiedzą, że kogoś aresztowano. Jutro rano zobaczysz na stacji tłumek czekających na jego przyjazd ciekawskich. Posłuchaj więc: nie chcę, by którykolwiek z naszych świadków zobaczył Chestermana czy jego zdjęcie, albo by jacyś gapie – na stacji czy po drodze, gdy będą go tu przewozić – opisali im, jak wygląda.

- Zarzuci mu się płaszcz na głowę, sir. To wystarczy.

– Obawiam się, że nie. Mógłby się zsunąć. Jakiś sprytny dziennikarz może mu go zerwać. Musimy zrobić wszystko, jeśli sprawa trafi do sądu, by obrona nie mogła powiedzieć, że świadkowie byli do niego źle nastawieni – nawet poprzez plotki o wyglądzie Chestermana. Zdajesz sobie sprawę, Nailsworth, że jeśli Jaques będzie świadczyć w sądzie, i tak zrobi się wystarczająco duży szum na temat metod stosowanych przez policję.

- Działalem tylko zgodnie z... – zaczął chłodno Nailsworth.
- Nie krytykuję cię. Ostrzegam tylko, że musimy podjąć nadzwyczajne środki ostrożności.
- Co pan sugeruje, sir?

– Chcę, żeby na stacji i w jej pobliżu nie było ludzi, dopóki Chesterman nie wysiądzie z pociągu i nie zostanie bezpiecznie doprowadzony do samochodu policji.

– Dobry Boże, sir, zrobi się rozróżba!

– Musicie sobie z tym poradzić – odparł komisarz Allison z uśmiechem.

– Musi mieć oczywiście na twarzy jakiś kaptur, jak mówiłeś. To samo, kiedy przywieziecie go na posterunek. Trzeba zrobić kordon, by powstrzymać tłum. Każdemu, kto będzie próbował zrobić zdjęcie, skonfiskować aparat.

Główny inspektor z powątpiewaniem potarł podbródek.

– Dobrze, sir, zrobię, co w mojej mocy.

– Wiem. A teraz kwestia okazania...

Komisarz Allison zauważył, że w mieście wielkości Southbourne świadkowie mogą łatwo rozpoznać mieszkańców i automatycznie ich wyeliminować, co byłoby niesprawiedliwe w stosunku do Chestermana. Omówiono sposoby, jak można by tego uniknąć. Wreszcie komisarz Allison zapytał:

– Co to za jeden, ten Chesterman? Co o nim myślisz?

– Twardy jest, sir. Nie wygląda na kryminalistę. Spokojny, mówi jak absolwent prywatnej szkoły, można by pomyśleć, że to dżentelmen. Ale twardej z niego – ma wszystkich gdzieś.

– Powiedział coś?

– Nie przyznaje się, sir. Przesłuchiwalismy go przez kilka godzin. Powiedział, że był tu ze swoją dziewczyną, ale że tego wieczoru, gdy zastrzelono Stone'a, poszli do kina.

– Tak powiedział? Ta Daisy opowiedziała doktorowi Jaquesowi zupełnie inną historię. Co powiedział na zeznania Jaquesa?

Nailsworth spojrział na niego wymijająco.

– Thorne i ja stwierdziliśmy, że najlepiej będzie zostawić to na później, sir.

– Rozumiem. A co z dziewczyną?

– Thorne ma ją przesłuchać dziś po południu.

– Od jej zeznań wiele zależy, prawda?

– Tak, sir – odparł Nailsworth bez wyrazu. A potem, jakby chciał opuścić ten niebezpieczny teren, dodał: – Oczywiście Chesterman zaprzeczył zarzutom. Powiedział, że ktokolwiek to zrobił, zrobił to z powodów politycznych. Że w każdym razie on jest o tym przekonany, że nie ma wątpliwości, iż księżna jest zamieszana w jakieś sprawy polityczne za granicą.

– Pierwotna teoria Thorne'a, zdaje się?

– Tak, sir.

Po chwili komisarz policji zapytał:

– Czy na pewno mamy właściwego człowieka?

– Był skazany za włamanie. Nie może albo nie chce w zadowalający nas sposób opisać tego, co robił w czasie, który nas interesuje. Sprzedawca z Brighton rozpoznał w Daisy Bland kobietę, która kupiła w jego sklepie kaszkiet dokładnie taki sam jak ten znaleziony przez nas w pobliżu, a ten kaszkiet jest w rozmiarze Chestermana. Ponadto wszystko, co Bland powiedziała Jaquesowi – a zwłaszcza to, czego dowiedział się na temat rewolweru Chestermana – potwierdza moje przekonanie, że to on jest mordercą.

– Ale jeśli naocni świadkowie go nie rozpoznają, będziemy musieli polegać głównie na zeznaniach Jaquesa?

– I dziewczyny.

– Założmy, że zaprzeczy, jakoby opowiedziała Jaquesowi tę historię?

– Nie sądzę, sir. Nie na tym etapie. Thorne z niej to wyciągnie. Oczywiście, byłbym bardziej zadowolony, gdybyśmy znaleźli rewolwer. To by rozstrzygnęło sprawę...

– W jedną albo w drugą stronę. Tak. Ale nie można oczekiwać, że dziewczyna nam w tym pomoże.

– Raczej nie – Nailsworth znów mówił beznamiętnie i wymijająco.

Komisarz przyjrzał mu się bacznie. – Ta zbrodnia to była podłość. Ale nie chcemy, żeby dochodzenie też było podłe, na przykład ze względu na wywieranie nacisku na świadków...

– Nie, sir – wielka twarz Nailswortha była kompletnie bez wyrazu. Po czym wykrzywiwszy usta, dodał: – Nie zdziwię się, jak powiedzą, że poturbowaliśmy Chestermana, po tym, jak będziemy go przewozić z nakrytą głową.

– Oczywiście nic takiego nie miało miejsca – stwierdził Allison.

– Bynajmniej nie dzięki jego zachowaniu. W czasie przesłuchania chwilami wręcz się o to prosił, sir. Musiałem bardzo uważać, żeby trzymać ręce przy sobie. Co za bezczelność! Mógłbym przysiąc, że próbował nas sprowokować, żeby go walnąć. Jeszcze nie spotkałem przestępcy, który nienawidziłby policji tak jak on. Szczerze mówiąc, sir, nie zdziwiłbym się, gdyby zastrzelił biednego Herberta tylko dlatego, że był w mundurze.

Komisarz bawił się przez chwilę papierosnicą.

– Nienawidzi nas, tak? Ciekawe dlaczego?

– Obrona z pewnością wysmaży jakąś sztuczkę, żeby nam to wyjaśnić – odrzekł Nailsworth. – Może jego tata sprawił mu kiedyś porządne lanie albo niania nosiła wysokie skórzane buty, więc oczywiście nie mógł ponosić odpowiedzialności za swoje czyny, kiedy strzelał do biednego policjanta.

– Może chciał się zemścić za ten wyrok, który musiał odsiedzieć. A może on nas nabiera?

– Nie rozumiem, sir.

– Założmy, że trzyma w rękawie doskonale alibi, dopóki sprawa nie trafi do sądu. Mógł też tylko tak powiedzieć dziewczynie, że miał się z kimś spotkać w hotelu „Queen's” – taka dodatkowa przynęta dla nas. Wyszlibyśmy na głupków. Bezprawne zatrzymanie – Bóg jeden raczy wiedzieć.

– Ale dlaczego, na miłość boską? Chyba nie myśli pan naprawdę...?

– Nieważne, Nailsworth. Jeśli to było wcześniej ukartowane, stawiałbym na tego Jaquesa. Śliska robota. Pozbyć się Chestermana i dziewczyna zostaje z nim. Nie chciałbym być na jego miejscu, kiedy oskarżyciel się do niego dobierze.

**S**obotni poranek był wilgotny i parny. Ciepła mgła znad morza spowijała miasto. Taką właśnie przytłaczającą atmosferę poczuł Hugo, gdy postawił pierwszy krok na peronie dworca w Southbourne – to oraz nienaturalną dla takiego miejsca ciszę. Niebieski materiał, którym okryto mu głowę, nie pozwalał mu zobaczyć jej przyczyny. Oprócz biletera i policjanta w mundurze oraz kilku bagażowych na stacji nie było żywej duszy.

Ponieważ jechali w pierwszym przedziale pierwszego wagonu, eskortujący Hugo policjanci wyprowadzili go z peronu, zanim pozostali podróżni zdążyli wysiąść. Krótki moment ciszy przerwało tylko trzaśnięcie drzwiczek w którymś z dalszych wagonów. Hugo słyszał teraz tupot stóp za sobą, to było jak pościg, jak pogoń. Zaczął się pocić. Przez materiał, który osłaniał mu głowę, czuł się jak żywcem pogrzebany i byłby go zrzucił, gdyby z obu stron nie trzymano go mocno za ramiona.

Gdy dotarli wreszcie do wyjścia, zdał sobie sprawę, że cisza tu panująca różniła się od tamtej – jak cisza tłumu oczekującego na wyjście drużyn z szatni. Potem dotarł do niego odległy, narastający poszum, z którego nie dało się

wyróżnić nic prócz nuty niechęci, pomruku gniewu, ale i satysfakcji. Oddzielony kordonem policji tłum mógł dostrzec jedynie – zanim Hugo wepchnięto do samochodu policyjnego – drobną, dziwnie zakapturzoną postać, jakby to był jakiś arcykapłan albo ofiara jakichś mających się wkrótce dokonać barbarzyńskich rytuałów, albo też szukający w nowej, strasznej odmianie ciuciubabki. Gdy samochód odjeżdżał, detektyw Thorne usłyszał słaby dźwięk dochodzący spod niebieskiego materiału. Nie miał pojęcia, że Hugo walczy z męczarnią klaustrofobii, choć gdyby nawet wiedział, wcale by się tym nie przejął.

Dwie godziny później w biurze głównego inspektora Nailswortha zebrała się grupa ludzi. Spoglądali na siebie ukradkowo, skrępowani jak pacjenci w poczekalni lekarza specjalisty. Był wśród nich stangret Charles Poore, starszek o kaprawych oczach w wysokim, pożółkłym, sztywnym kołnierzyku z fularem – dla podkreślenia wagi tej chwili. Stawiła się i dziewczyna, maszynistka z urzędu miejskiego, która widziała mordercę zbiegającego z Queen's Parade. Wyraźnie zdenerwowana, co chwilę wyciągała puderniczkę, by – nie skorzystawszy z niej – zaraz wrzucić ją z powrotem do torebki. Rumieniła się przy tym, jakby przyłapano ją na poprawianiu makijażu nad grobem. Obok niej siedział pewny siebie młody mężczyzna, z przyklejonym uśmiechem jak u przewodniczącego klubu młodzieżowego. Przejeżdżał przez Southbourne w czasie wycieczki rowerowej i widział mężczyznę bez nakrycia głowy przechodzącego szybkim krokiem obok hotelu „Queen's” od strony domu księżniczki Popescu niedługo po tym, jak zastrzelono inspektora Stone'a. Pojechał jednak dalej i dopiero wczoraj przeczytał w gazecie informację o poszukiwaniu naocznych świadków, więc przyjechał do Southbourne.

Po przeciwnej stronie siedziały księżna Popescu, jej towarzyszka i ich włoska pokojówka, Velma. Choć żadna z nich nie widziała zabójcy, Nailsworth chciał, by brały udział w okazaniu, na wypadek, gdyby na widok Chestermana przypomniawszy im się, że już go gdzieś spotkały, ponieważ policję wciąż zadziwiał fakt, iż potencjalny złodziej mógłby próbować włamać się do domu w ciemno. Thorne nie wyciągnął nic od Velmy – w naturalny sposób podejrzanej o współudział we włamaniu. Policja nie wykryła też żadnych powiązań między nią a Chestermanem. Thorne jednak wciąż miał nadzieję, że w konfrontacji

z nim Velma może zdradzić się jakąś mimowolną reakcją. W tej chwili ta dziewczyna rodem z Włoch siedziała w biurze Nailswortha, wznosząc do sufitu błyszczące, brązowe oczy i wdychając melodramatycznie cztery razy na minutę.

Księżniczka, wychudzona, otulona futrem kobieta z zafarbowanymi henną włosami i białą jak alabaster orlą twarzą siedziała zagłębiona w lekturze czyichś pamiętników. Wielkie pierścienie na jej palcach błyszczały w ciemnym pomieszczeniu, gdy przerzucała strony. Zdawała się zupełnie spokojna, jakby odcięta od tego, co działo się wokół niej, a gdy jakiś fragment w książce ją rozbawił, wybuchała głębokim, przypominającym wycie śmiechem, który wywoływał wyraźną falę oburzenia wśród siedzącego naprzeciw tria. Jej towarzyszka, pani Felstead, bawiła się nerwowo torebką wyszywaną koralikami, dopóki księżniczka, bez odrywania wzroku od książki, nie wyciągnęła ręki i nie zabrała jej torebki.

Wreszcie wszedł komisarz, a za nim Nailsworth. Ukłonił się księżniczce, która odpowiedziała skinieniem głowy, podała książkę siedzącej obok zdenerwowanej, nijakiej, drobnej kobiecie i przybrała postawę wdzięcznej uwagi. Charles Poore podniósł się z trudem, rżąc, ponuro i apatycznie jak bardzo stary koń za dyszlem, aż komisarz Allison poprosił go, by usiadł.

– Panie i panowie, wiecie zapewne, po co się tu zebraliśmy. Przedstawię pokrótce procedurę. Będą państwo wychodzić na podwórko, pojedynczo. Zobaczają tam państwo grupkę mężczyzn. Jest wśród nich

człowiek aresztowany pod zarzutem zabójstwa inspektora Stone'a. Chciałbym, aby przyjrzeni im się państwo dokładnie. Proszę się nie spieszyć – można również obchodzić ich dookoła, by zobaczyć, jak wyglądają z tyłu, gdyż tamtej nocy jedna z obecnych tu osób widziała mężczyznę na Queen's Parade tylko z tyłu. Wszyscy mają na głowach czapki, ale możecie państwo poprosić, by je zdjęli, jeśli chcecie. Nic innego nie wolno państwu do nich mówić. Jeżeli rozpoznają państwo człowieka, którego widzieliście lub też, w przypadku pań – tu zwrócił się ku księżniczce i jej towarzyszkom – człowieka, którego spotkałyście wcześniej, proszę natychmiast nam go wskazać. Chciałbym jeszcze uzmysłowić państwu, co to jest okazanie – komisarz mówił dalej poważnym tonem – oznacza to, iż będą państwo w stanie przysiąc przed sądem, że są pewni, iż tego właśnie człowieka

widzieliście tej nocy, gdy popełniono przestępstwo. Proszę pamiętać, że będziecie państwo przesłuchiwani. Jeśli tylko wydaje się państwu, iż to *mógł* być ten człowiek, ale nie jesteście pewni i nie będziecie gotowi zeznawać pod przysięgą, to za mało. Rozumieją państwo oczywiście, że po wyjściu z komisariatu nie mogą państwo nikomu opowiadać ani robić żadnych aluzji, jeśli rozpoznają państwo lub będą podejrzewać kogośkolwiek z tych mężczyzn. Cóż, to chyba wszystko. Ale jeśli mają państwo jakieś pytania...

Wszystkie głowy zwróciły się ku księżniczce, gdy niskim głosem, z silnym obcym akcentem, zapytała:

– Czy można im powiedzieć, żeby biegali?

– Pani *wybaczy!* – wykrztusił na to komisarz, lekko wybałuszając oczy.

– Ta młoda osoba – księżniczka wskazała roziskrzoną dłonią maszynistkę, która wyraźnie zadrżała – widziała uciekającego mężczyznę. By móc go zidentyfikować, takie same warunki mogą być pomocne, prawda?

– Och, nie mogłabym! – zaprotestowała maszynistka.

– Moja droga młoda damo – powiedział komisarz Allison – wystarczy, że szepnie pani słówko głównemu inspektorowi. Ale dopiero wtedy, gdy dostrzeże pani podobieństwo w jednym z nich i będzie chciała to potwierdzić.

Księżniczka wzruszyła lekko ramionami, jakby dając do zrozumienia, że nie podobają jej się metody działania brytyjskiej policji w białych rękawiczkach, po czym powróciła do lektury.

Na podwórku za posterunkiem ustawiono sześciu mężczyzn. Hugo Chesterman był trzeci z lewej. Pozostali rozmawiali zdawkowo. Wyglądali na skrępowanych, niezgrabnych jak nowi uczniowie w szkole. Hugo rozejrzał się wokół, po wysokich murach z tyłu i po obu jego stronach. Zdarzało mu się wchodzić na mury wyższe od tych, ale teraz na każdym rogu stali policjanci i byłoby szaleństwem próbować tu ucieczki. Przypomniały mu się słowa Jacko o tym, że ucieczka to jak przyznanie się do winy. Łatwo mówić staremu Jacko – nigdy nie był w więziennej celi. Powiedziano mu, że ma prawo zaprosić jakiegoś przyjaciela albo adwokata oraz wybrać sobie miejsce w rzędzie przed wejściem każdego nowego świadka, ale czuł się zbyt zubożniony, by zawracać sobie tym głowę. Szron rozgoryczenia, cierpienia i rozpaczy okrył jego myśli.

– Uwaga! – zawołał Thorne.

Mężczyźni w rzędzie zeszywnieli, gdy z tylnych drzwi wyłonił się Nailsworth, a za nim Charles Poore. Stary stangret włókł się smętnie wzdłuż rzędu mężczyzn na swych pałkowatych nóżkach, zatrzymując się, by przyrzeć się twarzom poszczególnych mężczyzn. Hugo stał spokojnie, dłonie trzymał splecione przed sobą. Stangret zatrzymał się przed Hugo, mrużąc coś do siebie i mrużąc oczy, po czym poszedł dalej, powłócząc nogami.

– Zupełnie jak na przeglądzie generalnym – wyszeptał sąsiad Hugo, kręcąc się nerwowo. – Lepszy

niż sam feldmarszałek Montgomery!

– Cisza w szeregu – warknął Nailsworth.

Następna była maszynistka. Mężczyzn poproszono o zdjęcie czapek, podczas gdy Nailsworth poprowadził ją tak, by widziała ich z tyłu. Dziewczyna z nerwów nie mogła mówić i prawie nic nie wiedziała. Gdy tak stała, kilkakrotnie zwróciła oczy na tył głowy Hugo, ale raczej by umarła, niż poprosiła inspektora, by kazał któremuś z nich biegać.

Okazanie szło swoim torem, jak makabryczna wersja jakiejś dziecięcej zabawy. Księżniczka przechadzała się z godnością członka rodziny królewskiej dokonującego przeglądu gwardii honorowej. Typ z klubu młodzieżowego, skrupulatny aż do bólu, potrzebował nieznośnie dużo czasu. Pani Felstead patrzyła w ziemię, podnosząc oczy tylko na chwilę, by ukradkiem i z przestraszeniem spojrzeć na każdego z mężczyzn, jakby ich twarze to były nieprzyzwoite obrazki. Gdy Velma podeszła do Hugo, Thorne nie był w stanie dostrzec, choć przyglądał się bardzo dokładnie, najlżejszej zmiany w wyrazie jej twarzy.

Z punktu widzenia policji okazanie było zupełną klęską.

– Teraz wszystko zależy od zeznań dziewczyny – stwierdził komisarz. – Mówicie, że odmawia współpracy?

– Niezupełnie, sir. Gdy przesłuchiwałem ją zeszłego wieczoru, była tak zdenerwowana, że nie dało się wydobyć z niej nic sensownego. Wróciła właśnie z dość bolesnej wizyty w domu brata Chestermana – powiedział mi o tym Jaques, który jej towarzyszył. Ostrzegł mnie również, że jeśli nie zakończę przesłuchania, może się to poważnie odbić na jej zdrowiu.

Wtedy też Thorne udał się z wizytą do Amberleyów, od których usłyszał oświadczenie na temat wydarzenia z rewolwerem.

– Więc Bland pojechała do nich, żeby spróbować ich przekonać, że trzeba to zatuszować? – upewniał się potem Nailsworth. – To powinno nam wystarczyć, by ją zatrzymać.

– Co pan na to, Thorne? – spytał komisarz.

– W chwili obecnej byłbym temu przeciwny. Mam powody, by sądzić, że niedługo wszystko wyśpiewa. Przesłucham ją, jak tylko lepiej się poczuje. – Thorne'owi ulżyło, że nie dopytywali się o te „powody”, o których dowiedział się od Jaquesa w krótkiej rozmowie, jaką odbyli, gdy dziewczyna położyła się do łóżka.

Tak więc gdy w poniedziałek Hugo Chesterman został postawiony przed sądem pokoju, jedynym wezwanym świadkiem był główny inspektor policji Nailsworth. Złożył zeznania dotyczące aresztowania oraz oficjalnego przedstawienia zarzutów w Londynie. Więzień, który nie wypowiedział słowa oprócz twierdzącej odpowiedzi na pytanie, czy życzy sobie pomoc prawną, został zatrzymany na tydzień w areszcie śledczym, by policja mogła prowadzić dalsze dochodzenie.

## 17.

### *Kolejna zdrada*

**A**le dlaczego nie mogę pojechać się z nim zobaczyć?

– Właśnie usiłuję ci wytłumaczyć – Jacko mówił cierpliwie, ale pełen troski uśmiech na jego twarzy powoli gasł. – W pokoju zostanie z wami policjant, który będzie słuchać, o czym mówicie. Nie możesz swobodnie rozmawiać z Hugo – nie rozumiesz – zwłaszcza po tym, jak wczoraj wieczorem odmówiłaś powiedzenia czegokolwiek detektywowi Thorne'owi.

– Ale ja nie chcę rozmawiać o... o tym, co się wydarzyło. Chcę tylko go zobaczyć i powiedzieć mu, że go kocham i w niego wierzę.

– On o tym wie – odparł Jacko dosyć obojętnie.

Bił się właśnie z myślami, czy nie nadszedł już czas, by wytoczyć ciężką artylerię. Upór Daisy stawał się dosyć męczący, a po tym, jak wczoraj wieczorem obiecał Thorne'owi, że weźmie w swoje ręce zadanie zmiękczenia

dziewczyny, Jacko niecierpliwie oczekiwał rezultatów.

Usłyszawszy szelest wieczornej gazety wpadającej przez skrzynkę na listy, wyszedł do hallu. Wracając, wszedł do łazienki, zaczesał siwe włosy do tyłu i uśmiechnął się do lustra krzywym, sztucznym uśmiechem. Wiedział, że dziewczyna czeka w napięciu na wiadomości z sądu pokoju w Southbourne. Może jeszcze trochę poczekać, pomyślał, otwierając gazetę i zabierając się do czytania. Spokój i łagodne usposobienie Daisy zawsze go irytowały – miło było popatrzeć, jak ten spokój rozpada się na kawałki, i przyglądać się, jak dziewczyna po omacku próbuje je pozbierać. „Chcę tylko go zobaczyć i powiedzieć mu, że go kocham i w niego wierzę”. Głupia suka! Bardzo mu to pomoże! – wymamrotał, z wściekłością zdając sobie wreszcie sprawę, iż kochające serce Daisy to przeciwnik, którego siły nie docenił i którego upadek stał się jego obsesją. Jacko wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze, w chore, rozszerzone oczy, które tam zobaczył, jakby to były oczy Daisy, a on ją hipnotyzował, pragnąc, by i ona została potępiona tak jak on.

– Zatrzymano go na tydzień w areszcie śledczym – powiedział Jacko, wróciwszy do salonu. – Przyznano mu pomoc prawną, więc nie musisz się o to martwić.

– Teraz pozwolą mi się z nim spotkać, prawda?

– Będzie miał prawo przyjmować odwiedziny. – Jacko zamilkł na chwilę, widząc, jak twarz Daisy rozjaśnia się, a całe ciało ożywia. Jego głos znów nabrął gardłowych, śpiewnych tonów, gdy mówił dalej: – Ale musisz być rozsądna, moja droga. Uwierz mi, proszę, że staram się robić to, co dla was najlepsze, tylko to, co Hugo uważa za najlepsze dla ciebie.

Wystarczyło, by wypowiedział imię Hugo, a dziewczyna zadrżała, jakby ktoś zamknął obwód elektryczny, i z niecierpliwością pochyliła się do przodu w swym fotelu.

– Kiedy się z nim spotkałem, na chwilę przed aresztowaniem prosił mnie, bym ci przekazał, że nie powinnaś zatajać żadnych informacji przed policją. – Jacko wpatrywał się w nią swymi brązowymi oczyma, zaniepokojonym, czułym, słodkim jak miód spojrzeniem. – Powiedział tak: jeśli policja będzie pytać Daisy, musi powiedzieć im dokładnie, co wydarzyło się tamtego wieczora.

– Ale *dłaczego?* – jęknęła Daisy.

– Ponieważ, jak to mi sam powiedział, nie chce, by jego dziecko urodziło się w więzieniu.

– Och, tego by nie zrobili! *Dłaczego* mieliby *mnie* zamknąć w więzieniu?

Jacko znów zaczął tłumaczyć, z zapasem cierpliwości odnowionym fascynacją grą, którą prowadził, co oznacza współudział przed i po fakcie.

– Wczoraj wieczorem – dodał na zakończenie – po tym, jak położyłaś się do łóżka, inspektor Thorne dał mi przyjacielskie ostrzeżenie. Powiedział, że policja nie będzie miała wyjścia, że oskarżą cię o współudział, jeśli nadal będziesz odmawiać zeznań. Udało mi się przekonać go, by nieco odsunąć to w czasie, ze względu na twoje zdrowie, ale nie będę w stanie dłużej ich powstrzymywać.

– Gdybym tylko mogła zobaczyć się z Hugo i upewnić, że właśnie tego chce.

Dostrzegając kolejną szansę, Jacko szybko podjął temat:

– Jedno mogę powiedzieć ci na pewno, moja droga. Z pewnością nie pozwolą ci się z nim spotkać,

zanim nie odpowiesz na wszystkie pytania. Po tym, jak złożysz zeznania, nie będzie żadnych trudności z wizytą.

Daisy wzięła do ręki chusteczkę. Ta odrobina zdrowego rozsądku, który już wcześniej przychodził jej na ratunek, kazała jej powiedzieć:

– Ale Jacko, posłuchaj mnie. Jeśli oni naprawdę myślą, że Hugo to zrobił, czy ja, jak to nazwałeś, nie jestem współniczką, skoro pomogłam mu zakopać rewolwer?

Była to wielka chwila dla Jacko, tak satysfakcjonująca, że aż musiał wstać i zaciągnąć zasłony, by ukryć przed Daisy triumf na twarzy i przywrócić jej zwykły wyraz przyjacielskiej troski. Opanowując głos, rzucił przez ramię:

– Rewolwer? Hm, mnie o tym nic nie wiadomo. Ale...

– Nie powinnam ci o tym mówić. Obawiam się, że to dla ciebie kolejny ciężar – odparła niewinnie dziewczyna z wyrzutami sumienia. Po czym próbując się uśmiechnąć, dodała: – Zdaje się, że teraz i *ciebie* można by oskarżyć o współudział po fakcie.

Jacko usiadł na oparciu jej fotela i wziął ją za rękę.

– Nie mów mi nic, jeśli czujesz, że nie powinnaś. Wiem jednak, że zamartwiasz się tym rewolwerem. I jeśli pomogłoby ci...

Nagle Daisy wybuchła spazmatycznym, żalonym płaczem i jak tonący 150rozpaczliwie schwyciła jego dłoń.

– Och, Jacko! To było straszne! – wykrzyknęła, gdy wreszcie zdołała się opanować. Po czym opowiedziała mu o tym, co wydarzyło się na plaży.

Cholerny idiota, myślał Jacko, gdy delikatnie głaskał ją po głowie – mieszać ją do tego, zamiast samemu zakopać rewolwer. Poczul najwyższą pogardę dla tego beznadziejnie głupiego zaufania. Jakby w olśnieniu zrozumiał, co ma robić dalej.

– Moja biedna Daisy. To musiało być okropne. Oczywiście, to wiele zmienia.

– Hugo bał się, co mogłoby się stać, gdyby znaleziono u niego rewolwer. Nie dlatego, że zastrzelił inspektora, ale dlatego, że siedział kiedyś w więzieniu – odparła śmiało. – Nie myślisz, że...

– Tak pomyśli policja, moja kochana. Nie, lepiej im o tym nie mów. – Jacko przerwał na chwilę w zamyśleniu. – Czy ktoś was wtedy widział na plaży?

Daisy zarumieniła się lekko.

– Jestem pewna, że nikt nie widział, jak zakopujemy pistolet.

– Nie, ale teraz, gdy policja ma opis was obojga, będą przeczesywać Southbourne w poszukiwaniu naocznych świadków. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zgłosi się ktoś, kto powie: „Widziałem ich na plaży następnego ranka”. Tyle im wystarczy. Policjanci zaczną się zastanawiać: co, do cholery, robili na plaży? Chyba nie zamki z pisaku, skoro podobno wieść o zabójstwie tak ich poruszyła. Odpowiedź będzie jasna, nawet dla policjanta o ograniczonej inteligencji. Pójdą na plażę i będą kopać tam, gdzie was widziano.

– O Boże! Co ja mam robić? Co mam robić?

Jacko wydał wargi i ponownie je zagryzł. – Musimy tam pojechać, Daisy. Znaleźć pistolet i ukryć gdzieś, gdzie go nie znajdą.

– Nie, Jacko, pojedę sama. Dlaczego ty masz być w to zamieszany? Nie chcę, żebyś i ty miał kłopoty.

– Moje drogie dziecko, oczywiście, że pojedę z tobą – Jacko odparł przesłodzonym głosem. – Chociaż tyle mogę zrobić dla ciebie i starego, poczciwego Hugo.



Zaczęli zastanawiać się, jak pozbyć się tajniaka i dostać na plażę tak, by nikt ich nie zauważył. Morale Daisy bardzo podniosło się na myśl, że wreszcie będzie mogła coś zrobić, ponieważ od pożegnania z Hugo żyła jakby w stanie zamroczenia, przerwane tylko nieudaną wizytą u Amberleyów, a czas odmierzała rzędami robótki na drutach – zaś Jacko sprawił, że perspektywa wyjazdu zdawała się zachwycającą, podniecającą przygodą. Następnego dnia miał pacjentki, które musiał przyjąć. Ale wizyty w środę rano można było odwołać. Po wczesnym śniadaniu Daisy miała wyjść z domu, całkiem otwarcie, z koszykiem na zakupy. Jeśliby ją śledzono, miała postarać się zgubić policjanta w jednym z dużych sklepów przy Kensington High Street. Jednakże Jacko nie sądził, by ją śledzono, bo do czasu wczorajszego „załamania” każdego ranka wychodziła na krótki spacer. Jacko tymczasem miał się udać na stację Waterloo. Mieli jechać osobno, wysiąść na ostatniej stacji przed Southbourne i tam wynająć taksówkę. W ten sposób mieli uniknąć ryzyka zauważenia przez policjanta na stacji w Southbourne, który wiedział, jak wyglądają.

Pozostawał jednak problem inspektora Thorne'a. Gdyby pojawił się następnego dnia, by ponownie przesłuchać Daisy, uzgodnili, że się z nim zobaczy i przedstawi mu wypadki z Southbourne, oprócz zakopania rewolweru. Jacko powiedział, że inspektor powinien być zadowolony, gdy Daisy złoży zeznania i przy odrobinie szczęścia raczej jej nie aresztuje. Alternatywne rozwiązanie – że Jacko powie inspektorowi, iż Daisy nie jest jeszcze na tyle zdrowa, by ją przesłuchiwać – wydawało się beznadziejne, gdyż wtedy nie mogłaby wyjść z domu następnego ranka.

Inspektor Thorne, ku uldze Daisy, nie przyszedł następnego dnia – a tak właściwie to Jacko w skrócie przedstawił mu przez telefon rozmowę z dziewczyną. Choć Thorne uodpornił się już na sposoby działania zwykłych przestępców, z trudem znosił cynicznego i zdradliwego Jaquesa. Ale dopóki nie uda się odnaleźć broni, sprawa przeciwko Chestermanowi przedstawiała się tak nędznie, że istniało prawdopodobieństwo, iż Prokurator Generalny odmówi jej przyjęcia. Najbardziej drażniła Thorne'a wzrastająca zuchwałość Jaquesa: miał czelność zaproponować, by w zamian za współpracę z policją usunięto funkcjonariusza sprzed jego domu – poskarżył się z oburzeniem, że kręcący się w pobliżu tajniacy szargają jego zawodową reputację. Ponadto, dał Thorne'owi jasno do zrozumienia, że uważa się za osobę niezbędną, kogoś w rodzaju biegłego: tylko

Daisy Bland, jak powiedział, zna dokładne miejsce zakopania rewolweru i tylko on jest w stanie przekonać ją, by je wskazała. Thorne zdążył już zorientować się w czasie krótkiego spotkania z dziewczyną w niedzielę, że to prawda. Nie przyszło tylko do głowy Jaquesowi, w jego bezdusznym egotyzmie czy nienawiści, czy też obsesji władzy – pomyślał ponuro Thorne – że w obecnych czasach można to załatwić przy pomocy wykrywacza min, tyle że przeszukanie pięciokilometrowej plaży wykrywaczami wymagałoby sporo czasu i pracy; ponadto, gdyby przyłapano dziewczynę na wykopywaniu rewolweru, jej opór musiałby załamać się na całej linii. To właśnie, bez wątpienia, był wniosek, do którego chciał go doprowadzić Jaques. Thorne poczuł kolejną falę obrzydzenia, gdy zdał sobie z tego sprawę. Z drugiej strony i tak już powalał sobie ręce na tyle, że nie było sensu psuć wszystkiego z powodu odrobiny dodatkowego brudu. Przyjął więc zaproponowaną przez Jaquesa taktykę.

Środowy poranek był jasny i świeży. Wydarzenia ostatniego tygodnia nie zmieniły naturalnej elastyczności temperamentu Daisy. Podobnie jak inni optymiści, ożywiła się na myśl o planowanym działaniu: czuła się wtedy bardziej prawdziwa, jakby znów była panią siebie. Robiła teraz coś dla Hugo i to napawało ją szczęściem. Wiedziała, że z tym przedsięwzięciem wiąże się pewne niebezpieczeństwo, ale wiedza ta tylko dodawała jej sił. Jako że nigdy łatwo nie poddawała się wątpliwościom czy podejrzeniom, łatwość, z jaką wydosłała się z domu Jacko, a potem z Londynu, nie zaniepokoiła jej ani trochę.

Domy, drzewa, pola mijały za oknem pociągu. Każdy słup telegraficzny przybliżał ją coraz bardziej do Hugo. Myślała o nim tak intensywnie, z taką czułością, że zdawało jej się, iż w sercu musi on czuć, że jego Daisy jest coraz bliżej. Nawet myśl, że tym razem się nie zobaczą, nie była taka straszna – mogła skupić się wyłącznie na tym poczuciu przybliżania się do Hugo.

Wysiadła w Stenford, ostatniej miejscowości przed Southbourne. Jacko już na nią czekał. Mrugnął do niej wesoło, porozumiewawczo i wziął ją pod rękę. Wszystko szło bardzo dobrze. Napili się kawy, po czym udali się do warsztatu, gdzie wynajęli taksówkę, którą mieli przejechać pozostałe osiem kilometrów do Southbourne. Gdy zbliżali się do miasta, Daisy zachmurzyła się nieco. Pamiętała ten ostatni raz z Hugo na plaży – jakby wywołała złego ducha. Wiedziała, że sama musi stawić mu czoła.

– Chciałabym najpierw sama pójść na plażę – szepnęła do Jacko. – Pospaceruj sobie przez kilka minut.

Zatrzymali taksówkę kilkaset metrów od letniej sceny, Jacko zapłacił kierowcy i pomógł Daisy wysiąść.

– Spotkamy się więc znów za chwilę – powiedział.

Daisy, z jasnymi włosami ukrytymi pod chustką, szła wzdłuż promenady z błyszczącymi, błędnymi oczyma kobiety idącej na potajemną schadzkę. Jacko zapalił papierosa, spokojnie popatrzył na nabrzeże portowe, po czym ruszył za nią. Młody mężczyzna we flanelowych spodniach i koszuli bez krawata, który stał w pobliżu, wdychając energicznie morskie powietrze, uznał, że również przejdzie się w kierunku estrady, i podążył za Jacko.

Daisy schodziła ostrożnie po schodkach wiodących na plażę. Nieliczni późni wczasowicze korzystali z rześkiej październikowej pogody. Z torbą na zakupy i w chustce na głowie Daisy także wyglądała jak na wakacjach. To tutaj, pomyślała, przypatrując się odważnie kamienistej pościeli poniżej wału. Hugo zapytał: Masz ochotę na miłość, kochana? Przypomniał jej się fragment hymnu słyszanego kiedyś w wiejskim kościele: „Spać będę na kamieniu”. Nagle duch jakby poddał się egzorcyzmom. To, co się tu stało, już jej nie przerażało. Wyciągając się w miejscu, w którym wtedy leżeli, czuła już tylko zapamiętane ciepło jego ramion, jego usta, jego ciało przytulone do niej. Na moment zapomniała, że jest sama i po co tu przysła.

W tej chwili jej palce, jakby w zupełnie niezależny od niej sposób, zaczęły rozgrzebywać kamyki, ale konieczność pośpiechu wcale nie zajmowała jeszcze jej myśli – myślała o Hugo, pograżając się we wspomnieniach, które stały się cudownie czyste, pozbawione niepokoju i zawstydenia. Młody człowiek w rozpiętej pod szyją koszuli, oparty na barierce esplanady, zauważył wyraz jej twarzy, gdy spojrzała w jego stronę, tak czysty, piękny, tak ekstatyczny, że przypomniały mu się wiersze, do których czytania zmuszano go w szkole – jaki to był tytuł? – „Pieśni Niewinności”\*. Teraz by je zrozumiał, pomyślał sobie. Niewinność! A to przecież kochanka, a może nawet współniczka człowieka, który zastrzelił biednego starego Stone'a! Mężczyzna odsunął się trochę. Irracjonalnie czuł, że nie ma prawa przyglądać się tej scenie. Ponieważ jednak nauczono go trzymać uczucia na wodzy, nadal obserwował Daisy.

\* Pieśni Niewinności – zbiór liryków Williama Blake'a (1757-1827), angielskiego poety, myśliciela, malarza, rytmownika.

Jacko zszedł po schodkach. Na twarzy dziewczyny malował się coraz większy niepokój i z coraz większym pośpiechem przerzucała kamyki.

– Nie możesz znaleźć? – zapytał. – Jesteś pewna, że to tutaj?

– Tak, wiem, że to było tutaj. Gdzieś tu.

Jak mogła zapomnieć? Choć z drugiej strony wszystkie kamienie na plaży są takie same.

– Jak głęboko to było? – spytał cicho Jacko.

– Mniej więcej na głębokość mojej dłoni. Może trochę głębiej. Pamiętała dotyk dużych kamieni i

zwiru pod nimi. Rozejrzała się wokół rozpaczliwie, jakby próbując rozpoznać ten jeden kamień spośród wielu, i zaczęła gorączkowo poruszać dłońmi. Drażniło ją niecierpliwe spojrzenie Jacko.

– Zgubiła coś pani?

Podeszła do nich młoda kobieta z dzieckiem. Daisy była tak zdenerwowana, że nie słyszała ich kroków.

– Nie, nie... To nic... – zaczęła.

Jacko wtrącił się gładko:

– Moje etui na okulary. Możliwe, że wczoraj je tu zostawiłem. Zawsze gdzieś je gubię.

– Desmond – rzekła młoda kobieta. – Pomóż państwu. Chłopczyk złapał łopatkę i z zapalem zaatakował kamyki.

– Och, proszę nie robić sobie kłopotu – odparła słabo Daisy.

– Ależ to żaden kłopot. On to lubi. Desmond świetnie kopie.

– Jesteś *najzupełniej* pewna...? – powiedział Jacko i zaczął szukać w torbie Daisy, skąd, zręcznym ruchem dłoni wyciągnął etui na okulary, które wyjąwszy z własnej kieszeni, sam tam przed chwilą wsunął. Trzymał je w dłoni z triumfującą miną. – Cały czas tu było. Daisy, nie szukasz dokładnie...

Po wymianie wzajemnych grzeczności kobieta i dziecko odeszli. Usiedli na plaży jakieś dwadzieścia metrów dalej.

– Nie możemy teraz szukać – Daisy patrzyła bezradnie na Jacko.

Jacko, pomysłowy jak zwykle, odszedł kawałek dalej, ułożył kopczyk z kamyków i wrócił do niej. Zaczął podnosić kamyki i celować nimi w kopiec, najpierw mniejszymi, potem coraz większymi. Koszmar Daisy trwał. W miejscu, gdzie leżeli z Hugo, były tysiące kamieni. Jak długo trzeba będzie rzucać, zanim znajdą broń? Nigdy nie sądziła, że to będzie takie trudne. A i Jacko zdawał się poirytowany, coraz gwałtowniej rzucał kamykami.

– Musiałaś pomylić miejsce – stwierdził. – Tracimy tylko czas.

Po chwili Daisy wymamrotała

– Tak myślisz? A może już go tu nie ma?

– Nie bądź śmieszna! Gdyby policja go znalazła, pisaliby o tym we wszystkich gazetach.

Jacko zaczynało to męczyć. Przez chwilę zastanawiał się, czy dziewczyna nie oszukuje go, nie prowadzi jakiejś własnej szalonej gry – taka myśl musiała przyjść do głowy komuś o umyśle tak pokrętnym jak jego. Ale jedno spojrzenie na jej twarz, zimną z rozpaczy, przekonało go, że tak nie jest. Cóż, policja będzie wiedziała, gdzie szukać. Nie było sensu przedłużać tej farsy.

– Lepiej już chodźmy, Daisy. To się nie uda, obawiam się.

– Myślisz, że Hugo mógł tu wrócić i go zabrać, zanim go aresztowali?

Kobiety potrafią zadawać cholernie idiotyczne pytania, pomyślał.

– Wątpię, kochana. To byłoby zbyt niebezpieczne – odparł.

Pomógł jej wstać i wrócili na promenadę. Niestrudzony młody człowiek w rozpiętej pod szyją koszuli szedł za nimi w bezpiecznej odległości. Zauważył, że dziewczyna spowalnia krok i co chwilę odwraca głowę, by spojrzeć na miejsce na plaży, gdzie siedzieli – jak dziecko, które żegna się z wakacjami nad morzem.

– Jeśli my nie możemy go znaleźć, to tym bardziej nie uda się policji – powiedział Jacko, nie po to, by ją pocieszyć, lecz dlatego, że chciał jak najszybciej spuścić kurtynę na ten epizod.

Wcześniej w Londynie postanowili, że wyjadą z Southbourne pociągiem, po tym jak wrzucą rewolwer do głębokiej wody z końca portowego falochronu. A raczej postanowił tak Jacko, który umówił się z

Thorne'em, że jeśli poszukiwania przyniosą spodziewany skutek, zostaną aresztowani zaraz po zejściu z plaży. W przeciwnym razie mieli pójść na stację, gdzie czekałby już na nich komitet powitalny.

Nie odstępujący ich młody mężczyzna wiedział, że nie znaleźli rewolweru. Dlatego właśnie pozwolił im odejść.

– Gdzie jest posterunek policji? – zapytała nagle Daisy.

Jacko chciał już pokazać w stronę lądu, w kierunku wieży z zegarem, ale stłumił ruch ręki w zarodku. O mało się nie zdradził: dziewczyna o nieco lotniejszym umyśle zapytałaby: skąd wiesz? Byłeś tam? Po co?

– Posterunek? Po co ci to, do diabła? – odparł dość nieprzyjemnie.

– Hugo tam jest.

– Ach, rozumiem.

– Czy niedługo będę mogła się z nim spotkać?

Jacko o mało nie odpowiedział: Bardzo niedługo wybierzesz się na posterunek, moja droga. Ale z tak mało rozgarniętą dziewczyną jak Daisy ironia ta zupełnie nie miała smaku.

– Pospiesz się, moja droga, bo inaczej spóźnimy się na pociąg.

Szli więc drogą ku stacji, gdzie zostali zatrzymani przez policję.

– Panna Bland? Jestem zmuszony prosić, by poszła pani tędy. I pan również – powiedział tęgi mężczyzna o okrągłej twarzy, który czekał na nich przy samym wejściu.

Z typowym dla siebie fatalistycznym spokojem Daisy pozwoliła się zaprowadzić do biura naczelnika stacji. Nie czuła ani zdziwienia, ani przerażenia, jakby przez cały czas wiedziała, że to wszystko musi się stać, i jakby była na to przygotowana. Po odjeździe pociągu, gdy stacja opustoszała, Nailsworth wyprowadził ich na zewnątrz, gdzie czekał policyjny samochód.

## 18.

### *W śledztwie ustalono*

Nailsworth i Thorne przesłuchiwali Daisy przez dwie godziny. Nie znęcali się nad nią. Traktowano ją po ludzku, na czas przesłuchania zapewniono herbatę i kanapki, od czasu do czasu któryś z policjantów pytał, czy nie chciałaby odpocząć. Wcześniej Thorne spotkał się z nią tylko na kilka minut w niedzielę, gdy była w stanie załamania. Nailsworth widział ją po raz pierwszy. Spodziewał się bezczelnej, wygadanej młodocianej przestępczyni, a tymczasem ta dziewczyna zaskoczyła go – taka cicha, tak nieziemsko piękna, bardzo dojrzała jak na swój wiek. Wywoływała w nim prawie ojcowskie uczucia, chwilami przeklinał w duszy tego młodego opryszka w celi, że wciągnął taką dziewczynę w swoje nieczne życie. Gdy o nim mówiła, jej głos nabierał czułości i przejęcia, które przebijały nawet zawodową grubą skórę Nailswortha. Było jasne, że gorąco wierzyła w niewinność Chestermana. Gdy składała zeznania, które przemieniały się w gwoździe do jego trumny, wiara ta wyraźnie dawała się odczuć. Nawet Thorne, twardszy, bardziej cyniczny od Nailswortha, poddał się temu. Po półgodzinie przepytywania obaj w myślach wykluczyli, by Daisy mogła mieć jakikolwiek współudział w tej sprawie.

Na początku przesłuchania zdawała się bardzo niechętna, czy też jakby myślami była zupełnie gdzie indziej. Mogła myśleć tylko o Hugo, który był tak blisko, że gdyby krzyknęła jego imię, być może usłyszałby ją. Thorne, który na tym etapie nie był w stanie znieść jakiegokolwiek niepoważnego

zachowania z jej strony, dał dość jasno do zrozumienia, że jeśli nie złoży oświadczenia, które zadowolą policję, będą zmuszeni aresztować ją jako współniczkę Chestermana, na co ta, jakby wracając z powrotem na ziemię, odparła z nagłym ożywieniem: – Myśli pan, że się tym przejmuję, sir? – Ale przypomniawszy sobie słowa Jacko – że Hugo chce, by powiedziała prawdę, dodała: – Dobrze, odpowiem na pytania.

Gdy było już po wszystkim, a stenotypista zabrał notatki, by przepisać oświadczenie na maszynie, Daisy poczuła dziwną mieszankę ulgi i niejasnego niepokoju. Była tak wyczerpana, fizycznie i emocjonalnie, że początkowo trudno jej było doszukać się źródeł tego niepokoju. Nagle dotarło do niej, że nie zadano jej ani jednego pytania na temat tego, co ona i Jacko robili rano na plaży. Być może ten inspektor z Londynu, który właśnie wyszedł z pokoju, miał zamiar spytać o to Jacko. Ze znużeniem starała się zastanowić nad tym, co powinna powiedzieć, co może powiedzieć im Jacko – nigdy nie rozmawiali o tym, co mówić policji, a nie powinni przecież sobie przeczyć. A może nie widziano ich na plaży – oczywiście, jaka jestem głupia, pomyślała. Gdyby policjanci nas widzieli, byłaby to pierwsza rzecz, o jaką by zapytali. W jej sercu rozpałił się nowy promyk nadziei.

Ale nie na długo. Thorne stanął w drzwiach i kiwnięciem głowy dał Nailsworthowi znak, by z nim wyszedł. Daisy siedziała na twardym krześle. Z

158torbą na zakupy, w chustce i z niemądrym, zagubionym wyrazem twarzy wyglądała jak wysiedlona wieśniaczka – paczka bez adresu w biurze rzeczy znalezionych. Gdy drzwi znów się otwarły, obudziła się z tej apatii i zapytała:

- Czy mogę się z nim teraz zobaczyć?
- Doktor Jaques jest w tej chwili zajęty – powiedział Nailsworth.
- Nie, mam na myśli Hugo, pana Chestermana. Mogę? Proszę.

Nailsworth odwrócił głowę – przez chwilę nie był w stanie opanować uczuć, które musiały przebijać przez jego oficjalną surowość.

- Skoro powiedziałam już wszystko, o co pytaliście? – naciskała.
- Nailsworth chrząknął i spojrzał na nią znad biurka.

– Na światło dzienne wydobyto pewne nowe dowody, panno Bland i muszę poprosić panią o dalsze wyjaśnienia. – Zadzwoił dzwonkiem.

Wszedł stenotypista, a za nim detektyw Thorne, który położył na biurku kartonowe pudełko.

– Panno Bland – powiedział Nailsworth, który znów przybrał swą oficjalną pozę. – W śledztwie ustalono, że pani i doktor Jaques byli dziś na plaży, między godziną 11.50 i 12.35. Czy może nam pani powiedzieć, w jakim celu?

- My... Przyjechałam, bo chciałam zobaczyć się z Hugo.
- Na plaży? Panno Bland – odezwał się Thorne – proszę nie opowiadać nam takich rzeczy.
- Chciałam najpierw pójść na plażę, bo... Bo to było ostatnie miejsce, gdzie Hugo i ja...
- Czego szukaliście?
- Szukaliście?
- Widziano was, jak rozkopywaliście kamyki, szukając czegoś.
- Och – westchnęła z rozpaczą – to było Jacko, to znaczy doktora Jaquesa, etui na okulary.
- Czy jest pani całkowicie pewna? – Nailsworth był nieustępliwy. – Czy nie szukaliście czegoś, co pani i Chesterman wcześniej tam ukryli? – Zdjął pokrywkę kartonowego pudełka, wyjął jakiś przedmiot owinięty w chusteczkę i położył go na biurku. – Tego rewolweru?

- Ale przedtem mnie pan o to nie pytał – Daisy nie była w stanie powiedzieć nic więcej.
- Pytam panią teraz i chcę usłyszeć prawdę.

Nailsworth czuł żądzę zemsty, gdy patrzył na broń, z której, jak sądził, zastrzelono jego przyjaciela. Był jednak na tyle obiektywny, by wiedzieć, że w takim stanie ducha nie powinien dalej prowadzić przesłuchania. Ruchem dłoni dał znak Thorne'owi, by ten kontynuował.

– Czy rozpoznaje pani ten rewolwer jako własność więźnia? – spytał Thorne, a jego długi, wścibski nos zwrócił się ku Daisy.

– Nie wiem – Daisy zaczęła się poddawać. – Miał rewolwer podobny do tego.

– Ten, którym groził pani Amberley?

– Nie chciał nikogo skrzywdzić.

Thorne wypytywał najpierw dziewczynę o tamten wypadek, a potem nagle rzucił:

– Z pewnością jest pani w stanie rozpoznać rewolwer, który pomogła pani ukryć?

– Nie przyglądałam mu się, za bardzo się bałam.

– Przyznaje się więc pani, że pomogła więźniowi ukryć rewolwer?

– Nie, nie.

– Skoro mu pani nie pomagała, skąd mogła pani wiedzieć, gdzie dokładnie na plaży został zakopany?

Daisy nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Czy zdziwi to panią, jeśli powiem, że doktor Jaques zidentyfikował broń?

Nailsworth popatrzył na kolegę z konsternacją. To chyba błąd, by na tak wczesnym etapie odkrywać wszystkie karty? Ale w dziewczynie nie wzbudziło to chyba żadnych podejrzeń. Powiedziała tylko:

– Skoro on ją rozpoznał, to po co mnie jeszcze pytać?

– Dla potwierdzenia, panno Bland. Doktor Jaques może się mylić... czyż nie? – dodał Thorne po krótkiej pauzie.

– Tak sądzę.

– Co zamierzała zrobić pani z tym rewolwerem, gdyby udało wam się go znaleźć?

– Nie wiem.

– Przekazać policji?

– Oszalał pan? – odparła Daisy z nieoczekiwaną odwagą.

– Dlaczego nie, skoro jest pani przekonana, że Chesterman nie strzelał z niego do inspektora Stone'a?

Daisy znów nie odpowiedziała. Inspektor Thorne powoli owinął rewolwer w chustkę i włożył do pudełka, po czym wręczył je wezwanemu policjantowi.

– Najpierw odciski palców. Potem kula – powiedział.

Daisy poruszyła się mimo woli. Była przekonana, że eksperci są w stanie stwierdzić, z którego pistoletu wystrzelono kulę. Przez tydzień starała się unikać tego pytania – dlaczego Hugo chciał ukryć rewolwer, jeśli był niewinny? A teraz, jak gdyby ubierając w słowa jej własne myśli, co sprawiło, że pytanie to stało się jeszcze bardziej przerażające, inspektor powiedział:

– Czy nie sądzi pani, panno Bland, że gdyby Chesterman był niewinny, sam zgłosiłby się na policję z tym rewolwerem? By udowodnić, że kuli *nie* wystrzelono z tego pistoletu, i tym sposobem od razu oczyścić się z podejrzeń?

– Hugo był... Bardzo zdenerwowany. Nie myślał wtedy jasno. Nie ufał policji, jeśli mam mówić szczerze. Bo skoro siedział w więzieniu za kradzież... a do tego jeszcze zastrzelono policjanta...

Mówiła urywanymi zdaniami. Była już u kresu wytrzymałości, więc Thorne nie naciskał. Gdy podpisała oświadczenie, powiedzieli jej, że może odejść, ale że będzie musiała złożyć zeznania w sądzie.

– Czy nie ma pani krewnych, u których mogłaby się pani zatrzymać do tego czasu? – zapytał Nailsworth całkiem życzliwie.

– Matka nie chce mieć ze mną nic wspólnego, od kiedy zamieszkałam z Hugo. Doktor Jaques to jedyna osoba, która zawsze mi pomagała.

– Rozumiem. Proszę jeszcze poczekać tu kilka minut, dobrze?

Nailsworth i Thorne wyszli na chwilę, by porozmawiać. Obaj uważali, że dziewczyna nie powinna dalej przebywać w domu Jaquesa. Thorne z przyczyn czysto taktycznych – ze względu na niebezpieczeństwo, iż zbyt szybko wyda się rola, jaką w tym wszystkim odgrywał Jacko, natomiast Nailsworth ze względu na odrazę, jaką napełniała go myśl o jakichkolwiek dalszych kontaktach tych dwojga.

Gdy wrócili, oczy Daisy rozbłysły. Ale wcale nie przyszli oznajmić, że może wreszcie zobaczyć się z Hugo. Umówili się z pewną emerytowaną policjantką z Southbourne, iż Daisy zatrzyma się u niej przez kilka dni. Jej rzeczy

miały zostać przewiezione z domu doktora Jaquesa. Daisy nie opierała się specjalnie. Oznaczało to, że przynajmniej będzie bliżej Hugo, nawet jeśli nie będzie mogła się z nim spotkać. A chociaż Jacko, jej jedyny przyjaciel, robił dla niej, co w jego mocy, jego dom naznaczony był jej nieszczęściem i nie chciała tam wracać.

**D**wa dni później Hugo Chesterman został ponownie postawiony przed sądem pokoju. Bronił go Bruce Rogers, partner w miejscowej kancelarii adwokackiej. Charles Brownleigh, QC\*, występował w imieniu Prokuratora Generalnego. Naczelnik policji ponownie podjął kroki w celu zapewnienia, że podczas gdy Hugo będzie prowadzony do budynku sądu, nikt nie będzie robił zdjęć.

\* Queen's Counsel – tytuł honorowy członka palestry.

Przez większą część tego piątkowego przedpołudnia prokurator Brownleigh przedstawiał sprawę. Najpierw opisał samo przestępstwo, po czym zajął się czynaniami więźnia w czasie bezpośrednio je poprzedzającym. Mówił o tym, jak wieczorem w dniu zabójstwa więzień wraz z Daisy Bland wyszedł z pensjonatu, po czym udali się na esplanadę, gdzie wręczył jej zawiniętą w szary papier paczkę, wreszcie sam ruszył w stronę hotelu „Queen's”, skąd po półgodzinie wrócił. Następnego ranka, powiedział, oskarżony wyczyścił rewolwer w ich pokoju w pensjonacie i przy pomocy Bland zakopał na plaży. Dodał, iż w zeszłym roku oskarżony wyjął rewolwer podczas kłótni i groził śmiercią żonie swego brata.

Następnie prokurator Brownleigh zaczął wzywać świadków oskarżenia. Księżniczka Popescu, jej towarzysza oraz stangret złożyli zeznania na temat strzałów. Wezwano także maszynistkę, która widziała mężczyznę biegnącego wzdłuż Queen's Parade. Żadne z nich nie było w stanie rozpoznać w oskarżonym zabójcy. Biegły lekarz sądowy przedstawił wyniki autopsji, a sierżant z wydziału dochodzeniowo-śledczego opowiedział o tym, jak oddział policji pod jego kierownictwem przeszukał plażę w pobliżu letniej sceny i znalazł rewolwer. Przez resztę dnia wysłuchano zeznań właściolek dwóch pensjonatów, w których mieszkali oskarżony i Daisy Bland. Drugą z nich wypytywano dokładnie o zachowanie oskarżonego wieczorem w dniu popełnienia przestępstwa. Prokurator Brownleigh powiedział, że jeden z najważniejszych świadków, panna Bland, jest chora i z tego względu złoży zeznania później, poza porządkiem przesłuchań. Ponieważ więzień nie miał żadnych pytań, sprawę przełożono na kolejny dzień.

W sobotę dalej przesłuchiowano świadków oskarżenia. Najpierw Marka Amberleya. Odpowiedziawszy na pytania dotyczące kłótni pomiędzy jego żoną a oskarżonym, opowiedział o tym, jak na prośbę tego

ostatniego przyjechał do Southbourne i wręczył mu pewną kwotę pieniędzy. Dość niechętnie opisał także gwałtowną reakcję brata podczas rozmowy na temat zbrodni. Z zeznań świadków zaczął wyłaniać się obraz Hugo jako osoby nie panującej nad sobą i o gwałtownym charakterze. Następnie wezwano doktora Jaquesa, który potwierdził zeznania Marka Amberleya dotyczące tamtego spotkania oraz oświadczył, iż zabrał pannę Bland z powrotem do Londynu. Ze względu na to, co usłyszał od niej później, w środę pojechali razem do Southbourne, by odnaleźć rewolwer. Nie udało im się to. Zostali aresztowani i po kilku godzinach zwolnieni. Pokazano mu rewolwer, w którym rozpoznał własność oskarżonego.

Dało się zauważyć, że Chesterman, który do tego czasu zdawał się niespecjalnie zainteresowany tym, co działo się na sali, z wielką uwagą przysłuchiwał się zeznaniom doktora Jaquesa, przypatrując mu się z zamyśleniem, z pewną konsternacją na twarzy. Jednakże – ku uldze pana Brownleigha, który zdawał sobie sprawę z tego, po jak cienkim lodzie stąpa – obrońca Hugo nie chciał przesłuchać świadka. Jaques przedstawił swoje zeznania ze szczerością, którą tak dobrze potrafił udawać, lecz ostrożnie ograniczył odpowiedzi na pytania prokuratora do tak i nie.

Jego zeznania były oczywiście niezwykle obciążające. A gdy wezwany po nim biegły do spraw balistyki przedstawił techniczne podstawy ku temu, by sądzić, iż kula znaleziona w ciele inspektora Stone'a została wystrzelona z rewolweru przedstawionego w sądzie jako dowód rzeczowy, wszystko wskazywało na to, że Hugo jest skończony. Bruce Rogers wyciągnął z biegłego stwierdzenie, iż takie rewolwery są w Anglii dość powszechne oraz że w rewolwerach tego typu zazwyczaj stosuje się kule innego rodzaju. Nie pomogło to jednak zmienić raz wywołanego wrażenia. A najgorsze miało dopiero nadejść. Oskarżyciel nie mógł oczywiście odwołać się bezpośrednio do pobytu oskarżonego w więzieniu czy też jego przestępczej kariery, tak więc motyw,

dla którego dobrze ubrany, przyzwoity młody człowiek miałby usiłować włamać się do czyjś domu, pozostawał niewyjaśniony. Prokurator Brownleigh nie przedstawił własnej teorii na ten temat. Wezwał natomiast sierżanta z wydziału śledczego o nazwisku Mann, który zeznał, iż kilka godzin po aresztowaniu Chestermana, działając na podstawie uzyskanych informacji, udał się wraz z innym policjantem do pensjonatu w Pimlico, gdzie oskarżony ostatnio przebywał, i znalazł w jego pokoju torbę, a w niej skórzany pasek z kaburą, stalowe dłuto, pilnik, dwie pary jubilerskich szczypiec, łom oraz zdjęcie przedstawiające oskarżonego i Daisy Bland.

Bruce Rogers przesłuchiwał tego świadka, tak jak wcześniej przesłuchiwał policjantów, którzy opowiadali o aresztowaniu, pytając ich o to, co mówił wtedy oskarżony. Wszyscy zgodzili się, iż przekonywał o swojej niewinności, twierdząc, że w czasie, gdy popełniono zbrodnię, był z Daisy Bland w kinie.

Daisy została wezwana na świadka dopiero w następny poniedziałek. Po śródowych przejściach i z powodu zaawansowanej ciąży rozchorowała się. Leżała w łóżku, najpierw otepiała pod wpływem leków uspokajających zaaplikowanych przez lekarza sądowego, a potem biernie poddając się rozpaczliwej powracającej wraz ze zmniejszaniem się działania leków. Czuła, że nie ma już sił do walki, nawet gdyby wiedziała, jak walczyć o Hugo. Lekarz i gospodyni byli dla niej życzliwi, ale ta życzliwość do niej nie docierała. Czas rozciągał się jak epoka lodowcowa, zacierając nie tylko strzępki nadziei, ale i radosne wspomnienia – Hugo zdawał się być nieskończenie daleko.

W tym czasie gazety trzymano od niej z daleka. Jednakże w poniedziałkowy poranek, gdy przygotowywano się, by zawieźć ją do sądu, Daisy została na chwilę sama w salonie. Brzeg złożonej gazety wystawał spod poduszki, gdzie ją w pośpiechu wciśnięto. Z dziwnym wyrazem twarzy, pełnym winy i niechętnym, Daisy wzięła gazetę do ręki. Oko jej rozbłysło, gdy dojrzała artykuł, w którym opisywano przesłuchanie świadków-policjantów przez Bruce'a Rogersa. Nie zdążyła jednak przeczytać



więcej – słysząc kroki, wepchnęła gazetę z powrotem tam, gdzie ją znalazła.

Lekarz sądowy, który wszedł do salonu wraz z byłą policjantką, przyglądał się otepiałej twarzyczce dziewczyny.

- Czy jest pani pewna, panno Bland, że da sobie radę? – zapytał łagodnie.
- Tak, na pewno. Chcę, żeby już było po wszystkim – jej cichy głos brzmiał głucho.

Pojawienie się Daisy Bland w sądzie wywołało wielkie poruszenie. Nie tylko dziennikarze ekscytowali się „tajemniczą kobietą w tej sprawie”, ale nawet sędziowie pokoju mieli dość niestosowną chętkę, by ją zobaczyć.

Jej bladość i ciąża oraz uroda, której ani jedno, ani drugie nie było w stanie przyćmić, wywołały wibrację sympatii pośród osób zgromadzonych na sali sądowej. Następnie Daisy wręczyła dziennikarskiemu plemieniu kolejny prezent, jakże drogi ich kochającym sensację sercom. Zemdląca. Lub też, jak ostrożnie nazwali to niektórzy spośród reporterów: „Zajmując miejsce, świadek upadła, najwyraźniej w stanie zapaści”. Lekarz, który wraz z Thorne'em wprowadził ją na salę, natychmiast – jak napisano w gazetach – „zaaplikował środki wzmacniające”. Podczas gdy mężczyźni pochylali się nad opartą bezwładnie na krzeselku dziewczyną, Bruce Rogers, który zimno przypatrywał się temu nowemu i najbardziej niebezpiecznemu dla jego klienta świadkowi, poczuł dziwne ukłucie – cała scena zdała mu się nagle makabryczna, zobaczył w Daisy ofiarę cuconą tylko po to, by poddać ją dalszym katuszom.

Daisy wreszcie doszła do siebie. Słyszała swój głos, jak składa przysięgę, słyszała, jak przewodniczący składu sędziowskiego mówi, że może składać zeznania na siedząco.

Prokurator Brownleigh, gdy zaczął ją przesłuchiwać, traktował Daisy z przesadnym wręcz szacunkiem i troską – jakby była wdową po bohaterze narodowym, a nie kochanką podejrzanego o morderstwo.

- Nie chciałbym sprawiać pani przykrości, panno Bland. Będę starał się w ten sposób formułować pytania, by mogła pani odpowiedzieć krótko, tak lub nie. Jeśli poczuje się pani zbyt wyczerpana, proszę po prostu mi powiedzieć.

Daisy uśmiechnęła się słabo. Wyczerpywało ją tylko jedno: straszna walka pomiędzy strachem i pragnieniem – pragnieniem, by podnieść wzrok, rozejrzeć się po sali sądowej i znaleźć Hugo oraz strachem przed tym, co mogła zobaczyć w jego twarzy.

Jak automat odpowiadała na pytania pana Brownleigha, odtwarzając przebieg zdarzeń, które zaczynały już zacierać się w jej pamięci. Spacer po esplanadzie tego wieczoru, paczka, pełne udręki czekanie, powrót Hugo – to wszystko zdawało się jej nierzeczywiste, jak coś, o czym czytała dawno, dawno temu. Odpowiadała jakby oszołomiona, mechanicznie, co wywołało pewne zażenowanie u niektórych spośród obecnych. Przez chwilę tylko zdawało się, iż powraca do życia. Podano jej zielony kaszkiet i prokurator spytał, czy go poznaje.

- Podobny do tego, który podarowałam Hugo – odparła. W ciągu całego przesłuchania nie była w stanie nazywać go „więźniem” czy „oskarżonym”, a sędziowie nie udzielili jej nagany za takie naruszenie etykiety.

- Tego, który kupiła pani w Brighton?
- Tak.
- Proszę spojrzeć na metkę wewnątrz – czy to nazwa sklepu, w którym go pani kupiła?
- Obawiam się, że nie zwróciłam uwagi na nazwę sklepu.
- Czy kiedy oskarżony zostawił panią na esplanadzie, miał na sobie zielony kaszkiet?
- Tak.
- A kiedy wrócił, czy nadal go miał?

- Nie.
- Czy powiedziała coś pani wtedy na ten temat?
- Zapytałam, czy go zgubił.
- Jaka była odpowiedź?
- Że zwiął mu go wiatr.
- Czy nie zdziwiło pani, że nie szukał nowej czapki, którą mu pani niedawno podarowała?

Bruce Rogers podniósł się, by wnieść sprzeciw. Nikt nie usłyszał wypowiedzianej cichym głosem odpowiedzi Daisy. Podczas dyskusji, jaka potem nastąpiła, Bruce przez chwilę popatrzył na Daisy – kciukiem delikatnie gładziła kaszkiet, na który spłynęła łza.

Pan Brownleigh oznajmił, że zakończył przesłuchanie świadka. Bruce Rogers nie wstał, by również ją przesłuchać. Jego klient powiedział jasno, że nie życzy sobie, by męczono dziewczynę bardziej niż to konieczne. Ponadto na tym etapie Bruce nie zamierzał jeszcze ujawniać linii obrony, którą planował obrać podczas procesu. Gdy Daisy miała już opuścić miejsce dla świadka, zebrała się na wielki wysiłek i po raz pierwszy spojrzała na Hugo. Prawie niezauważalnie potrząsnął głową, a potem uśmiechnął się do niej, z takim ciepłem

i czułością, że poczuła się, jakby miała się zaraz rozpląnąć. Próbowwała również się uśmiechnąć, ale nie była w stanie opanować drżenia warg, a chwilę później wyprowadzono ją z sali. Hugo jej wybaczył. Hugo nadal ją kochał, pomimo tego, co zrobiła. Wiedziała już, że zrobiła źle – ten lekki ruch głową powiedział jej wszystko. Od tej chwili miała przed sobą tylko jeden cel – naprawić zło, które wyrządziła.

Pod koniec dnia oskarżyciel zakończył przesłuchiwanie świadków. W odpowiedzi na pytanie przewodniczącego sądu pokoju oskarżony odrzekł: „Jestem niewinny. To wszystko, co mam do powiedzenia”. Ustalono, że zostanie osądzony podczas najbliższej sesji sądu wyjazdowego. Tyle dowiedziała się Daisy z gazety następnego ranka. Potem wyszła z domu, mówiąc gospodyni, że chce odetchnąć świeżym powietrzem nad brzegiem morza. Jednakże to nie nad morze skierowała swe kroki.

## **19.**

### ***Daisy idzie do adwokata***

**B**ruce Rogers był młodym człowiekiem, w którego życiu nie było miejsca nawet na szczyptę szaleństwa. Urodzony i wychowany w Southbourne nigdy nie miał ambicji wykraczających poza uzyskanie pozycji partnera w rodzinnej kancelarii adwokackiej, co po zakończeniu edukacji w zakresie prawa i upływie odpowiedniego czasu miało nastąpić tak jak po dniu następuje noc. Edukację przerwał mu wybuch wojny, podczas której robił to, co do niego należało, a nawet trochę więcej, a przetrwał dzięki zachowywaniu ostrożności, tak potrzebnej zarówno prawnikowi, jak i żołnierzowi na polu walki. Doświadczenia z Normandii i walk o wyzwolenie Niderlandów, choć nie wytrąciły go z równowagi, to sprawiły, iż przytulna kwatera w Southbourne oraz bezpieczna rutyna pracy w kancelarii prawnej wydały mu się jeszcze bardziej godne pożądania. Wrócił tam z ulgą gonionego lisa dopadającego swej nory. W odpowiednim czasie został współnikiem, ożenił się, przyjemnie urządził mały domek na przedmieściu Southbourne, grywał w brydża, czasami w golfa, troszczył się o własne zdrowie i sprawy klientów. Kochał żonę, lecz do Prawa żywił specjalne uczucia – wręcz synowskie oddanie – i miał ku niemu wrodzone uzdolnienia.

Jego wuj, starszy partner, postać nieco dickensowska, ze skłonnością do madery i tabaki, rozmyślnie

ekscentryczny w sposobie ubierania się i zachowania – uważał młodego Bruce'a za strasznego nudziarza. Młody mężczyzna o umyśle człowieka w średnim wieku, autentycznie rozkoszujący się prawnymi kruczkami, dla którego słowa wyszumieć się i szumieć niczym się nie różnią, potrzebuje, by nim potrząsnąć – tak myślał wuj Percival, powodowany wspomnieniem przelotnego romansu z barmanką sprzed czterdziestu laty, który czas przeobraził w historię miłosną na miarę Antoniusza i Kleopatry. Tak więc, gdy jego kancelarii powierzono obronę tego domniemanego młodego przestępcy, Chestermana, wuj Percival wyznaczył do tego zadania Bruce'a. Ten chwalebny cel – wstrząśnięcie zasadami bratanka i poszerzenie jego horyzontów – osiągnięty został w znacznym stopniu.

W tej chwili Bruce musiał zmierzyć się z trzema przeszkodami: mieszkańcami Southbourne, dziennikarzami i jego własnym klientem. W mieście morderstwo to wywoływało takie emocje, że nawet przedstawiciel prawny podejrzanego poruszał się po grząskim gruncie. Nie rozwodząc się nad tym zbyt, powiedzmy tylko, że nawet niektórzy spośród jego znajomych dali Bruce'owi do zrozumienia, iż nie podoba im się jego związek z tą sprawą, podczas gdy inni, tak samo niemający pojęcia o kodeksie postępowania w zawodzie prawnika, obrażali się, gdy nie chciał na ten temat plotkować i ujawniać wszystkich szczegółów dotyczących klienta. Raz nawet zdarzyło się, że gdy wychodził z sądu, został wygwizdany przez grupę gapiów. Jednakże Bruce, któremu nie brakowało nie tylko uczciwości, ale i odwagi, odczuwał to wszystko jedynie jako nieznaczące utrapienie.

Większe kłopoty sprawiali dziennikarze. W toku postępowania sądowego w Southbourne aż roiło się od reporterów, których przyciągał zapach *cause célèbre*. Przystępstwo samo w sobie, postacie oskarżonego i jego ukochanej wystarczyły, by wzbudzić wyjątkowe zainteresowanie. Gdy stało się oczywistym, że ten facet na ławie oskarżonych, jakby prosto z prywatnej szkoły, jest nie tylko domniemanym zabójcą, ale i zawodowym włamywaczem, zaczęło robić się głośno. Do czasu zakończenia procesu w prasie ukazywać się mogły wyłącznie

informacje o podstawowych zdarzeniach z sądu pokoju. Ale dziennikarze pracowicie wydobywali na światło dzienne rozmaite fakty, rozmawiali z co sprytniejszymi znajomymi Hugo w Londynie, zamęczali jego brata i tak dalej, poszukując tętniących życiem historii, które można by opublikować po wyznaczonym i nieuniknionym zakończeniu procesu – w wielu z tych historii przewijało się porównanie do samego Rafflesa. Bruce Rogers, który początkowo traktował to wszystko mniej więcej jak dochodzący z daleka, choć nieprzyjemny zapach, szybko jednak doświadczył nieprzyjemnych skutków powiązania z tą sprawą. Być obsadzonym w jednej z gazet w roli „bohatera wojennego, który broni oskarżonego o zabójstwo policjanta” to już wystarczająco obrzydliwe, ale gdy dziennikarze napadali go na ulicach, a nawet wiercili dziurę w brzuchu jego żonie, by udzielała im wywiadów, stało się to nie do zniesienia.

To wszystko jednak to betka w porównaniu z trudnościami, które przedstawiał Hugo Chesterman. Po pierwsze, osobowość Hugo. Na zmianę skryty lub szczery, ponury albo czarujący, ożywiony lub pogrążony w jakiejś nieprzejednanej obojętności, Hugo był wyjątkowo trudny we współpracy. Od czasu do czasu Bruce miał wrażenie, że Hugo w duchu się z niego śmieje. Jako oficer spotykał się już z podobnym uporem i skrywaną drwiną, których nigdy jednak nie można było uznać za niesubordynację, a teraz znów miał z tym do czynienia. Podczas rozmów stopniowo zdał sobie sprawę, iż Chesterman to urodzony anarchista, pogardzający, lub też niezdolny przyjąć społecznych wartości, które on sam uważał za oczywiste. Przez cały czas Hugo upierał się, że w czasie, gdy dokonano morderstwa, był z „żoną” w kinie i że policja chce go zrobić. Gdy prokurator Brownleigh stwierdził na wstępie swego wystąpienia, iż zamierza powołać na świadka Daisy Bland, i przedstawił pokrótce jej wersję, Hugo powiedział później Bruce'owi, że „wszystko jej się pomieszało” z wydarzeniami poprzedniego wieczoru – albo że policja

zmusiła ją do takich zeznań. Ale Bruce nie mógł uzyskać potwierdzenia tego alibi od osób, które były tamtego wieczoru w kinie, a jego klient nie pozwolił mu przesłuchać Daisy. Przez tę krnąbrność Bruce miał od czasu do czasu ochotę rzucić tę sprawę. Powstrzymywała go jednak przed tym własna sumienność i widoczne oddanie oskarżonego w stosunku do dziewczyny. Ponadto ponieważ pewnym było, że sprawa zostanie skierowana dalej, na tym etapie nie było sensu ujawniania linii obrony w zakresie szerszym niż alibi, na którym miała się opierać.

Tego ranka, dzień po tym, jak postawiono Hugo w stan oskarżenia, Bruce Rogers ponuro rozważał możliwości działania. Starał się nie przesądzać we własnych myślach o niewinności czy winie klienta, ale waga dowodów świadczących przeciw niemu była wręcz przytłaczająca. Na jego korzyść nie było nic prócz niepotwierdzonego alibi, faktu, że nie rozpoznał go żaden ze świadków oraz niejasna historia o Joe Samuelsie, który umówił się z nim na spotkanie – tak twierdził Hugo – wieczorem przed dokonaniem morderstwa, a potem się nie pojawił. Joe i dwóch innych mężczyzn, znanych policji, z pewnością byli tego wieczoru w hotelu „Queen's”, ale sprawdzono ich dalsze poczynania i główny inspektor Nailsworth był przekonany o tym, iż w momencie popełnienia morderstwa byli na drodze do Londynu.

Bruce mógł wynająć prywatnego detektywa, by sprawdzić alibi Joego Samuela, ale jeśli policja uznała, że jest ono bez skazy, prywatny szpicel miał małe szanse. Wuj Percival stanowczo nie zgadzał się z nim w tym względzie.

– Mój drogi chłopcze – powiedział – policja zużyła już wiele energii, żeby pogrążyć naszego klienta. Dlaczego mieliby teraz to niszczyć? Myślisz, że *naprawdę* przejęli się wątkiem Joego Samuela, skoro mają w rękach świetnego podejrzanego?

Ten argument zszokował Bruce'a, który miał typowy dla klasy średniej stosunek do policji, uważał policjantów za nieprzekupnych stróżów własności, prawa i porządku. Wspomnił coś o kosztach, jakich będzie wymagać takie dochodzenie.

– Koszty? Do cholery z kosztami! – rzucił wuj Percival, wkładając sobie do nosa wielką szczyptę tabaki. – To świetna reklama dla kancelarii. Spójrz na to z tej strony. W naszym zawodzie jest tylko jedna zasada: „Klient jest najważniejszy”. Masz zamiar walczyć czy tylko udawać?

– Cóż, wuju, oczywiście...

– Walcz więc do końca, mój chłopcze. Skontaktujemy się z Henrym Jervoise w kwestii obrony – w dawnych czasach był wielkim przyjacielem twego ojca. I nie mów mi, że nie możemy sobie na to pozwolić. Ten dziwak, Mark Amberley, pokrywa częściowo koszty prawne, prawda?

– Tak. Jest bardzo hojny.

– Hojny, też mi coś! Przynajmniej tyle może zrobić po tym, jak się wygadał. Płaci, żeby uspokoić sumienie, tak? A ta dziewczyna, jak jej tam? – Daisy Bland, też powinna wyłożyć forszę.

– Zdaje się, że nie ma ani grosza.

– Możemy dać jej na kredyt, synu. Pomyśl tylko, ile te niedzielne szmatławce zapłacą za jej opowieść „Moje życie z Hugo Chestermanem”.

Bruce Rogers właśnie o tym myślał. Zeznania Daisy w sądzie okazały się jeszcze gorsze, niż przewidywał. Stwierdziła, że wcale nie byli w kinie, co samo w sobie już by wystarczyło, ale jeszcze gorsze było wrażenie szczerości i uczciwości, jakie sprawiała ta dziewczyna. Nikt nie potrafił skuteczniej niż Sir Henry Jervoise zdemaskować stronniczego czy nieuczciwego świadka. Ale co mógł zrobić z dziewczyną, która tak ewidentnie nie była ani taka, ani taka? A zwłaszcza gdy ze względu na jej stan trzeba było obchodzić się z nią łagodnie, by sympatie przysięgłych nie zwróciły się przeciwko nim...?

Rozmyślenia Bruce'a przerwał sekretarz, który właśnie wszedł do pokoju.

- Młoda dama chce się z panem widzieć, panie Bruce. Panna Bland.
- Umawiała się na spotkanie? – zapytał mechanicznie Bruce. – *Kto?*
- Panna Daisy Bland.
- Dobry Boże! Co do licha...? Cóż, wprowadź ją...

Daisy zbliżała się do niego jak rzeźbiona postać na dziobie statku pod pełnymi żaglami. W tej samej chwili zdał sobie sprawę z jej determinacji, impetu, na który – pamiętając jej bierną, nieszczęsną postawę w sądzie – nie był przygotowany.

- Co mogę dla pani zrobić, panno Bland?
- Przyszłam, bo chcę pomóc Hugo, sir. To, co wczoraj powiedziałam w sądzie, to nieprawda. Zmusili mnie do tego. Ja...

– Chwileczkę, proszę. To przecież niezgodne z prawem, rozumie pani. Proszę usiąść i spróbujemy wszystko wyjaśnić. Czy chce mi pani powiedzieć, że popełniła krzywoprzysięstwo?

– Powiedzieli, że ja również zostanę oskarżona o zabójstwo, jeśli nie opowiem tej historii. Widzi pan...

– Panno Bland, jeżeli złożyła pani pod przysięgą fałszywe zeznania, a rozumiem, że to właśnie usiłuje mi pani powiedzieć, powinna pani natychmiast powiadomić o tym sędziów pokoju lub policję...

– Ale to policja mnie do tego zmusiła, sir. Policja i doktor Jaques. Kiedy to się stało, byliśmy z Hugo w kinie, tak jak powiedział. Przez nich wszystko mi się pomieszało. Naprawdę Hugo zostawił mnie na bulwarze wieczorem poprzedniego dnia...

Jej akcent z Gloucestershire stawał się coraz wyraźniejszy, a Bruce czuł się onieśmielony intensywnością uczuć w jej głosie. Mizerność i szczerłość, które uderzyły go w sądzie, zmieniły się w żar, istną furię przekonania. W panice, jaka mogłaby ogarnąć człowieka na płonącym wrzosowisku, zadzwonił dzwonkiem i poprosił sekretarza, by zapytał pana Percivala, czy może poświęcić mu kilka minut.

Wuj Percival przywitał Daisy ze staroświecką grzecznością, jaką rezerwował dla atrakcyjnych kobiet. Nie okazał wielkiego zaskoczenia jej obecnością. Przyglądał jej się uważnie, gdy powtarzała powody swego przybycia. A potem rzekł:

– Moja droga młoda damo, chce pani, byśmy uwierzyli, że to, co powiedziała pani w sądzie, to czysty wymysł? Dlaczego więc złożyła pani takie zeznania, wiedząc, iż mogą one bardzo zaszkodzić naszemu klientowi?

– Bałam się, sir. Jacko, tak nazywamy doktora Jaquesa, powiedział, że policja oskarży mnie o współudział, jeśli tego nie zrobię. A także, że Hugo chce, bym to zrobiła, by w ten sposób mnie uratować. Dlatego właśnie przyjechaliśmy z Jacko do Southbourne, by spróbować odnaleźć rewolwer.

– Proszę nie mówić o kilku sprawach na raz, droga pani – powiedział wuj Percival, tym razem dość lodowatym tonem. – Nadal nie rozumiem, dlaczego myślała pani, iż będzie dla pani bezpieczniej, jeśli opowie pani historię o tym, co zdarzyło się na bulwarze, a nie prawdę – że była pani z Chestermanem w kinie.

Spojrzała na Percivala Rogersa swymi błękitnymi oczyma, płonącymi jak ognie samopotępienia. – Wiem, że źle zrobiłam. Ale byłam chora. Nie byłam w stanie myśleć. Zrobiłam to, co Jacko uznał za najlepsze. Nie rozumie pan, że teraz mówię prawdę?

Nawet jeśli wuj Percival rozumiał, nie dał tego po sobie poznać. Zaczął 172przepytować Daisy w tak bezlitosny sposób, że Bruce chciał mu przerwać, zdał sobie jednak sprawę z tego, iż wuj sprawdza, czy dziewczyna poradzi sobie z krzyżowym ogniem pytań w sądzie. Daisy, choć

chwilami się denerwowała, poradziła sobie całkiem nieźle. W każdym razie Bruce'owi jej zachowanie wydało się teraz bardziej przekonujące niż ten oziębiały, mechaniczny sposób, w jaki przedstawiła swoją opowieść w sądzie pokoju. Sir Henry Jervoise z pewnością potrafiłby zrobić świetny użytek z tego, że dziewczyna została poddana niewłaściwym naciskom ze strony policji.

– No cóż, młoda damo – rzekł wuj Percival z chrząknięciem, gdy skończył przepytывanie – miejmy nadzieję, że szkody da się jeszcze naprawić. Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli złoży nowe zeznania, będzie pani traktowana przez oskarżenie jako stronnaczy świadek? Zakładam też, iż rozumie pani pojęcie krzywoprzysięstwa?

– Od teraz chcę mówić tylko prawdę – odparła Daisy, zaciskając pięści jakby w oczekiwaniu zbliżającej się udręki i wciąż z tym błędzącym, fanatycznym spojrzeniem.

Bruce niespokojnie kartkował leżące przed nim dokumenty. Wuj Percival wziął w zamyśleniu szczyptę tabaki.

– Co zamierza pani teraz zrobić? – spytał.

– Chcę zobaczyć się z Hugo. Chyba teraz pozwolą mi się z nim spotkać?

– Przeniesiono go do więzienia w Oakhurst, tam, gdzie odbywają się sesje wyjazdowe. Możemy załatwić pani widzenie. – Percival Rogers przerwał na chwilę. – Zdaje sobie pani sprawę, że przez cały czas będzie tam obecny strażnik? To znaczy – będziecie musieli uważać na to, co mówicie. Nie da rady wysmażyć żadnej wspólnej historyjki.

Dziewczyna chyba nie usłyszała tych słów. Wręcz promieniała ze szczęścia. Bruce'owi Rogersowi aż trudno było w to uwierzyć – jakby do tego ponurego pokoiku weszła nagle jakaś postać z bajki.

– Kiedy? Jutro?

Bruce przedstawił wymogi formalne i obiecał, że natychmiast się tym zajmie. Daisy słuchała, promieniejąc, jakby ofiarowywał jej klucz do rajów, a nie do więziennej celi.

– Czy ma pani pieniądze? – spytał.

– Nie, nic nie mam. Ale myślę, że Jacko pożyczy mi jeszcze trochę.

– Wykluczone, by spotkała się pani z doktorem Jaquesem przed zakończeniem procesu – stwierdził wuj Percival. – Czy nie ma pani krewnych, którzy mogliby pomóc?

– Moja matka nie chce mieć ze mną do czynienia od czasu, gdy zamieszkałam z Hugo. Mam ciotkę w Londynie, która...

– Musi pani napisać do matki – powiedział stanowczo Percival Rogers. – Pogodzić się z nią. Póki co pożyczymy pani pewną kwotę. – Tu mrugnął do Bruce'a. – Oczywiście, bez szkody dla kancelarii.

– Och, dziękuję panu. Oddamy, kiedy... kiedy Hugo będzie wolny. Zamierzał znaleźć pracę i ożenić się ze mną... Nie skazą go teraz, prawda?

Jej naiwność aż rozdzierała serce. Bruce znów poczuł, jakby to była postać z jakiejś legendy, z jakiegoś prostrzego, jasnego świata, w którym dobro i zło miały inne znaczenie i w którym nie znano podręczników prawa.

– Moje drogie dziecko – powiedział wuj Percival – jeszcze nie wyszliśmy na prostą. Nie możemy karmić się fałszywymi nadziejami.

– Nadzieja to wszystko, co mi pozostało, od kiedy zabrali mi Hugo.

Powiedziała to prosto, nie zdając sobie sprawy z własnej elokwencji, a uczucie kryjące się za tymi słowami zdawało się wypełniać pokój. Nawet wuj Percival zamilkł na chwilę.

– Zrobimy, co w naszej mocy, panno Bland. Może być pani tego pewna – rzekł Bruce.

Omówili plan działania, po czym Daisy wyszła. Postanowiono, że Bruce pojedzie z nią następnego

dnia do więzienia w Oakhurst. Gdy zamknęły się za nią drzwi, Percival Rogers posłał bratankowi zagadkowe spojrzenie.

- Powaliła cię na kolana, co?
- To niezwykła dziewczyna.
- Wyglądasz, jakbyś wybierał się na wyprawę krzyżową, mój chłopcze. Oszołomiony z zachwytu!
- Bzdura! – rzucił cierpko Bruce.

Percival Rogers zażył szczyptę tabaki.

– Dwie sprawy są całkiem jasne. Doktor Jaques to skończony łajdak. A to urocze stworzenie, które zrobiło na tobie takie wrażenie, kłamie jak z nut.

– Ale zdawało mi się, że byłeś usatysfakcjonowany...  
– Jestem usatysfakcjonowany, że z przekonaniem opowie tę nową historyjkę w sądzie. I spodziewam się, że na przysięgłych zrobi takie samo wrażenie jak na tobie. Ale sędzia, oho, Prentiss J, to inna sprawa. Posępny Prentiss. Sama Helena Trojańska nie zrobiłaby na nim wrażenia.

– Przykro mi, wuju, ale nie mogę zgodzić się z twoim stanowiskiem. Wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że panna Bland została zmuszona do złożenia zeznań, które usłyszeliśmy w sądzie pokoju. Zmylił ją ten Jaques, zgadzam się z tym, co o nim powiedziałaś, a potem zastraszyła ją policja. I on, i oni całkiem pomieszali jej w głowie, i dziewczynie pomyliły się dni.

– Mój ty pocziwcz! Jest bez reszty zakochana w tym młodym Chestermanie – w tym przynajmniej się ze mną zgodzisz?

– To całkiem oczywiste.

– I nie jest głupia, przy całej swej naiwności. Naprawdę myślisz, że dałaby się przekonać czy zmusić do złożenia zeznania o tym, jak Chesterman zostawił ją na bulwarze właśnie w tym czasie, gdy popełniono morderstwo, jeśli naprawdę byli wtedy w kinie, jak mówi teraz? Nie, nie, nie, to nie przejdzie. Nie mam wątpliwości, że to ten Jaques kazał jej się przyznać, mówiąc, że tak chce Chesterman. Więc się przyznała. A potem dotarło do niej, że zrobiła źle. Wystarczyło, że zajrzała do wczorajszej gazety, by zobaczyć, że kino to alibi jej kochanka. Przyszła więc do nas z tą nową historyjką, żeby to poprzec.

– Dość cyniczna interpretacja, muszę powiedzieć.

– Cyniczna! Też mi coś! Podziwiam tę dziewczynę. Myślę, że prawdziwa z niej bohaterka. Wiem, że została oszukana przez tego łajdaka, Jaquesa. Ale fakty świadczą przeciw niej.

– Nie fakty, poszlaki.

– Sprawa przedstawia się tak, że gdybyś naprawdę siedział z narzeczonym z kinie w czasie, gdy popełniono przestępstwo, żadna siła na ziemi nie byłaby w stanie zmusić cię, by w sądzie opowiedzieć zmyśloną historyjkę o tym, jak zostawił cię na bulwarze i poszedł w stronę miejsca zbrodni. Zeznanie panny Bland w sądzie było albo całkiem niedorzeczne, szalone, nie do pomyślenia, albo prawdziwe.

– A zatem to beznadziejna sprawa?

– Nigdy tego nie powiedziałem. Można tu powalczyć. Ale wszystko będzie zależeć od niezwykle trudnej kwestii. Jervoise musi teraz przekonywać sąd, iż zeznania, które panna Bland złożyła w sądzie pokoju, są nie do przyjęcia. Jeżeli uda mu się przekabacić sędziego, mamy szanse. Jeśli nie – Percival Rogers strzelił palcami – koniec z młodym Chestermanem.

## *Proces i werdykt*

Charakterystyczna dla późnej jesieni mgiełka spowijała wzgórza wokół Byworth w Cotswold. We wsi było cicho. Kamienne domki w kotlinie zdawały się zbijać w jedną kupkę, jakby chcąc ogrzać się przed nadchodzącą zimą. Dym z kominów unosił się prosto w górę, a w niektórych oknach już paliły się światła. Schodząc powoli w dół zbocza, mijając ciemnobrązowe pola, które pamiętała z dzieciństwa jako żółte od kwiatów gorczycy polnej, Daisy czuła się jak duch powracający z zaświatów. Wydarzenia ostatnich dwóch tygodni żyły wciąż w jej umyśle, kręcąc się w kółko jak szczątki wraku w morskim wirze. Nie potrafiła dostrzec w nich żadnego ładu ani sensu, sama czuła się jak dryfujący kawałek drewna, na łasce prądów, w tej chwili spychany z głównego nurtu do martwej zatoki, gdzie nic się nie dzieje.

Rzeczywiście aż do procesu nie miała już nic do zrobienia. Jeszcze siedemnaście dni, w czasie których nic się nie wydarzy. Sama nie wiedziała, czy wołała, by wlokły się czy galopowały. Z perspektywy czasu zdawało się, że pierwszych dziesięć dni po wizycie u Bruce'a Rogersa minęło tak szybko, że zlewały się w jedno. Były kolejne spotkania z Bruce'em i jego wujem, zmiana miejsca pobytu, wizyty u nowego lekarza, próby przeprowadzenia z nią wywiadu, samotne spacerunki po bulwarze nadmorskim w Southbourne, podczas których czuła na sobie spojrzenia ciekawskich, nie wrogie ani współczujące, lecz uważne i prawie nieśmiałe, jakby była chodzącą zagadką, zwierzęciem nieznanego gatunku. I oczywiście spotkania z Hugo.

Trzy razy Bruce Rogers zabrał ją do więzienia w Oakhurst. Trudno jej było spokojnie o tym myśleć. Namiętne pragnienie, by zobaczyć się z Hugo, stało się jej obsesją już w momencie, gdy się rozstali. Bruce starał się przygotować ją na to, co miała tam ujrzeć – ponure pomieszczenie, krata, czujny strażnik w pobliżu. Ale nie to było najgorsze, gdy teraz o tym myślała. W zachowaniu Hugo było coś, co dzieliło ich bardziej niż jakakolwiek krata. Choć patrzył na nią i mówił do niej z czułością, za każdym razem gdy go odwiedzała, odnosiła coraz silniejsze wrażenie, wzmożone jeszcze przez jego więzienną błądź, iż Hugo żyje w świetle, do którego ona – mimo całej swej miłości – nie ma wstępu. Hugo był jak człowiek śmiertelnie chory, który przygotowuje się, by zrezygnować z wszelkich pretensji do niej, a nawet do życia. Mówił cicho, przygnębionym tonem, jak chore dziecko albo starzec, z rzadka tylko odrywając wzrok od jej twarzy, siedział spokojnie, zamknięty w sobie. Do zbliżającego się procesu miał stosunek zgoła fatalistyczny i gdyby Bruce nie wyraził wobec Daisy swego podziwu dla odwagi Hugo, mogłaby wziąć ten fatalizm za tchórzliwą rezygnację. Szybko zorientowała się, że Hugo chce, by opowiadała o sobie, o dziecku, o tym, co robiła, o planowanej wizycie u matki i o związanych z nią wspomnieniach z dzieciństwa – o czymkolwiek, byle nie o procesie.

Raz tylko wykazał się przebłykiem dawnej żywotności. Daisy otrzymała list od Jacko, w którym zapytywał z największą troską, czy może coś zrobić, by pomóc Hugo, oraz wyrażał smutek, że nie odezwała się do niego od czasu, gdy wyjechała z Londynu. Gdy opowiedziała o tym Hugo, twarz mu pociemniała i rzucił:

– Gdybym choć na chwilę mógł się spotkać z Jacko, mieliby mnie za co powiesić.

Zimny gniew w jego głosie przestraszył Daisy, która nie do końca zdawała sobie sprawę z podłości Jacko.

– Nawet mi o nim nie mów. To on napuścił na mnie policję. On pomógł im znaleźć rewolwer. On wrobił cię w to, żebyś opowiedziała wszystko w sądzie. Pewnie nawet nie dał ci mojego listu.

– Listu, kochanie? Napisałeś do mnie list? Byłam pewna, że napiszesz.

– Napisałem, że się z tobą ożenię tak szybko, jak tylko się da, i poprosiłem, żebyś wszystko



przygotowała. Ten lajdak musiał nieźle się bawić, wiedząc, że policja już czeka, by mnie przyskrzynić.

– Ale mógł przecież dać mi ten list. To by wszystko zmieniło. – W tej chwili to właśnie to niczym nieuzasadnione zniszczenie listu, a nie zdrada, wydało się Daisy największą podłością.

– Nie przekazał ci w tym dniu żadnych wiadomości ode mnie?

– Powiedział, że chcesz... – tu Daisy popatrzyła niespokojnie na strażnika – żebym złożyła zeznanie w sądzie. W innym razie nigdy bym nie...

– Wiem, kochanie. Rogers mi o tym powiedział. Nie możesz się o to obwiniać. Obiecujesz?

Powiedział to z wielką czułością, aż jej serce przepełniło się wdzięcznością i zabrakło jej słów. Jednakże w jego dobroci było coś tak dalekiego, takie roztargnienie, że wydawał się obcy. Wolałaby dawnego Hugo, czasem samolubnego, szorstkiego i bezmyślnego. Gdy matka Daisy poprosiła ją w liście, by przyjechała do domu, Hugo w pełni zaakceptował ten pomysł.

– Ale wtedy nie będę mogła cię odwiedzać – powiedziała Daisy.

– Cóż, nie jest tu najprzyjemniej, prawda? Zresztą, co z tego mamy? Dwoje ludzi, którzy przez krętą usiłują podtrzymać rozmowę.

Ta odpowiedź bardzo ją wtedy zraniła, wiedziała jednak, że ze względu na jego obecny stan ducha musi traktować go ulgowo. Ale dzisiaj, idąc w dół wzgórza ku domkowi matki, Daisy nagle doznała olśnienia. Hugo chciał jej dobra, odsuwał się od niej z rozmysłem. Nie chciał, by dzieliła jego cierpienia czy złe przeczucia, nic nie mówił, by nie denerwować jej jeszcze bardziej. To było tak jakby delikatnie rozluźniał więzy między nimi, robiąc, co w jego mocy, by złagodzić ból ostatecznego pożegnania.

– Jesteś dobrym człowiekiem, mój Hugo – wyszeptala. – Nie mógłbyś tego zrobić. Nie zrobiłeś tego, prawda, kochanie?

W myślach często zadawała mu to pytanie, którego nie ośmieliła się zadać naprawdę. Kochanek w jej myślach zawsze odpowiadał: nie. Nawet w rozmowie z własną matką nie potrafiłaby przyznać, że być może Hugo jest winny.

Wyjazd do pani Bland okazał się dobrym schronieniem przed kłopotami. Nie oskarżała Daisy o nic, przyjęła ją tak, jakby dziewczyna wyjechała z domu

najdalej przed miesiącem czy dwoma i najwyraźniej czekała na przyjście na świat dziecka. Informacje prasowe na temat Daisy w zasadzie nie zaszkodziły jej matce. Oczywiście mieszkańcy całej wioski byli tym bardzo przejęci. Jednakże Daisy zawsze była bardzo lubiana, a przy tym nie stała się zarozumiała – to jedyne, czego nie mogliby wybaczyć. Sprawa Chestermana dostarczyła im dramatyzmu, źródła niekończących się plotek oraz podniecającego uczucia, jakby sami znaleźli się na pierwszych stronach gazet. Pani Bland, jak głosiła ogólna opinia, przyjęła to bardzo dobrze, nie była ani bezczelnie pewna siebie, ani zastraszona. A gdy pojawiła się Daisy, smutna, przerażona i prosząca o wybaczenie, wyglądając zupełnie inaczej, niż można by się spodziewać po dziewczynie, która w wielkim mieście zeszła na złą drogę, zamknęły się usta nawet najbardziej złośliwym plotkarzom. To, że miała urodzić nieślubne dziecko, nie miało wielkiego znaczenia w środowisku, gdzie takie rzeczy były wręcz tradycją. Przez kilka pierwszych dni nie widywała się z nikim, co uznano za właściwe w jej sytuacji. Wreszcie jedna czy dwie sąsiadki, wiedzione nieopanowaną ciekawością, wpadły z odwiedzinami do pani Bland. I tak kula zaczęła się toczyć – wszelkie obawy Daisy, że będzie traktowana jak wyrzutek, uspokoiły się. Jej zachowanie zadowoliło najsurowszych krytyków, a jej trudna sytuacja – niezależnie od tego, jak bardzo mieszkańcy wsi napawali się nią w zaciszu swych domów – wywoływała życzliwość u tych, z którymi się spotykała.

Daisy nie chciała być dla matki ciężarem. Rano, gdy ta wychodziła do pracy, zajmowała się

wycieraniem kurzu i pucowaniem całego domu. W południe przygotowywała dla dwóch młodszych braci obiad, by mieli co zjeść po powrocie ze szkoły. Popołudniami chadzała na krótkie samotne spacerunki, gdyż Hugo mówił jej, że musi się dużo ruszać. Podczas tych spacerów nikt nie przeszkadzał jej w rozmyślaniach o Hugo. Chodziła powoli i ostrożnie, bowiem obawiała się, że jeśli dziecko urodzi się za wcześnie – a termin porodu wyznaczono na tydzień po rozpoczęciu procesu – nie będzie mogła złożyć zeznań. Każdego dnia sąsiedzi widywali dziewczynę idącą ciężkim krokiem lunatyka na drodze prowadzącej poza wieś. Starsi pamiętali, jak będąc dzieckiem, biegała tamtędy w towarzystwie innych dzieci, niosących całe naręcza pierwiosnków, jesienią ze śladami jagód na buziach i z nitkami porostów na ubraniach.

Była wyjątkowo ślicznym dzieckiem, pamiętali – prawdziwa mała królowa maja.

Dla Daisy również był to czas powrotu do dzieciństwa. Matka, z właściwym wiejskim kobietom taktem i powściągliwością w okazywaniu emocji, nigdy nie mówiła o życiu Daisy w Londynie czy o Hugo. Rozmawiały o dalszej przeszłości, o tym, co działo się w wiosce – o wszystkim prócz tego, co naprawdę zajmowało myśli Daisy. Pani Bland, pogodziwszy się z córką, była zdecydowana zapomnieć na zawsze o przyczynie ich rozłąki. Z jej zachowania wynikało, iż uważa, że Daisy dostała nauczkę i skończyła z Hugo, a dziewczyna nie miała nic przeciwko temu, by utrzymywać tę uprzejmą fikcję. Czuli, że to część procesu ozdrowienia, który miał pomóc jej przygotować się na zbliżający się koszmar – a właściwie dwa koszmary.

**W** ostatnie popołudnie przed rozpoczęciem procesu Bruce Rogers spotkał się z Daisy na dworcu w Oakhurst i zawiózł ją do hoteliku na rogatkach miasteczka. Zazwyczaj senne, porządne miasteczko Oakhurst przepełniała dziś nieokreślona atmosfera podniecenia, oczekiwania. Ludzie zatrzymywali się na głównej ulicy, rozmawiając, łącząc się w grupy, które rozpraszały się z wielkim trudem, jakby w przeddzień jakichś zamieszek. Zauważało się też napływ znacznej liczby osób spoza miasta.

Narastające napięcie zdawało się wznosić jak fala i zamieniać w absolutną ciszę, gdy następnego ranka, po tym jak oskarżyciel przedstawił zarzuty stawiane Chestermanowi, Daisy Bland wezwano na pierwszego świadka. Ze względu na słaby stan zdrowia miała złożyć zeznania poza porządkiem dnia. Czystość jej rysów, uroda i autentyczna szczerść, jakie z nich emanowały, dziwnie kontrastujące z prowincjonalną wymową dziewczyny, gdy składała przysięgę, zrobiły w sądzie niebywałe wrażenie. Podczas procesów karnych często zdarza się, że oskarżony – gdy pierwsza ciekawość widzów co do jego wyglądu zostanie zaspokojona – jest właściwie tylko marionetką, a cała uwaga skupia się na oskarżycielu i obrońcy przyodziewających go w szaty winy lub niewinności. Pojawienie się Daisy wywołało zainteresowanie osobą oskarżonego. Pełne miłości spojrzenia, jakie wymienili, gdy zajęła miejsce dla świadka, zelektryzowały salę. Bruce Rogers wręcz fizycznie odczuwał poruszenie widzów, zdawało mu się, że słyszy ich myśli: jak taka dziewczyna mogła się zadawać z włamywaczem, z mordercą? Widział, jak oczy przysięgłych zwracają się ku postaci w ławie oskarżonych, jakby tam szukając rozwiązania zagadki, i domyślał się, że widzą teraz Hugo – wyglądał tak spokojnie, tak męsko, jak dżentelmen – w nowym świetle, świetle odbitym od Daisy.

Jednakże, o ile uroda dziewczyny wywarła silne wrażenie, to jej pierwsze słowa wprost zatrzęsły posadami sądu. Prokurator Brownleigh dał jasno do zrozumienia w mowie otwierającej, że oskarżenie będzie opierać się głównie na oświadczeniu panny Bland. Poprosił nawet sąd o najwyższą wyrozumiałość wobec świadka ze względu na jej stan i związki z więźniem. Usłyszawszy odpowiedź na pierwsze pytanie, pan Brownleigh poczuł się tak, jak mógłby się poczuć, gdyby przechodząc przez dobrze znane drzwi,

znalazł się nagle w zupełnie obcym pomieszczeniu. Trzymając się kurczowo barierki przy miejscu dla świadka, mówiąc najczystszy, najszczerzy tonem, Daisy oświadczyła bowiem:

– Przykro mi, sir. Nie mam nic do powiedzenia. Nie mogę składać zeznań. Nic mi nie wiadomo o tym morderstwie.

Na sali zawrzało, zrobił się ruch. Gdy twarze obracały się to tu, to tam, by spojrzeć na sędziego, na oskarżonego, oskarżyciela, świadka i zobaczyć reakcje innych obecnych na sali, zdawało się, jakby wiatr poruszył listkami topoli. Prokurator Brownleigh otworzył na chwilę usta, po czym odzyskał panowanie nad sobą.

- Czy dobrze się pani czuje?
- Tak, sir, dziękuję.
- Czy mam rozumieć, że wycofuje pani zeznania złożone w sądzie pokoju?
- Tak.

Prokurator Brownleigh natychmiast poprosił sędziego o pozwolenie na przesłuchanie panny Bland w kwestii zeznań złożonych przed sędzią pokoju. Nie miał wyjścia, musiał traktować ją jak wrogiego świadka. Punkt po punkcie pytał o wszystkie szczegóły – za każdym razem mówiła, że owszem zeznała tak, ale nie było w tym ani śliska prawdy. Prokurator Brownleigh zamilkł na chwilę, po czym patrząc na nią surowo, zapytał: – Czy może pani powiedzieć sądowi, dlaczego złożyła pani takie oświadczenie, które, jak pani teraz twierdzi, jest kompletnym wymysłem?

– Zostałam do tego zmuszona.

– Sugeruje pani, że policja wywierała na panią nacisk?

– Nie, sir. To doktor Jaques. Powiedział mi, że jeśli nie złożę takich zeznań, również zostanę oskarżona o morderstwo.

– Uwierzyła mu pani?

– Tak. Byłam chora. Nie byłam w stanie jasno myśleć.

– Moim zdaniem pierwotne zeznanie było prawdziwe, a teraz wymyśliła pani tę historyjkę o kinie, bo zrozumiała pani, jak bardzo tamto zeznanie może zaszkodzić oskarżonemu.

– Nie, sir – odparła Daisy, łkając.

Prokurator Brownleigh mówił potem uprzejmym, obojętnym tonem – znęcanie się nad świadkiem niechybnie zraziłoby przysięgłych – gdy wypytywał ją o szczegóły nowego zeznania. W żaden sposób nie dała się wytrącić z równowagi ani zbić z tropu w kwestii tego, jak spędziła czas wieczorem w dniu popełnienia morderstwa: ona i oskarżony byli w kinie od 17.15 do około 19.45, wrócili do pensjonatu, skąd jakiś kwadrans później poszli do innego kina.

Daisy, ku rozczarowaniu widzów i większym upodobaniu do dramatyzmu, zachowała spokój podczas całego przesłuchania. Gdy jednak prokurator Brownleigh zapytał o przyjazd do Southbourne wraz z doktorem Jaquesem, widać było, iż dziewczyna jest bardzo poruszona.

– Czy powie pani sądowi, w jakim celu tam pojechaliście?

– Doktor Jaques stwierdził, że policja zacznie szukać rewolweru na plaży i że trzeba go ukryć w bezpieczniejszym miejscu.

– Czyli wiedziała pani, że rewolwer to dowód obciążający oskarżonego?

– Słucham? – przez moment na twarzy Daisy malował się niezbyt mądry wyraz.

– Powiem tak – oskarżyciel nie tracił cierpliwości – jeżeli więzień nie użył niedawno rewolweru, nie użył go, by zastrzelić inspektora Stone'a, w jaki sposób znalezienie go mogłoby mu zaszkodzić? Jaki w takim razie był cel tego planu, by ukryć go bezpiecznie?

Wargi Daisy zadrżały.

- Próbuje mnie pan podpuścić – krzyknęła.
- Próbuję dowiedzieć się prawdy.

Daisy wybuchła płaczem.

- Będę mówić tylko prawdę.

Dziennikarze pilnie gryzmoлили. Mniej więcej coś takiego: Scena w Sądzie, Świadek Załamuje się Podczas Przesłuchania. Chcę Mówić Tylko Prawdę.

Gdy Daisy się uspokoiła, prokurator Brownleigh nie pytał już o ten wątek. Zajął się teraz aresztowaniem świadka i doktora Jaquesa. Uzyskał od Daisy potwierdzenie, że podczas przesłuchania na posterunku, które nastąpiło później, nie wywierano na nią żadnego niewłaściwego nacisku. Wreszcie usiadł.

Wstał Sir Henry Jervoise, wysoki, tyczkowaty mężczyzna z monoklem i o zagadkowym spojrzeniu, któremu potrafił nieoczekiwanie nadać zimny i pełen niedowierzania wyraz, tak deprymujący świadków oskarżenia. Jego pierwsze słowa wywołały *frisson*\* na sali.

\* *Frison* – (fr.) dreszcz.

– Panno Bland, proszę wybaczyć, że zadaję tak osobiste pytanie. Czy kocha pani oskarżonego?  
– Tak – odparła cicho, pochylając głowę, lecz głos jej zabrzmiał dźwięcznie i czysto jak odgłos trąbki z daleka.

– Niedługo zostanie pani matką jego dziecka?

– Tak, sir.

– I nie zrobiłaby pani *umyślnie* nic, co mogłoby obciążyć mężczyznę, którego tak bardzo pani kocha?

Nacisk, z jakim Sir Henry Jervoise wymówił piąte słowo tego pytania, wskazał na przyjętą linię obrony. Zamierzał nie tylko wziąć byka za rogi, ale i wykorzystać jego siłę przeciwko oskarżeniu.

– Oczywiście, że nie – odparła Daisy.

Po raz kolejny czułość w jej głosie sprawiła, że przez moment sąd, peruki i togi, wszelkie paraferalia Sprawiedliwości przemieniły się w puste widowisko.

– Jestem tego pewien. Jednak zastanawia nas wszystkich – tu Sir Henry powiódł ufnym wzrokiem po przysięgłych – jak to się stało, że złożyła pani na policji oraz w sądzie pokoju zeznanie o wiele bardziej niż prawda obciążające człowieka, którego pani kocha?

– Proszę nie wygłaszać mowy, Sir Henry – przerwał zgryźliwie sędzia Prentiss.

– Dochodzę właśnie do sedna, wysoki sędzie – stwierdził bezbarwnym głosem Sir Henry. Po czym, zwracając się ponownie do Daisy, spytał: – Czy można powiedzieć, że została pani zmuszona do złożenia takich właśnie zeznań?

Prokurator Brownleigh skoczył na równe nogi, zgłaszając sprzeciw.

– Inaczej sformułuję pytanie. Czy złożyła pani to zeznanie, które pani wycofała, ponieważ ktoś przekonał panią, że tak będzie najlepiej dla więźnia?

– Tak mi powiedział.

Sir Henry'emu monokl wypadł z oka.

– Proszę wybaczyć. Kto tak powiedział?

– Doktor Jaques przekazał mi wiadomość od Hugo, od oskarżonego, że tak właśnie mam zrobić.

– Ach, tak. *Rozumiem*. – Sir Henry odegrał człowieka, dla którego wreszcie wszystko stało się jasne.

– A pani oczywiście jest gotowa zrobić wszystko, o co poprosi panią pan Chesterman?

- Tak.
- Czy ufała pani bezgranicznie doktorowi Jaquesowi?
- Tak. Był naszym najbliższym przyjacielem.

– Czy zdziwiłoby panią, gdybym powiedział, iż pan Chesterman nigdy nie prosił go, by przekazał pani taką wiadomość? – spytał Sir Henry po chwili wymownego milczenia, które miało dać znać przysięgłym, że teraz stanie się coś ważnego.

- Tak. Choć może teraz już nie.

Sir Henry nie naciskał dalej. I całe szczęście, pomyślał Bruce Rogers, który dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak cienki jest lód, na którym Sir Henry wyczyniał swoje akrobacje.

– Panno Bland. Po tym, gdy pani i doktorowi Jaquesowi nie udało się znaleźć rewolweru i zostaliście aresztowani, złożyła pani zeznanie na policji. Czy zupełnie dobrowolnie?

– Byłam przerażona. Inspektor powiedział, że zostanę oskarżona o współudział, jeśli nie złożę pełnego zeznania, które zadowoli policję.

- A zatem nie złożyła pani zeznania z własnej woli?
- Cóż, oczywiście, otrzymałam wiadomość od Hugo...
- Tak, tak – Sir Henry wtrącił szybko. – Co stało się potem? Po tym, jak podpisała pani zeznanie?
- Inspektor powiedział, że załatwi mi mieszkanie w Southbourne. Byłam właściwie bez pieniędzy.
- U pani Chance?
- Tak.
- Wiedziała pani, że do niedawna pracowała ona w policji?
- Tak. Tak mi powiedziano.

W oku Sir Henry'ego pojawił się błysk.

- Czuła się pani, jakby nadal była w areszcie?
- Proszę nie naprowadzać świadka, Sir Henry – odezwał się surowo sędzia.
- Przepraszam, wysoki sędzie – odparł obrońca, tonem dalekim od przepraszającego. – Czy

poprosiła pani o spotkanie z panem Chestermanem?

- O tak, sir. Kilka razy. Ale nie pozwolono mi.
- Czy próbowała pani skontaktować się z krewnymi czy przyjaciółmi?
- Nie, sir. Nie czułam się najlepiej. Nie chciałam widzieć nikogo oprócz Hugo.
- Ale był u pani lekarz sądowy, z policji? – Sir Henry leciutko zaakcentował słowo policji.

Podczas tych pytań, a także później w czasie kolejnych przesłuchań świadków oskarżenia, jedna z przyjętych linii obrony stała się jasna. Sir Henry, wykorzystując wszelkie możliwości obrony w procesie, w którym oskarżonemu grozi kara śmierci, starał się zasugerować przysięgłym, iż Daisy Bland odwołała zeznanie, ponieważ składała je pod przymusem. Chciał nakreślić obraz chorej, zrozpaczonej, niewinnej dziewczyny, zmuszonej do złożenia fałszywych zeznań i obciążenia swego kochanka, by uniknąć oskarżenia o współudział w morderstwie. Jednocześnie wskazywał na stosowanie przez policję dość niewłaściwych praktyk dla uzyskania aktu oskarżenia, zanim dziewczyna wycofa zeznania, co przecież było możliwe. Pannę Bland praktycznie izolowano od świata pod nadzorem lekarza sądowego i emerytowanej policjantki. Chestermana natychmiast postawiono przed sądem pokoju, choć nie rozpoznał go żaden ze świadków. Zamiast po prostu przedstawić oficjalny powód aresztowania, jak to jest przyjęte, pannę Bland ściągnięto do sądu, by złożyła zeznania, gdy tylko pozwoliło na to jej zdrowie.

Wynikało z tego – jak Sir Henry zamierzał powiedzieć w mowie końcowej – że skoro władze podjęły tak nadzwyczajne (a chwilami budzące wątpliwości) wysiłki, by uzyskać zeznanie dziewczyny, zarzuty

oskarżenia muszą być wyjątkowo mizerne. Celem Sir Henry'ego było teraz udowodnić, że przysięgli nie mają prawa traktować jako dowodu w sprawie ani jednego słowa z wycofanego zeznania Daisy.

Sir Henry wiedział, iż werdykt będzie zależał od wskazań sędziego w tej sprawie, i starał się wykorzystać w tym celu zeznania kolejnych świadków. Niewiele udało mu się uzyskać od dwóch inspektorów, starych wyjadaczy, którzy stanowczo zaprzeczyli, jakoby wywierali niewłaściwe naciski na pannę Bland. Komisarz Thorne przyznał, co prawda, iż po aresztowaniu oskarżony powiedział, że w czasie popełnienia morderstwa był w kinie. Sir Henry wspaniale wykorzystał fakt, że świadkowie oskarżenia nie rozpoznali Chestermana. Miał jednak pewien kłopot z nowym świadkiem, urlopowiczem, który uważał, iż Daisy Bland to kobieta, którą widział na esplanadzie w świetle latarni dokładnie w czasie, gdy popełniono zbrodnię. Po przedstawieniu oświadczenia lekarskiego Sir Henry przesłuchał lekarza sądowego, pytając go o stan zdrowia Daisy w czasie, gdy składała zeznania w sądzie pokoju. Chciał, by przysięgli odnieśli wrażenie, iż Daisy podczas zeznań była otepiała, mówiła mechanicznie, w sposób zdradzający najwyższe wyczerpanie psychiczne na skutek nacisków stosowanych przez policję. Lekarz przyznał, że Daisy była niezwykle poruszona, i dodał, że ze względu na jej stan zalecił jej odpoczynek. Ostrożnie przyznał, że zachowanie Daisy w sądzie pokoju mogło oznaczać, iż jej „wyznanie” było fałszywe.

Następnie świadka ponownie przesłuchiwał prokurator Brownleigh:

– Czy istnieją jakieś powody, dla których można by myśleć, że panna Bland rzeczywiście została poddana – jak zdaje się sugerować mój uczonego kolega – procesowi prania mózgu?

Atmosfera nieco się rozluźniła, gdy oskarżyciel objaśniał znaczenie określenia „pranie mózgu”, które jak przyznał sędzia Prentiss, było mu nieznanne. Następnie prokurator powtórzył pytanie, a lekarz odparł:

– Nie. Była poruszona, ale moim zdaniem doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co mówi.

W drugim dniu procesu, po przesłuchaniu kilku mniej ważnych świadków, wezwano doktora Jaquesa. Prokurator Brownleigh wypytywał go o zdarzenia od czasu przyjazdu do Southbourne w towarzystwie Marka Amberleya do drugiej tam wizyty, która miała na celu poszukiwanie rewolweru. Pytania prokuratora były dość zagadkowe dla widzów, którzy nie mieli pojęcia o roli, jaką doktor Jaques odegrał w sprawie. Sir Henry miał sporo czasu, by podziwiać, jak umiejętnie prokurator Brownleigh posuwał się po tym ewidentnym polu minowym. On również był w dość trudnej sytuacji, gdyby bowiem spróbował zwrócić uwagę na podły charakter świadka, mogłoby to skłonić oskarżenie do przedstawienia dowodów potwierdzających przestępczą przeszłość Chestermana.

W czasie późniejszych rozmów na temat tej sprawy Sir Henry powiedział, że nigdy wcześniej, mimo długoletnich przecież kontaktów z ciemnymi typami, nie spotkał człowieka podlejszego niż doktor Jaques. Gdy wstał, by rozpocząć przesłuchanie, utkwił w świadku długie, zimne spojrzenie, które w zupełności oddało jego pogardę. Doktor Jaques odpowiedział mu we właściwy sobie sposób – tym swoim spojrzeniem brązowych oczu, jednocześnie służalczym i bezczelnym, kryjącym umysł wypaczony żądzą władzy, żądzą niszczenia. Cisza na sali jakby się pogłębiła, zauważono też, że strażnicy siedzący po obu stronach oskarżonego przysunęli się do niego bliżej.

– Oskarżony jest pańskim najbliższym przyjacielem, zdaje się? – zaczął Sir Henry.

– Znałem go dobrze od kilku lat.

– Panna Bland również jest pana dobrą przyjaciółką?

– Oczywiście.

– Czy kontaktował się pan z nią niedawno listownie?

– Tak.

- Czy napisał pan: Robię, co w mojej mocy, by pomóc Hugo.
- Nie jestem pewien, czy dokładnie tak. Napisałem, że jeśli mogę w jakikolwiek sposób pomóc, zrobię to z radością.
- Gdy przekazał pan policji poufne informacje, jakie rzekomo otrzymał pan od panny Bland, zrobił to pan, by pomóc jej i oskarżonemu?
- Uważałem, że moim obywatelskim obowiązkiem jest pomóc policji, skoro popełniono morderstwo.
- Obywatelski obowiązek. Rozumiem. A czy sumienie podpowiedziało panu, by poinformować pannę Bland, pańską najdroższą przyjaciółkę, że wyjawiał pan to policji?
- Nie, nie powiedziałem jej tego.

Poprawiając monokl, Sir Henry patrzył na świadka z niesmakiem.

- W dniu aresztowania Chestermana umówił się pan z nim na spotkanie w bufecie na stacji Charing Cross?
- Tak.
- To pan poprosił go o spotkanie, nie on pana?
- Tak.
- Czy po to, by mu pomóc?
- Cóż... Nie.
- Czy prócz pana Chestermana i pana ktoś jeszcze wiedział o tym spotkaniu?
- Tak, inspektor Thorne.
- Gdy przybył pan na stację Charing Cross, był pan zdziwiony pojawieniem się policji?
- Nie.
- Czy więzień dał panu list dla panny Bland?

Gładki tupet opuścił na chwilę doktora Jaquesa. Najwyraźniej nie spodziewał się tego pytania. Spojrzał przelotnie na mężczyznę na ławie oskarżonych, po czym, z niezwykle drżącymi wargami, co sprawiło, że przez chwilę wyglądał jak triumfujący oprawca, odparł:

- Tak, dał mi list.
- I co pan zrobił z tym listem?
- Zniszczyłem.
- Naprawdę? Czy mogę spytać, dlaczego?
- Panna Bland znajdowała się pod moją opieką lekarską. Nie czuła się dobrze i uznałem, iż treść tego listu może okazać się niebezpieczna.
- Zatem przed zniszczeniem przeczytał pan prywatny list?
- Tak było.
- I stwierdził pan jako lekarz, że propozycja małżeństwa złożona przez mężczyznę, którego kochała i którego dziecko ma urodzić, zaszkodziłaby zdrowiu panny Bland?

Doktor Jaques wzruszył ramionami.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie – rzucił Sir Henry, patrząc na niego z gniewną miną.
- Mogło ją to nadmiernie podniecić i wzbudzić fałszywe nadzieje.

Sir Henry popatrzył na przysięgłych wiele mówiącym spojrzeniem.

- Pańska troska o pacjentkę była rzeczywiście niezwykła, czyż nie?
- Czy na to również mam odpowiadać?
- Odpowiedź sama się nasuwa na podstawie pana dotychczasowych zeznań. A teraz, kiedy policja

zaaresztowała Chestermana na stacji Charing Cross, czy dla zachowania pozorów pana również aresztowano?

- Tak.
- Czy to bardzo pana zaniepokoiło?
- Nie miałem powodu do zaniepokojenia.
- Oczywiście. A kiedy udał się pan z panną Bland do Southbourne, wiedział pan, że jedziecie tam po to, by pokazać policji miejsce ukrycia rewolweru?
- Nie, myślałem, że Daisy mimowolnie wskaże policji miejsce jego ukrycia.
- Subtelne rozróżnienie, doktorze Jaques. Nie był pan więc zaskoczony, gdy okazało się, że policja przygląda wam się, gdy byliście na plaży?
- Nie, nie byłem. Nie mogliśmy znaleźć rewolweru, zdawało mi się, że ona mnie oszukuje.
- Na dworcu policja dokonała swego rodzaju aresztowania?
- Nie wiem, czy można nazwać to aresztowaniem.
- Niezależnie od tego, jak to nazwiemy, dla dziewczyny był to chyba silny wstrząs?
- Możliwe.
- Wstrząs, który jako jej przyjaciel i lekarz mógłby pan uznać za wyjątkowo niebezpieczny dla jej zdrowia?

Doktor Jaques milczał.

- Nie miał pan czasu, by napomknąć tej nieszczęsnej dziewczynie, że grozi jej aresztowanie?

Patrząc Sir Henry'emu prosto w oczy, świadek odparł spokojnie, głosem, który Bruce Rogers miał później porównać do drutu kolczastego na dnie salaterki z kremem:

- Miałem czas, ale nie miałem zamiaru.

Sir Henry oznajmił, że nie ma więcej pytań. Rzadko kiedy świadkowie opuszczali swoje miejsce tak skompromitowani jak doktor Jaques w tej chwili. Było jasne, że oskarżony nie może zostać skazany na podstawie wyłącznie

jego zeznań. Z drugiej jednak strony, choć doktor Jaques ukazany został w całej swej wręcz niewiarygodnej podłości, nie zmieniło to ani na jotę zeznań Daisy złożonych przed sądem pokoju. Gdy Jaques skłonił się przed sędzią, Sir Henry dostrzegł, iż jego twarz miała w sobie coś nikczemnego i że nawet nie starał się ukryć wyrazu triumfu, jakby – mimo że tak bezlitośnie odkryto jego podłość – udało mu się wreszcie osiągnąć cel.

W dalszej części proces przebiegał już spokojniej. Prokurator zakończył przesłuchania po południu. Sir Henry oświadczył, że nie zamierza wzywać nikogo poza oskarżonym. Sędzia postanowił przedłużyć rozprawę na kolejny dzień.

Nazajutrz Hugo Chesterman spędził w miejscu dla świadka trzy godziny. Przez cały ten czas zachowywał się spokojnie, z opanowaniem, otwarcie. Podczas gdy Sir Henry zadawał mu pytania o przebieg całej sprawy, Hugo ani razu się nie zawahał. Było jasne, iż sprawił na przysięgłych nadspodziewanie dobre wrażenie. Od czasu do czasu pozwalali sobie przyjrzeć mu się dokładniej, a nie tak jak dotychczas, rzucać jedynie ukradkowe spojrzenia, wzdrygając się przy tym. Ostatnie pytanie Sir Henry'ego brzmiało:

- Chciałbym zapytać o jeszcze jedną rzecz. Czy to pan zastrzelił inspektora Stone'a tamtego wieczoru?

- Nie – odparł zdecydowanie Hugo.

Jednakże niedługo po tym, gdy prokurator Brownleigh wstał, by przesłuchać świadka, szala zaczęła



przechylać się na drugą stronę. Cierpliwie i bez emocji zwracał uwagę świadka na luki w jego alibi, drobne rozbieżności i sprzeczności w jego zeznaniach, fantastyczne wręcz zbiegi okoliczności. Czy to nie nadzwyczajne, że paczkę z liną znaleziono dopiero rankiem po dokonaniu zbrodni, skoro wyrzucił ją w nocy przed morderstwem? Czy to nie dziwne, że w sądzie pokoju nie wspomniał o tym, iż w momencie popełnienia morderstwa siedział z żoną w kinie? Czy to nie niezwykle zbieg okoliczności, że kaszkiet, który ktoś kupił w Brighton właśnie dla niego, znalazł się niedaleko miejsca przestępstwa? Oraz że ten, kto zabił inspektora Stone'a, użył rewolweru takiego samego jak ten, który należał do Hugo? Czy można uwierzyć w to, że niewinny człowiek, tylko i wyłącznie ze strachu przed policją, zadaje sobie tyle trudu, by ze swego rewolweru usunąć odciski palców i ukryć go?

W ten sposób prokurator Brownleigh podkopywał alibi Hugo to z tej, to z tamtej strony, aż zaczęło przypominać gipsową konstrukcję, w środku całkiem pustą. Praktycznie przez cały czas przesłuchania chłodny dystans w zachowaniu Hugo dorównywał bezosobowemu sposobowi, w jaki prowadził je prokurator – równie dobrze mogliby być dwoma ekspertami omawiającymi zalety jakiegoś abstrakcyjnego twierdzenia, sprzeczącymi się zawzięcie, lecz bez osobistej wrogości, uprzejmie akceptując rozbieżności poglądów.

Po lunchu oskarżyciel i obrońca wygłosili mowy końcowe. Sir Henry użył wszystkich swych umiejętności i siły przekonywania, by podkreślić, że w obecnym procesie nie można brać pod uwagę zeznań Daisy przed sądem pokoju. Następnie sędzia Prentiss podsumował zeznania i poinstruował przysięgłych odnośnie prawnej definicji zabójstwa. To bardzo możliwe, powiedział, że człowiek, który zastrzelił inspektora Stone'a, nie zamierzał tego uczynić. Jednakże jeśli osoba podejmująca działania niezgodne z prawem, strzela do człowieka, by ułatwić sobie ucieczkę, a strzał jest śmiertelny, mamy do czynienia z zabójstwem. Sędzia wyjaśnił przyczyny leżące u podstaw takiego stanowiska i wyraził uznanie dla oddania zmarłego dla jego obowiązków. Nie ma bezpośrednich dowodów, mówił dalej, że to oskarżony oddał ten śmiertelny strzał, ale w przytłaczającej większości spraw udało się skutecznie udowodnić winę oskarżonego właśnie na podstawie poszlak, a nie dowodów. Z jednej strony oskarżyciel publiczny nie dysponuje dowodami potwierdzającymi, że oskarżony to zabójca, z drugiej jednak strony przysięgli muszą pamiętać, iż obrona nie przedstawiła niezależnych świadków potwierdzających alibi oskarżonego.

Prokurator zwrócił się do przysięgłych, by wyciągnęli wnioski z zachowania oskarżonego w czasie po dokonaniu zabójstwa, które mogło oznaczać wyłącznie, iż jest winny. Zarzuty oparto głównie na zeznaniach dwóch świadków, Daisy Bland i doktora Jaquesa. Każdy obywatel, powiedział sędzia, który wie o popełnionej zbrodni, ma obowiązek poinformować policję. Z drugiej strony trudno pochwałać zachowanie człowieka, który pozyskał przekazywane policji informacje jako zaufany przyjaciel. Z pewnością Jaques nie powinien był nadużywać zaufania oskarżonego i panny Bland, po tym, jak skontaktował się z policją. Obrońca surowo potępił postępowanie doktora Jaquesa, zasugerował też, że policja stosowała nieodpowiednie metody zdobywania informacji. Sędzia uznał, iż nie ma podstaw, by krytykować działania policji. Przypomniał też przysięgłym, iż proces toczy się przeciwko Hugo Chestermanowi, a nie doktorowi Jaquesowi. Przyznał, że trudno ufać zeznaniom doktora Jaquesa tak, jak można by im było wierzyć, gdyby uzyskano je w inny sposób. Przysięgli powinni jednak wziąć pod uwagę światło, jakie rzucają one na zeznania panny Bland. Opowiedziała ona dwie historie, zupełnie nie do pogodzenia, jedną przed sądem pokoju, drugą zaś przed tym sądem. Pierwsze oświadczenie, złożone na policji, świadczyło przeciw więźniowi. Niejasne było, jak policja ją do tego skłoniła. To naturalne, że przysięgłym może nie spodoba się myśl o jakichkolwiek naciskach

wywieranych na tę młodą kobietę – choćby nawet po to, by powiedziała prawdę. Mogą też zadawać sobie pytanie, jakich sposobów czy też jakiego przymusu musiałaby użyć policja, by kobieta taka jak ta złożyła fałszywe zeznania przeciw mężczyźnie, którego kocha. W obecnym procesie panna Bland wycofała poprzednie oświadczenia i złożyła zeznania potwierdzające alibi oskarżonego. Przysięgli mieli teraz zdecydować, która z tych historii jest bardziej wiarygodna.

Panna Bland kilkakrotnie nazwała oskarżonego „swoim mężem”, choć w rzeczywistości nie była zamężna. Sędzia nakazał przysięgłym, by pozbyli się wszelkich uprzedzeń związanych z faktem, iż oskarżony żył z Daisy Bland w nielegalnym związku. Z drugiej strony mieli prawo wziąć pod uwagę list z oświadczeniami, który do niej napisał. Pamiętając, że żona nie może zeznawać przeciw mężowi, mogli wyciągnąć lub nie pewne wnioski z tej propozycji małżeństwa złożonej kilka dni po dokonaniu przestępstwa.

Następnie sędzia przypomniał przysięgłym, bardzo obszernie i w pełni bezstronnie, poszczególne dowody wskazane w procesie. Zdaniem Sir Henry'ego sprawa była już przegrana, gdyż sędzia Prentiss nie wydał orzeczenia, zgodnie z którym przysięgli mieliby zlekceważyć zeznania, które Daisy złożyła przed sądem pokoju. Z drugiej strony fakt ten dawał możliwość apelacji. Sir Henry, odwróciwszy uwagę od monotonnego wywodu sędziego, skoncentrował się na argumentach prawnych, które zamierzał przedstawić przed sądem apelacyjnym.

Przysięgli wrócili już po kwadransie. Wyrok brzmiał: winny. Oskarżony po raz kolejny stwierdził, iż jest niewinny. Po czym ogłoszono wyrok śmierci.

## 21.

### *Ostatnia scena*

**H**ugo Chesterman obudził się, spocony i drżący, z koszmaru. Koszmaru znanego mu od czasu, który spędził w więzieniu niedługo po wojnie, a może nawet jeszcze dłużej – od kiedy w dzieciństwie czytał Poe'ego, a być może sen ten miał źródło w oschłej, nieznośnej osobowości jego ojca czy też w jakichś odległych wspomnieniach życia w macicy i walki o przyjście na świat. Śniło mu się, że był w celi, której żelazne ściany i sufit zaczęły się kurczyć, zbliżając się do niego maleńkimi, bezlitosnymi szarpnięciami. Próbował je odepchnąć, lecz ruch ten był nieubłagany. Powoli, powoli, zmiażdżą go...

– Daisy! – zakwilił jak dziecko. – Miałem straszny sen!

Ale Daisy nie było. Tylko ciemność, gryzący niepokój w nim samym i czyjeś chrapanie. Przecież Daisy nigdy nie chrapała. Hugo obudził się i zdał sobie sprawę, że rzeczywiście znajduje się w celi – w celi skazańców. Wcale nie było ciemno, słabe światło paliło się tu zawsze. A ciężki oddech był jego własnym, strażnik przecież nigdy nie zasypiał.

Po raz kolejny opanowała go panika. Czy to właśnie tego ranka? Potem mu się przypomniało. Egzekucja miała się odbyć jutro. Uśmiechnął się gorzko, gdy zdał sobie sprawę z absurdalności ulgi, jaka go ogarnęła. Jakby te dwadzieścia cztery godziny mogły coś zmienić. Oczywiście, zmieniały. Dodatkowe dwadzieścia cztery godziny życia, mimo że apelacja się nie powiodła i nie było już nadziei na ulaskawienie, to było coś dobrego. Człowiek *może* żyć bez nadziei, pomyślał, mógł żyć tylko i wyłącznie dzięki zdrowej i pozytywnej myśli o tym, że nie jest trupem.

– Rozkoszą było żyć tego ranka\* – wyszeptał.

\* Fragment wiersza Williama Wordswortha *The French Revolution as It Appeared to Enthusiasts at its Commencement* (tłum.

AS).

- Czegoś ci trzeba, stary? – spytał strażnik.
- Nie, dzięki. Recytuję sobie piękny wiersz.

Ci strażnicy, ciągle nowi, to nie byli źli ludzie. A biorąc pod uwagę fakt, iż zastrzelił gliniarza, traktowali go całkiem dobrze. Dlaczego, do cholery, nie zastrzeliłem zamiast niego tego łajdaka w szeregach, Jacko, Bóg jeden wie, pomyślał. Nawet gliniarzy świerzbią ręce, gdy o nim mówią. Natychmiast po procesie trzeba go było w tajemnicy wywieźć za granicę. Pewnie chciał dostać Daisy. Oszalał chyba!

Na myśl o Daisy znów poczuł ogarniający go niepokój. Miała go dziś odwiedzić razem z dzieckiem, po raz pierwszy po procesie i po raz ostatni. Musi jej powiedzieć coś, co ją pocieszy. To ona musi dalej żyć. Ale co, do licha, można tu powiedzieć? Bał się tej rozmowy bardziej niż tego krótkiego spotkania, które czekało go jutro – z naczelnikiem więzienia, kapłanem i katem. Od tego poranka w Southbourne widział w oczach Daisy pytanie; Hugo wiedział, że nie może pozostawić go bez odpowiedzi. Ale powiedzieć prawdę czy skłamać?

Leżał w łóżku, zmagając się z problemem natury moralnej. Przez wiele lat takie problemy dla niego nie istniały. Ale kochał Daisy, a jeśli się kogoś naprawdę pokocha, człowiek zaczyna się troszczyć o to, co dla tej osoby najlepsze, a zaraz potem zaplątuje się w rozważaniach na temat dobra i zła. Hugo wiedział, że jeśli przysięgnie Daisy, że jest niewinny, ona mu uwierzy. Dzięki temu będzie mogła iść przez życie z pewnością, że mały Thomas nie jest synem mordercy. Z drugiej strony będzie też nieść straszny ciężar, że jej zeznania doprowadziły do powieszenia niewinnego człowieka. Może więc lepiej powiedzieć jej prawdę, nawet gdyby miało to zniszczyć jej złudzenia co do jego osoby, a nawet zaciemnić wspomnienie ich miłości?

Myśli Hugo, odrywając się od tego nierozwiązywalnego problemu, zwróciły się ku wydarzeniom, na skutek których znalazł się w tej sytuacji. Znów siedział z Daisy w pubie niedaleko portu, gdzie przypadkiem usłyszał rozmowę o księżniczce i jej klejnotach. Następnego dnia przechodził obok domu księżniczki, oceniając możliwości, choć wtedy jeszcze całkiem obojętnie. Wówczas sam prawie wierzył w swój zamiar powrotu do uczciwego życia, choć teraz wiedział, że to nigdy nie leżało w jego naturze. Ale wtedy jego szczęście go zdradziło – zaprowadziło go wprost na ogrodową ścieżkę, by tam go opuścić. Hugo, jak wielu przestępców, wierzył przesądnie w szczęście. Gdy coś się nie udawało, była to wyłącznie kwestia braku szczęścia i przeklinał je tak, jak dzicy przeklinają drewniane bożki, gdy te zawiodą. To moje cholerne szczęście, że musiałem spotkać Joe'ego Samuela w barze w „Queen's” i że powiedział mi o tym beznadziejnym koniu. To moje cholerne szczęście, że księżniczka przyszła do baru, a ja musiałem podsłuchać, kiedy wychodzi na kolację. O tym jednym zbiegu okoliczności prokurator nie miał pojęcia. Bar był prawie pełen, a kobiecina chyba mnie nie widziała, inaczej przecież na policji wskazałaby na mnie. A potem chyba zwariowałem – postawić wszystkie pieniądze na konia i przegrać. Nie miałem wyjścia, musiałem buchnąć cacka tej starej.

Hugo pamiętał to z przerażającą jasnością – rozpacz Daisy i swoją niechętnie podjętą decyzję. Teraz widział, że coś w nim samym broniło się przed tym planem, mącąc mu myśli, sprawiając, że stracił zimną krew i popełniał idiotyczne błędy. Co, do cholery, kazało mu zabrać linę, a potem zostawić ją pod opieką Daisy? Przypominał sobie, że zdawało mu się wtedy, że jeśli nie zdoła wdrapać się na taras, lina może się przydać, by spróbować włamać się do domu od tyłu. Ale potem, gdy zostawił Daisy na esplanadzie, zmienił zdanie – bez wyraźnej przyczyny – i zostawił jej paczkę. Działał zupełnie bez sensu, brakowało mu zdecydowania. Czysta amatorszczyzna. A jakby tego było mało, źle ocenił czas i kiedy pojawił się na

tarasie, okazało się, że księżniczka jeszcze nie wyszła.

Zdawało mu się teraz, że nie wkładał serca w ten skok. Nie był w stanie się skoncentrować. Gdy leżał na tarasie, czekając, aż światła w sypialni księżniczki zgasną, dręczył go tragiczny, złowieszczy wyraz twarzy Daisy. Zawołała go, by wrócił. A może to był głos jego własnego serca? O czym to ojciec tak w kółko gadał? O sumieniu? Cóż, to Daisy była jego sumieniem. Sieć oszustw, jaką otoczył jej życie z nim, oplątywała teraz jego własne nogi, tak więc wszystko, co robił, ciągnęło się i kulało jak nogi człowieka w sennym koszmarze.

Podobnie niezdecydowanie i bez przekonania zachowywał się po zabójstwie. Porzucił paczkę, prosił brata i Jacko o przyjazd, ukrył rewolwer, nie omówił alibi z Daisy, wpadł prosto w ręce policji – za tymi dziecinnymi błędami musiało być coś więcej niż panika. Wewnętrzny wróg, wewnętrzny Oskarżyciel pozbawił go sił. Za brawurowym zachowaniem w dniu zaraz po morderstwie, za fatalistyczną odwagą w sądzie kryła się straszna pustka; poczucie winy pozbawiło go woli życia. Stwarzał pozory instynktu samozachowawczego, ale słabo i powierzchownie, jak umierający człowiek, który wie, że lepiej będzie, jeśli umrze.

Bowiem Hugo patrzył na swój uczynek, nie oszukując siebie samego, a na jego konsekwencje bez uzalania się nad sobą. Tego wieczoru na dachu ganku, gdy inspektor Stone kazał mu zejść, po raz pierwszy wystrzelił na oślep, nie celując, chcąc jedynie go przestraszyć, by umożliwić sobie ucieczkę. Ale przez jego pecha kula trafiła człowieka. Strzelił po raz drugi wyłącznie z powodu paniki, jaką wywołał w nim skutek pierwszego strzału. Potem wiele razy pytał sam siebie, jak mógł tak bardzo stracić głowę, by w ogóle strzelać. Jakby na moment przestał myśleć. Ale klaustrofobiczny strach przed więzieniem, pogarda dla policjantów i społeczeństwa, które reprezentują, w połączeniu z myślą o Daisy wychowującej ich dziecko w biedzie i samotności, o Daisy pozbawionej jego obecności wtedy, gdy będzie jej najbardziej potrzebny – to wszystko zdawało mu się teraz przyczyną tego aktu ślepej desperacji. To strach i miłość do Daisy pociągnęły za spust.

Hugo myślał o człowieku, który strzelił, nie próbując oczyścić go z winy czy znaleźć usprawiedliwienia. Trudno powiedzieć, że odczuwał wyrzuty sumienia. Może raczej złość na to, jak sknocił ten skok, ale nad swą ofiarą litował się nie więcej niż nad samym sobą. Inspektor nie żył, a jutro on sam również nie będzie już żył. Nie ma sensu wylewać łez nad żadnym z nich. Jeśli zabiłeś człowieka i złapali cię, mają prawo zabrać twoje życie w zamian za tamto. Ale na tym koniec: zło, które człowiek wyrządził, nie może żyć po jego śmierci, grzechy ojca nie mogą obciążać dzieci. To nie samo morderstwo, ale to, co oznaczało ono dla Daisy i ich dziecka, napawało Hugo przerażającą, głęboką rozpaczą. Dopóki nie spotkał Daisy, nie wiedział, co to miłość, ani też nie poznał ciężaru odpowiedzialności, jaki prawdziwa miłość nakłada na człowieka.

Jednakże, gdy kilka godzin później prowadzono go na spotkanie z Daisy, problem, który wcześniej tak go niepokoił, sam się rozwiązał. Zrozumiał nagle, że na tym ostatnim spotkaniu liczy się tylko prawda. Na początkowym etapie ich znajomości oszukiwał ją, częściowo z obawy przed utratą jej miłości, a i później ją okłamywał, choć nieczęsto. Teraz, choćby nawet miało to na zawsze zniszczyć jego obraz w jej oczach, trzeba powiedzieć prawdę.

– Daisy, kochana – wyszeptał przez dzielącą ich kratę. – Muszę ci powiedzieć. Zrobiłem to. Zastrzeliłem inspektora.

Z niepokojem popatrzył jej w twarz. Zobaczył wielkie zdziwienie i smutek, ale nie było w niej wstrętu.

– Wybaczysz mi, Daisy?

– Nie ma nic do wybaczenia. Zawsze byłeś dla mnie dobry.

Łagodność w jej głosie przełamała jego bariery obronne, rozpuszczając twarde lód, który od tak dawna miał w sercu.

– Bardzo żałuję – powiedział i zdał sobie sprawę, że *naprawdę* żałował, nie tylko ze względu na Daisy, ale ze względu na swój uczynek i swoją ofiarę. – Nie zrobił mi nic złego. Mówią, że to był dobry człowiek.

Powietrze jakby się oczyściło. Ta rozmowa, której tak się obawiał, była tylko bardzo smutna. Daisy podniosła dziecko, by mógł je zobaczyć.

– Jest do ciebie podobny – rzekła.

– Bolało cię, kochanie?

– Nie. Wszystko trwało tylko kilka godzin. – Warga jej zadrżała, ale dzielnie powiedziała: – Cieszę się, że go mam, kochany.

– Dobra dziewczyna. Dobrze się nim opiekujesz. Nie martw się o mnie. Chciałbym, żeby już było po wszystkim. Nie boję się – po jakimś czasie można się do tej myśli przyzwyczaić.

W tym momencie Daisy zaczęła płakać, ale szybko się opanowała. Każde z nich miało odwagę i próbowało się nią podzielić. Rozmawiali teraz całkiem spokojnie, jak stare małżeństwo przy kominku, bez żadnych barier, o codziennych sprawach – o pogodzeniu się Daisy z matką, jej planach na przyszłość i o szczęśliwych wydarzeniach z ich wspólnej przeszłości. Było tak wiele do powiedzenia i tak mało czasu, ale do tego, co najważniejsze, nie potrzeba było słów – ich oczy wymieniały spojrzenia pełne miłości i wdzięczności.

– Zostały trzy minuty – powiedział strażnik.

Daisy zbladła śmiertelnie. Trzy minuty – a potem tyle bezsensownych lat, które ją czekają.

– Poczekałabym na ciebie – wyszeptła, właściwie nie wiedząc, co mówi.

– Tak. Ale tak jest lepiej. Posłuchaj, Daisy. Wyjdź za jakiegoś porządnego człowieka. Małemu Thomasowi będzie potrzebny ojciec. Nie spędź całego życia na myśleniu o mnie.

– Tak – jej głos zabrzmiał ulegle i słabiotko. Pochyliła głowę i palcami jednej dłoni pogładziła krąg pomiędzy nimi. To był jej Hugo: nie odsuwał się od niej, nie tworzył barier, tak jak podczas jej wizyt w więzieniu przed procesem. Mimo, że nie mogli się dotknąć, Daisy czuła siłę płynącą ku niej od niego. To ona przyszła tu, by mu pomóc, jak tylko potrafiła, a tymczasem on pomagał jej.

– Posłuchaj mnie jeszcze, Daisy. Masz się nigdy nie martwić o zeznania, które złożyłaś. To by nic nie zmieniło – powiedział szybko Hugo. – To nade mną wisiało. Zapomnij o tym.

– Dobrze, kochany – odparła, wiedząc, że nigdy nie będzie w stanie o tym zapomnieć, czując jednak w tej chwili, iż być może kiedyś będzie mogła myśleć o tym bez udręki samooskarżenia.

– To ty musisz mi wybaczyć – powiedział. – Zniszczyłem ci życie.

– Ty *byłeś* moim życiem – zawołała namiętnie. – I zawsze będziesz. Żadna inna dziewczyna nie była nigdy tak szczęśliwa jak ja.

Dziecko w ramionach Daisy wyczuło jej emocje, obudziło się i zaczęło płakać.

– Już dobrze, moje maleństwo – rzekła.

– Jest głodny? Dobrze je?

– To dobre dziecko, prawda, moje śliczności?

– Obawiam się, że to koniec widzenia, panienko – stwierdził strażnik.

– Mogę się z nim pożegnać? – spytał Hugo.

Strażnik zawahał się przez chwilę, po czym wziął dziecko od Daisy i podał je Hugo. Hugo trzymał je w ramionach, pocałował i patrzył na nie z wyrazem niedowierzania.

- To mój pierwszy – powiedział do strażnika. – Jeden jedyny. Niezły z niego gość, nie?
- Pierwsza klasa.

Hugo otworzył piąstkę dziecka i włożył w nią kawałeczek więziennego chleba, który trzymał w lewej dłoni.

- Masz, Tom – szepnął. – Teraz nikt nie będzie mógł powiedzieć, że twój ojciec nigdy nic ci nie dał.